



SPALIĆ WIEDŹMĘ

Magdalena Kubasiewicz

L.J.

 GENIUS
CREATIONS

Magdalena Kubasiewicz

Spalić wiedźmę



Copyright © Magdalena Kubasiewicz
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Anna Faraś-Pągowska
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2015 r.

druk ISBN 978-83-7995-030-0
epub ISBN 978-83-7995-031-7
mobi ISBN 978-83-7995-032-4

Redakcja: Dawid Wiktorski
Korekta: dr Marta Kładź-Kocot
Ilustracja na okładce: Anna Faraś-Pągowska
Projekt i skład okładki: Paweł Dobkowski
Skład i typografia: Studio Grafpa
Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Podmiejska 13 box 27
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.MadBooks.pl
i www.eBook.MadBooks.pl

Prolog

Spalona bogini

Zaczęło się zupełnie zwyczajnie: od morderstwa.

Ciało wyłowiono z rzeki wczesnym rankiem, w niewielkiej miejscowości w pobliżu stolicy Polanii, Krakowa. Ofiara musiała zginąć jakiś czas temu, bo ciało zaczęło się rozkładać, wciąż nosiło jednak ślady rozległych oparzeń. Tym samym wykluczono możliwość samobójstwa, podobnie jak nieszczęśliwego wypadku, choć taką wersję okoliczne władze najchętniej uznałyby za prawdziwą. I może tak w końcu opis tego przypadku widniałby w oficjalnych dokumentach, ciało zaś pogrzebano by w bezimiennym grobie, bo spalonej twarzy nie dało się rozpoznać.

Jakimś sposobem nie spłonęła jednak część włosów dziewczyny, długich i tak jasnych, że niemalże białych. Dzięki nim ustalono ponad wszelką wątpliwość, że topielica to zaginiona przed kilkoma dniami siostra Tomasza Niepołomica, królewskiego powinowatego, majątnego pana, wpływowego i słynącego ze swej mściwości. Powszechnie wiadomo było, że pan Tomasz siostry nie miłował zbyt gorąco, w towarzystwie nazywając ją latawicą, zaś prywatnie bardziej dosadnie – kurwą. Niemniej nosiła ona rodowe nazwisko (choć co do krwi ojcowskiej w jej żyłach pan Tomasz żywił poważne wątpliwości), zatem jej śmierć winna być pomszczona. Jednakże jedyny przedstawiciel prawa w miasteczku zajmował się głównie bójkami w zajeździe, toteż wiele zdziałać nie mógł i sprawa została przekazana w bardziej kompetentne ręce, by w końcu trafić na dwór.

– Znalezione ciało – burczał z kwaśną miną jego królewska mość Julian Łukomski. – W wodzie. Wcześniej podpalone. Tomasz się wścieka.

– Tomasz wścieka się regularnie co piątek. Czasem również w środy. Nieważne, czy ma ku temu powody, czy nie.

Julian zaklął w sposób zupełnie nieprzystający władcy. Na

rozmówczyni nie zrobiło to wrażenia, bowiem król kłąć nauczył się od niej. Stała przy oknie, zwrócona do komnaty plecami. Patrząc na nią od tyłu, trudno byłoby orzec, czy jest dziewczyną, czy chłopcem. Miała ciemne, krótko ścięte, rozwichrzone włosy, a kraciasta, luźna koszula skutecznie maskowała figurę. Poszarpane spodnie i ciężkie buty również trudno było nazwać kobiecymi.

– Kaśka – kontynuował Julian, ignorując dziewczynę – zmarła przed sześcioma dniami. Wedle medyków utonęła, choć wcześniej coś poparzyło jej twarz i klatkę piersiową. Ponoć pojechała do Czarnego Jaru, jednak tamtejsi ludzie twierdzą, że jej nie widzieli. Czy ty mnie w ogóle słuchasz, Sanika?

– Nudzę się – westchnęła Sara Weronika Sokolska, odwracając się do króla i opierając dłonie na biodrach. Twarz miała szczupłą, wychudzoną i bardzo bladą, wręcz dziecinną. Do fioletowych oczu wpadały kosmyki zbyt długiej grzywki. – Umieram z nudów, a ty mi opowiadasz o Niepołomicównie. Nie lubiłam jej. Nie pojechałam przez tę sprawę na sabat. Myślałam, że chodzi o coś ciekawszego.

Julian zazgrzytał zębami ze złości i zrezygnowany opadł na obite materiałem krzesło, bezcenny zabytek. Ze schludnie zaczesanymi, ciemnobrązowymi włosami, w jedwabnej koszuli, czarnych spodniach i skórzanych, włoskich butach, z drogim zegarkiem na ręku, wyglądał dokładnie na tego, kim był: na typowego arystokratę. Kogoś, kto nie bywa nawet w tych samych miejscach, co Sara. Nie mówiąc już o tym, by pozwalał komuś jej podobnemu zwracać się do siebie w tak poufały sposób.

Ale pozwalał. Po pierwsze, znał ją od lat. Po drugie, jako nadworna czarownica cieszyła się pewnymi przywilejami. Nawet jeśli wśród adeptów sztuk magicznych uchodziła za czarownicę niewydarzoną i plamę na honorze bractwa adeptów magicznej ścieżki.

– Znajdź mordercę, Sanika – zażądał król, nie zważając na utyskiwania Sary Weroniki Sokolskiej, Pierwszej Czarownicy Polanii. – Poza tym sądziłem, że nie lubisz sabatów. Koleżanki i koledzy po fachu cię nienawidzą.

Sara uśmiechnęła się chytrze. Julian bardzo nie lubił uśmiechów Sary, które rzadko kiedy zwiastowały coś dobrego.

– Oczywiście, że mnie nienawidzą. Myślisz, że dlaczego chciałam jechać? Żeby działać im na nerwy! Od pięciu lat czekam, aż Joannę na

mój widok trafi wreszcie szlag. Poza tym miało być przyjęcie.

Zaczęła krążyć po komnacie. Nie pasowała do pomieszczenia, do modrzewiowego stropu, do renesansowych fresków, starych obrazów i antyków. Dżinsy miała porwane na kolanach. Rękaw koszuli w czarno-białą kratę czymś utyłała, prawdopodobnie czekoladą. Sznurówka prawego glana ciągnęła się za nią po podłodze i Julian czekał tylko, aż Sara się potknie.

– Tomasz domaga się głów. Dokładnie tak to ujął: daj mi głowę mordercy na srebrnej tacy. Nie mogę i nie chcę mieć w nim wroga.

– Przywróć karę śmierci poprzez ścięcie – zaproponowała Sara beztrąsko. – Albo, jeśli już upieramy się przy humanitaryzmie i prawie do godności nawet największych zwyrodnialców, najpierw otruj delikwenta, a potem utnij mu łeb. Poślij Tomaszowi na tacy, skoro ma ochotę na jakąś głowę. Doceni gest.

Większość poddanych Juliana zadrżałaby na widok gniewnego spojrzenia brązowych oczu władcy. Sara pokazała mu jednak język i wróciła na swoje miejsce przy oknie. Król głośno westchnął. Czasem trudno było mu uwierzyć, że czarownica jest starsza od niego. Gdyby miał oceniać wiek Sary po zachowaniu, uznałby ją raczej za zbuntowaną nastolatkę. Wnioskując z wyglądu, mogła uchodzić za dwudziestolatkę. Ale wedle jego rachunków jakiś czas temu przekroczyła trzydziestkę.

– Twierdzisz, że się nudzisz, więc zajmij się tym. – Nakazał, czując, że powoli traci cierpliwość. – Nie mogę nie podjąć żadnych działań. A Kaśka...

– Tak, tak, była twoją nałożnicą – parsknęła Sara lekceważąco. – Zresztą nie tylko twoją. Przewinęła się przez połowę łóżek w tym zamku. To zajęcie dla policji, nie dla mnie!

Julian milczał. Cisza trwała tak długo, aż w końcu stała się niemal namacalna. Sara wepchnęła ręce w kieszenie, spuściła głowę i westchnęła równie ciężko, jak wcześniej król.

– Stracę sabatowe przyjęcie. Chcę kolacji. I tortu czekoladowego na deser. W tym Czarnym Jarze na pewno nie będzie tortów czekoladowych. Każ naszykować mi koszyk.

– Koszyk? – zdumiał się Julian. – Na co ci koszyk?

Czcigodna Sara Weronika, Pierwsza Czarownica Polanii, spojrzała na swego króla z politowaniem. Potrząsnęła głową, a ciemne kosmyki na

moment przysłoniły jej fioletowe oczy.

– Myślałeś, że głowę dla Tomasza przyniosę ci w rękach?

Jego wysokość Julian Stanisław Łukomski, władca Polanii, chrząknął zakłopotany i uciekł wzrokiem w bok. Wolał nie zastanawiać się, czy jego podwładna mówiła poważnie.

Wbrew temu, w co chcieliby wierzyć osobnicy bardziej zacofani, miotła nie stanowiła nieodłącznego atrybutu czarownicy. Była niepraktyczna, niewygodna, a w marcu, gdy czapy śniegu wciąż zalegały na chodnikach, a z nieba padał deszcz ze śniegiem, jedynie ktoś kompletnie obłąkany wybrałby ją jako środek transportu. Sara, choć niewielu dałoby temu wiarę, nie zaliczała się do grona kompletnie obłąkanych. Od podróży na patyku w temperaturze bliskiej zeru wołała klimatyzowane, służbowe auto. Z tego, podobnie jak z innych przywilejów wiążących się z intratnym stanowiskiem, Sara zwykła korzystać bez skrępowań.

Mokra breja chlapała na szyby przez większą część niemal trzygodzinnej podróży, dlatego wiedźma w końcu potraktowała wycieraczki zaklęciem, bo nie nadążały z usuwaniem nadmiaru wody. Sarze nie było śpieszno ani do miasteczka, w którym odnaleziono ciało Katarzyny Niepołomic, ani do zapadłej dziury, gdzie ofiara miała zamiar spędzić weekend na łonie natury. Czarownicy nie interesowało, kto zabił Kaśkę. Gdyby chciała tworzyć listę podejrzanych, od razu mogłaby zapisać na niej kilkadziesiąt nazwisk. Porzuceni partnerzy, kochankowie, którzy dowiadawali się, że byli jednymi z wielu, zdradzane żony i narzeczone. Sprawdzanie ich wszystkich było jednak zadaniem policji. W ogóle cała ta sprawa powinna być w ich rękach, a ostatecznie, z uwagi na koligacje rodzinne Kaśki, jednostki specjalnej. Rozwiązywanie zagadek kryminalnych nie stanowiło odpowiedniego zadania dla czarownicy.

– W wyniku tajnego, demokratycznego głosowania, wyłoniono dziś nowego przewodniczącego Konwentu Magicznego. – Z radia popłynął głos spikera. – Poprzednia przewodnicząca, Jennifer Talbott z Wielkiej Brytanii, zmarła przed dwoma miesiącami w wyniku wyczerpania magicznego, spowodowanego tym, że wcześniej przez trzy godziny utrzymywała na powierzchni morza tonący okręt Czarna Orchidea, na

pokładzie którego znajdowało się ponad pięćset osób. Wybór członków konwentu padł na Giuseppe di Lello ze Zjednoczonego Królestwa Włoch. To zaskoczenie dla wielu, ponieważ dotąd jako najbardziej prawdopodobnego kandydata na to stanowisko wskazywano Uwe Holza z Republiki Federacyjnej Niemiec.

Zawsze byłaś idiotką, Jen – pomyślała Sara ponuro. Kolejne informacje, tym razem dotyczące oficjalnej wypowiedzi księcia Nikolasa z Anveburgu, dementującego plotki o przystąpieniu jego kraju do Stowarzyszenia Europejskiego, puściła mimo uszu. Wspominała Jennifer, szczupłą, delikatną kobietę o poważnych oczach. Sara nigdy nie pomyślałaby, że jedna z najpotężniejszych europejskich czarodziejek poświęci swoje życie w taki sposób. Głupio i niepotrzebnie. Mogła stamtąd uciec, teleportować się, a nawet zabrać ze sobą część pasażerów. Albo ściągnąć innych magów na pomoc. Statek nie zatonałby przecież od razu.

– Pora na wiadomości krajowe. Dziś w Poznaniu odbył się pogrzeb Katarzyny Kamili Niepołomic, siostry Tomasza Niepołomica, posła i właściciela słynnego Białego Pałacu. Okoliczności śmierci Katarzyny nadal nie są znane. Osierociła sześciolletnią córkę...

Zirytowana Sara zaczęła zmieniać stacje, póki nie trafiła na muzykę w miejsce wiadomości i reklam nowych modeli latających dywanów. Wnętrze samochodu wypełniły rockowe brzmienia. Nie wiedziała, że Katarzyna urodziła dziecko. Kaśka, Piękna Kaśka, słynąca z długich, bardzo jasnych włosów, modrych oczu i niezwykłego głosu. Sara zawsze podejrzewała, że panna Niepołomicówna musiała mieć jakąś domieszkę syreniej krwi. W końcu przez wieki niejeden raz zdarzało się, że jakaś syrena znalazła sposób, by zyskać nogi i rozpocząć życie na lądzie, zwykle kierowana tym paskudnym, niszczącym uczuciem: miłością. Zazwyczaj szybko umierały z dala od morza, lecz niektóre z nich z pewnością zdążyły wydać na świat potomstwo.

Na drodze przybywało dziur, asfalt znikł kilkanaście kilometrów wcześniej, a samochód podskakiwał na nierównej nawierzchni. Zza zasłony deszczu wyłaniały się pierwsze zabudowania, głównie drewniane, niewielkie domki. Gdyby nie anteny satelitarne, zdobiące dachy niektórych z nich, można by niemal uwierzyć, że cały Czarny Jar zatrzymał się w innej epoce. Trudno było wyobrazić sobie Kaśkę w tym otoczeniu. Sara jednak łatwo odkryła możliwy powód przyjazdu

nieboszczki do tego miejsca: upojny weekend na łonie natury, w ramionach kolejnego kochanka, najprawdopodobniej żonatego i wysoko postawionego. Policja zapewne próbowała ustalić, z kim ofiara miała się tutaj spotkać. Na razie bezskutecznie, inaczej Julian podzieliliby się z Sarą tą informacją.

Czarownica zaparkowała na skraju wsi, w pobliżu rzeki. Nie chciało się jej opuszczać ciepłego wnętrza pojazdu i minęło trochę czasu, nim narzuciła na siebie powycieraną, skórzaną kurtkę i ruszyła nad brzeg Vistuli, często zwanej też Wisłą. Stała tak blisko rzeki, że taflę wody od podeszwy wojskowych butów dzieliły zaledwie centymetry. Rozłożyła ramiona, przywołując moc, a potem ruszyła wzdłuż brzegu, nasłuchując sygnałów z zewnątrz. Śmierć, zwłaszcza tragiczna, wiążąca się z bólem i strachem, pozostawiała po sobie wyraźne echo. Istniała szansa, że Katarzyna umarła w pobliżu Czarnego Jaru i być może jeszcze uda wyczuć się ślady tej chwili.

Sara szła powoli, nogi grzęzły jej w błocie. W głowie miała jedno słowo: bezsens.

Kaśka mogła dotrzeć do Czarnego Jaru, lecz nie musiała. Równie przekonująca była teoria, że zabójca wrzucił ją do wody dużo dalej. Szukanie informacji w ten sposób było pracochłonne i dawało raczej marne efekty. Jednak inne możliwości wyglądały równie źle. Przepytывanie mieszkańców mogło przynieść rezultaty, ale Kaśka raczej się nie afiszowała ze swoją obecnością tutaj. Równie mało obiecujące wydawało się szukanie mężczyzny, z którym miała spędzić weekend – bo z jakimś spędzała go na pewno. Sęk w tym, że na liście podejrzanych mógł znaleźć się każdy osobnik płci męskiej pomiędzy osiemnastym a osiemdziesiątym rokiem życia, pochodzący z dowolnego miejsca, w którym Kaśka przebywała w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Włosy lepiły się czarownicy do policzków i karku, a spodnie przemokły. Nie była pewna, jaką odległość przeszła, a gdy zerknęła na zegarek, zorientowała się, że minęło już ponad pół godziny. Siły ulatywały z niej wolno, ale nieubłaganie, nogi zaczynały mięknąć, wzrok mętniał.

Już miała przerwać poszukiwania, gdy nagle coś wyczuła. Gwałtownie uniosła głowę i przyspieszyła kroku. Ze zdumieniem odkryła, że trop nie prowadzi ku rzece, ale do lasu.

– I wszystko jasne – mruknęła, gdy przedarła się przez gęsto rosnące krzaki i dotarła do mniejszej rzeki, ale bardziej rwącej niż Vistula. Najwyraźniej dawno temu przerzucono przez nią most, ale teraz jedna z poręczy odpadła, a deski były spróchniałe i połamane. Sara upewniła się, że utrzymają jej ciężar, po czym stanęła na środku. Wtedy też stwierdziła, że poręcz wcale nie odpadła ze starości, lecz została ułamana.

Usiadła po turecku na wilgotnych deskach. Pomiędzy nimi ziały szpary dość duże, by włożyć w nie palce, co pozwalało jej patrzeć na wartko płynącą wodę. Czy ta rzeka zdołałaby ponieść ze sobą ciało, zabrać je aż do Vistuli? Rozważała przez chwilę tę myśl, dochodząc do wniosku, że to mało prawdopodobne, ale możliwe.

Zamknęła oczy i uspokoiła oddech. Bodźce, odbierane przez podstawowe zmysły, stawały się coraz bardziej przytłumione, aż w końcu nie czuła już nawet kropli deszczu na twarzy, nie docierał do niej zapach lasu, nie słyszała szumu rzeki. W tym stanie sięgnęła ku mrocznej emanacji otaczającej most, takiej, jaką mogła pozostawić jedynie okrutna śmierć.

Odczuła strach, niemal paralizujący, ale wciąż pozostawiający miejsce na inne myśli, niepewność, może nadzieję. A później zwierzęce przerażenie i wszechogarniający lęk, przysłaniający wszystko inne. Wreszcie eksplozję bólu, rozprzestrzeniającego się na całe ciało. I ciemność.

Sara przetoczyła się na bok, wystawiła głowę poza krawędź mostu i zwymiotowała wprost do spienionej wody. Z nosa ciekła jej krew. Poświęciła za dużo energii na poszukiwania i dokładne zbadanie reszty emocji, a samo otarcie się o takie odczucia nie należało do przyjemnych. Zaklęła siarczyście, przewróciła się na plecy i leżała tak przez chwilę, patrząc na zachmurzone niebo. Nie była pewna, jak długo pozostawała odcięta od ciała, ale w tym czasie przestało padać. Wiał za to porywisty, zimny wiatr, szarpiąc nagie gałęzie drzew i przenikając przemoczoną czarownicę do szpiku kości. Wstała bardzo powoli, chwytając się ocalałej barierki, lecz i tak nieomal upadła. Dłoń odruchowo powędrowała do brzucha, z którego w wizji rozchodził się ból. Gwałtowny, roznoszący się po całym ciele, a więc nie od uderzenia ani ciosu nożem, lecz od zaklęcia bądź ognia.

Zadrzała, choć tym razem nie z zimna. Przyszedł jej na myśl

jasnozłoty płomień, żar, duszący dym. Potem już tylko ból i smród palonego ciała. Nie mogła zobaczyć tego w wizji, lecz z własnego doświadczenia wiedziała, jak wygląda taka śmierć – i po raz pierwszy pożałowała Kaśki. Tylko czy na moście na pewno umarła Katarzyna Niepołomic? Sara czytała raport z sekcji zwłok. Poparzeniu uległo pięćdziesiąt procent ciała, przede wszystkim klatka piersiowa i twarz, nie brzuch. Śmierć, która nastąpiła tutaj, była raczej szybka, z powodu ognia bądź zaklęcia, nie utopienia – a w płucach Kaśki znaleziono wodę. Ona wpadła do rzeki, nim ogień zdążył się rozprzestrzenić. Tymczasem wspomnienie wskazywało na śmierć przez spalenie.

To oznaczało, że zginął tu ktoś jeszcze. W podobny, ale nie identyczny sposób.

– Tort czekoladowy nie był tego wart – wymamrotała sennie Sara, podpierając się o barierkę, by spojrzeć na rwący nurt.

Zajęła pusty dom na skraju Czarnego Jaru. Poprzedni właściciele pewnie umarli już jakiś czas temu, a spadkobiercy najwyraźniej nie byli zainteresowani schedą. Zanim przyniosła do budynku swój niewielki bagaż, skrupulatnie przeszukała domostwo, od ciemnej, zagrzybiałej piwnicy aż do zakurzonego strychu. Pozornie niewinnie wyglądające budynki i miejsca potrafiły kryć niejedną nieprzyjemną niespodziankę. Ten dom skrywał jednak zdecydowanie przyjemniejszą – w piwnicy odnalazła zapomniane słoiki konfitur i trochę domowego wina. Kiedy już otoczyła domek podstawowym zaklęciem ochronnym, wypila pół butelki wina porzeczkowego, a następnie, wyczerpana podróżą, używaniem magii i alkoholem, padła na wiekowe, zakurzone łóżko.

Obudziła się następnego ranka w paskudnym humorze. Była zmarznięta i zdrętwiała. Żałowała, że Kaśka nie utopiła się w kałuży na środku miasta. Albo nie złamała karku, spadając ze schodów. Ewentualnie nie została trafiona cegłą w głowę.

Nie podobał się jej Czarny Jar, ten dom i cała ta sprawa. Irytowało ją skrzypiące łóżko i ubity materac, przeszkadzał brak ogrzewania. Z żalem myślała o sabacie na Łysej Górze, poczęstunku, jakiego z pewnością nie żałowano gościom, tańcach, muzyce i skandalach, bez których nie mogło się obyć, jeśli więcej niż trzy czarownice przybyły w

to samo miejsce. Wygrzebany z torby baton, który razem z dżemem agrestowym miał pełnić funkcję śniadania, też raczej nie poprawił jej nastroju. Uwielbiała słodczyce, ale wolałaby zjeść coś konkretniejszego. Jajecznice z szynką. Albo zapiekanki, pyszne, chrupiące zapiekanki na bagietce, z pieczarkami, podwójną warstwą sera i keczupem...

Usiadła na zapadniętym stopniu, ponura jak chmura gradowa. Gdyby przebywała na zamku, kucharka zrobiłaby jej tę przeklętą jajecznicę. Do tego podałaby kakao i pyszne, maślane rogaliki. Gdyby Sara nie miała ochoty siedzieć na książęcym dworze, mogłaby kupić sobie zapiekanki w budce niedaleko bloku, potem zamówić pizzę lub chińszczyznę... Czarownica katowała się takimi myślami jakieś dwadzieścia minut, przeżuując batonik i wpatrując się w zaniedbany ogród. Jeszcze przed kilkoma laty podwórko musiało być przedmiotem czyjejś troski. Wzdłuż ścieżki prowadzącej do furtki wciąż leżały białe kamienie, choć między nimi powyrastały już żdźbła trawy. Nie zmarniały także krzaki róż, które zaczynały powoli pokrywać się liśćmi.

Wspomniała inny ogród, z pewnością martwy od lat, w którym dawno, dawno temu sama sadziła zioła i pielęgnowała róże. Przypomniała sobie, że tamten dom też był drewniany i miał równie spadzisty, śmieszny dach.

Wzdrygnęła się i odgoniła natrętne wspomnienia. Wiele wody upłynęło w Vistuli, odkąd mieszkała w domku otoczonym kwiatami. Człowiek szybko przyzwyczaja się do wygod, uznała ponuro, mnąc w rękę opakowanie po batoniku. Dwa dni z dala od cywilizacji i zaczyna wariować.

Wróciła do środka. Przed lustrem, przez które biegło długie pęknięcie, umalowała się, nie oszczędzając czarnego tuszu i fioletowych cieni. Rzadko używane kosmetyki postarzały odrobinę dziecinną twarz Sary, nadając jej drapieżnego wyrazu. Chciała zwracać na siebie uwagę, wyróżniać się w tej dziurze. Szokowanie, szantaż i groźby karalne to były jej metody. Czarownica mimowolnie uśmiechnęła się do swojego odbicia. W przyciemnionym świetle korytarza jej niepomalowane usta zdawały się być czerwone jak krew.

Gdy na niebie pojawiło się słońce, a temperatura wzrosła, Czarny Jar stał się na swój sposób urokliwy. Większość domków wyglądała niemal identycznie: klockowate, parterowe, z połaciowymi oknami w pochyłych, czerwonych dachach. Niektóre z nich starannie pobielono i

wymieniono dachy, inne zaś były wyblakłe, straszyły drewnianymi, wiekowymi oknami i zerwanymi dachówkami. W większości ogrodów rosły drzewa, a wytyczone grządki świadczyły o tym, że mieszkańcy nie zaniedbują swoich obejść.

Sara zmarszczyła brwi, podeszła do płotu zbitego z nierównych sztachet i spojrzała na sąsiedni ogródek. Pierwsze rośliny zaczynały wschodzić, krzaki porzeczek pokryły się drobnymi listkami, jabłoń najwyraźniej miała zakwitnąć za parę dni.

Za wcześnie.

Za wcześnie, ponieważ do wiosny kalendarzowej zostały dwa dni, zaś do prawdziwej – przynajmniej dwa tygodnie. Za wcześnie, bo jeszcze wczoraj padało, a deszcz mieszał się ze śniegiem. Za wcześnie dla miejscowości położonej tak blisko gór. Wyjaśnienie tego fenomenu mogło być tylko jedno: stosowano tutaj magiczne mikstury, te zaś nie były tanie. Nie mógłby sobie na nie pozwolić sobie ktoś mieszkający w niewielkim domku, tam, gdzie diabeł mówił dobranoc. Przyjrzała się ogródkom uważniej i niemal w każdym zaobserwowała podobne objawy: kielkujące pędy, listki na drzewach. Mgliście pamiętała nawet komary nad rzeką, które nie powinny być aktywne o tej porze roku.

Intrygujące.

Dziarskim krokiem skierowała się do wypatrzonego poprzedniego dnia niewielkiego, szarego budynku, z wytartym ze starości szyldem „Sklep spożywczo-monopolowy”. Gdy Sara przekroczyła próg, zadzwoniły dzwonki przymocowane do drzwi. Sprzedawczynią była młoda, najwyżej dwudziestoletnia tleniona blondynka. Najwyraźniej wioska nie należała tylko do nestorów. Szare oczy kobiety otworzyły się szerzej, gdy zobaczyła, kto wszedł do sklepu.

Sara wiedziała, co pomyśla o niej tutejsi. Odziana w czerń, w porwanych spodniach, w skórce, z ostrym makijażem, jaki zwróciłby uwagę nawet w Krakowie, Wilnie, Poznaniu czy Tarenie. Ćpunka. Dziwka. Kryminalistka. Ktoś, kogo należy omijać szerokim łukiem, istota z innego świata, godna najwyższej pogardy.

Sklep był zaskakująco dobrze zaopatrzony. Co prawda na podłodze wałał się piasek i drobiny kurzu, a pod sufitem kołysała tania jarzeniówka, wypełniająca pomieszczenie ostrym, nieprzyjemnym światłem, lecz na półkach nie brakowało towarów. Gorzała, piwo, papierosy, sól, cukier, czyli podstawowe produkty, jakich człowiek

spodziewałyby się w takim miejscu, sąsiadowały ze słodyczami znanych marek, paczkami chipsów i drogimi winami. Z jednej strony ustawiono chemię, zarówno proszki, mydła i płyny do mycia naczyń, jak i kosmetyki, perfumy i kremy, niekoniecznie te najtańsze. Sara wyciągnęła z zamrażalnika swoje ulubione lody w kubeczku, a z półki zdjęła chleb i ser.

Rzuciła produkty na ladę. Gdy sprzedawczyni podliczała ceny, czarownica wydobyła z kieszeni zmięte zdjęcie, z którego patrzyła roześmiana dziewczyna z rozwianymi, bardzo jasnymi włosami. Jedną ręką odgarniała je z twarzy, a drugą podtrzymywała żółtą sukienkę, szarpaną przez wiatr.

Sara dostała fotografię od Juliana, nietypowo w tym przypadku zakłopotanego i milczącego. Czekał na jakąś złośliwą uwagę, komentarz typowy dla jego nadwornej czarownicy. Nie odezwała się. Wiedziała, że wręcza jej kopię, że oryginał leży w szufladzie pięknego, zabytkowego biurka, ustawionego w królewskiej sypialni, oprawiony w prostą, drewnianą ramkę. I że jest często wyjmowany. Nie byłaby dobrą Pierwszą Czarownicą Polanii, gdyby nie wiedziała, co jej zwierzchnik chowa w zakamarkach prywatnych apartamentów. I co robi, gdy myśli, że jest sam.

– Widziałaś ją? – spytała. Sprzedawczyni zamarła z palcem na kalkulatorze i rzuciła Sarze spłoszone spojrzenie. Pokręciła głową, nawet nie patrząc na zdjęcie.

– Zdumiewająca umiejętność: wiesz, że kogoś nie widziałaś, jeszcze nie wiedząc, o kogo chodzi? – zdziwiła się nieszczerze Sara. Uniosła fotografię, podtykając ją dziewczynie pod nos z taką szybkością, że ta cofnęła się odruchowo i omal nie upadła. – Odpowiadaj, najlepiej pełnym zdaniem. Chyba nie zatrudniliby niemowy do pracy w sklepie?

– Pani jest niegrzeczna – powiedziała sprzedawczyni, a czerwień jej policzków przebiła się przez grubą warstwę pudru. – Niech pani stąd wyjdzie, weźmie swoje zakupy i idzie!

Skarbie, ja jeszcze nawet nie zaczęłam być niegrzeczna – pomyślała Sara z rozbawieniem. Bez pytania zgarnęła z lady reklamówkę, wrzuciła do środka zakupy, w zamian rzucając na blat banknot.

– Patyczek – zażądała, otwierając opakowanie z lodami. – Nie patrz tak na mnie, bo oczy ci wypłyną, dziewczynko. Widziałaś tę kobietę czy nie?

– Nie – burknęła dziewczyna, odwracając się do Sary plecami, by wyciągnąć patyczek. – Już policja pytała. Nie znam jej.

Czarownica chwyciła dłoń sprzedawczyni. Pulchną, szorstką dłoń kogoś, kto przywykł do pracy w ogrodzie, szorowania podłóg i niszczenia skóry detergentami podczas mycia naczyń. Tak inną od rąk Sary, gładkich, o równo obciętych paznokciach. Tylko prawa była od wewnętrznej strony pokryta odciskami.

– Nie znasz – powtórzyła Sara, przechylając się przez ladę, by spojrzeć w małe, szare oczy. – A widziałaś ją?

– Nie! – krzyknęła kobieta, wrywając się z uścisku. – Poszła stąd!

I poszła, chwyciwszy wcześniej leżący na ladzie patyczek. Tropy same pchały się w jej ramiona. Przy odrobinie szczęścia będzie z tym nawet mniej pracy niż z ustaleniem, kto rok temu w kwietniu wypalał trawy pod Krakowem, w wyniku czego spłonęło kilkanaście hektarów lasu i parę zabudowań. Skrzywiła się mimowolnie na wspomnienie tamtego zadania, które uważała za uwłaczające swoim możliwościom.

Czarny Jar budził się do życia. Sara, idąc przez wieś, kilkakrotnie wyczuła na sobie spojrzenia, rzucane zza firanek i płotów. Ze zdumieniem stwierdziła, że wcale nie byli to – jak się spodziewała – tylko staruszkowie. Przez dziury w sztachetach przyglądali się jej dwaj mali chłopcy, a skryta za firanką, wiotka postać musiała należeć do młodej kobiety. Z niewielkiego okna w dachu spoglądał za nią nastolatek.

– Ene due rabe, bocian połknął żabę – wymamrotała początek starej wyliczanki. – Ogniowi chcieli oddać wiedźmę, więc twoją duszę za to wezmę. Raz, dwa, trzy, dziś przegrywasz ty.

Nie wyczuwała magii. Ani odrobiny. A jednak było w Czarnym Jarze coś dziwnego, coś, co wywoływało mrowienie pod skórą, jakby ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Może zza którejś z białych firanek spoglądał za nią morderca Kaśki? Sara oblizała patyczek i starannie wybrała z dna kubelka resztkę lodów malinowych. Wieść o dziwnej dziewczynie szukającej informacji o Kaśce szybko obiegnie wioskę. Gdyby te półgłówki nie ogłosiły zaginięcia, gdyby nie przysłano tutaj policji, może zabójca sam przyszedłby do Sary. Teraz jednak nikt nie odważy się tknąć kolejnej obcej, dając jednocześnie władzom dowód, że zbrodni dokonano tutaj.

– Siedzi w wieży królewna, zamknęła ją wiedźma... – kontynuowała

szeptem. Zmiażdżyła kubeczek w ręce, a potem rozluźniła palce i pozwoliła, by porwał go ze sobą wiatr, zbyt nagły i silny, by mógł być dziełem natury. Gdy odezwała się znowu, jej głos uległ zmianie, a przez pokrytą kosmetykami twarz przebiegł skurcz bólu. – Spalić wiedźmę... spalić wiedźmę...

Ene. Due. Rabe.

Kiedys Sara spróbowała zapewnić sobie spokojny sen.

Wielu mieszkańców Krakowa i okolic, zwłaszcza tych biedniejszych, trzymało przy łózkach siatki, wykradające ich senne majaki, choć na dłuższą metę prowadziło to do psychicznego wyczerpania, a nawet do szaleństwa. Lecz te piękniejsze lub ciekawsze sny mogli sprzedać za dobrą cenę w punktach skupu, skąd, specjalnie przefiltrowane i umieszczone w kolorowych flakonikach, trafiały na sklepowe półki.

W grudniu, gdy noce były długie i ciemne, a sińce pod jej oczami wyraźniejsze, Sara kupiła sen w niebieskiej, malutkiej buteleczce i wieczorem wypiła gęsty, błękitny płyn, pachnący polnymi kwiatami. Śniła o niebie, równie niebieskim jak szkło, z którego wykonano flakonik, o leniwie kołyszącym się w ogrodzie hamaku. Ktoś, kogo w tym śnie kochała, był tuż obok.

Gdy otworzyła oczy i usiadła na łożu z baldachimem, w jednej z najwspanialszych sypialni zamku władców Polanii, płakała po raz pierwszy i ostatni w życiu. Nigdy więcej tego nie spróbowała, wolała pozostać przy własnych koszmarach, chaotycznych wytworach umysłu, zlepkach wspomnień i dzieciennych strachów.

Drugiej nocy w Czarnym Jarze śniła o ogniu. To był często powtarzający się koszmar. Śniła o Katarzynie ze spaloną twarzą. I o dziewczynce zjadającej zatrute jabłko. O grobie. O trumnie z cienkiego, zakłętego lodu. O śniegu. Za późno. Za późno o życie.

Była trzecia nad ranem, kiedy czarownica obudziła się, ubrała i wyszła na zewnątrz. Za późno, śpiewał wiatr. Spóźniłaś się, spóźniłaś.

– Nie szkodzi – wymruczała Sara, idąc w stronę lasu. – Wcale nie chciałam jej ratować. Czarownice się nie spóźniają. To inni przychodzą za wcześniej.

Nie wyczuła jednak niczego nowego, stojąc na moście. Nadal to samo echo, pozostałe po cierpieniu i śmierci, które utrzyma się tu jeszcze

przez kilkanaście dni. Na darmo zerwała się z łóżka, zwiedziona kolejnym koszmarem. Zrezygnowana, oparła łokcie o barierkę i wpatrzyła się w wodę, płynącą ku Vistuli. Oba brzegi rzeki były strome, gęsto porośnięte krzakami, tak, że nie dałoby się iść tuż nad wodą. Sara, kierując się impulsem, przesadziła poręcz, skacząc prosto w nurt. Przez chwilę mogłoby się zdawać, że wpadnie do spienionej wody, lecz zawisła parę milimetrów nad jej powierzchnią.

Musiała przedstawiać sobą dziwny widok, gdy niemal spacerowała po wodzie, ubrana w dzinsy i wystającą spod skórzanej kurtki piżamę z Kaczorem Donaldem. Puls Sary przyspieszył, powietrze zawirowało wokół, a nieposłuszna i kapryśna magia czarownic budziła się wewnątrz niej. Wiele rzeczy mogło zwiększyć moc czarownicy: silne emocje, szczególne miejsca, nawet pora dnia. Pijana mocą Sara omal nie przeoczyła głębszego cienia wśród przybrzeżnych krzewów.

Zbliżyła się do tych żalosnych szczątków, będących kiedyś żywą istotą. Płomienie pochłonęły ciało niemal w całości, zostawiając zwęglony kawał mięsa, uniemożliwiający identyfikację.

Sara wzleciała wyżej, zawisła nad rzeką, ponad koronami drzew – ciemna postać na tle zachmurzonego nieba. Zawirowała, wykorzystując ten niespodziewany przyływ energii, poszukując śladów śmierci, tym razem na znacznie większym obszarze. I znalazła je. Oblepiły jej umysł jak smoła, gęsta, ciemna i cuchnąca. Nagle zakrztusiła się i opadła w dół, odcięta od magii. Resztkę mocy wykorzystowała, by nie spaść jak ptak strącony z nieba. Wylądowała niezgrabnie, potoczyła się po trawie, objając biodro i uderzając głową o jakiś kamień. Ledwo to wszystko zarejestrowała, wciąż skupiona na emocjach, nienależących do niej. Wszystko zaczęło się mieszać. Ogień. Strach. Śmierć. Spalić wiedźmę. Duszący dym. Nie będę krzyżeć. Niebo jest błękitne i czyste, ptaki tak pięknie śpiewają. Nie będę krzyżeć. Dym wżera się w oczy, wypełnia płuca. Ciemność litościwie zapada i pochłania ją, nim zdążą zrobić to płomienie.

– Sara – szepnęła, zwijając się w kłębek, miotana torsjami. – Sara Weronika Sokolska, Sanika, Pierwsza Czarownica Polanii. Jestem Sara. Nie ja tam umarłam. Nie ja spłonęłam wtedy. I nie teraz. Spróbowała na nowo odbudować swoją tożsamość, oddzielić się od tego wspomnienia i od tego, co pozostało po ludziach, spalonych w Czarnym Jarze.

Urodziłam się w Szczecinie. Trzydzieści trzy lata temu. Nazwano mnie Weroniką. Miałam matkę, ojca, starszego brata, a potem jeszcze młodszą siostrę. Jestem i zawsze byłam czarownicą. Jestem Sarą.

Jestem sobą.

Żyję.

Mrok owinał się wokół niej jak płaszcz.

– Proszę pani? Pani żyje?

– Skąd, wylazłam z grobu... – wymamrotała Sara, odpychając rękę szarpiącą ją za ramię. Wisielcze poczucie humoru wróciło jako pierwsze, jeszcze gdy pozostawała na wpół przytomna, nie do końca świadoma, co właściwie robi w środku lasu, leżąc na trawie mokrej od rosy. – Aaa... spadłam.

– Pani uderzyła się w głowę – oznajmiła kucająca obok jasnowłosa dziewczyna. Na ładnej, drobniutkiej twarzy malowało się zmartwienie.

– Pani powinna iść do szpitala.

Czarownica obmacała potylicę. Faktycznie, włosy z tyłu zlepiała krew, jednak rana zdążyła się już zasklepić.

Wiedziała jednak, że pod sufitem na pewno nie ma równo. Wyrzucała sobie własną głupotę. Upojona przyływem mocy, zapomniała o rozsądku, otworzyła się zupełnie, znosząc wszystkie bariery. Mogła stracić przytomność, wpaść do rzeki i podzielić los Pięknej Kaśki.

– Obca – skomentował ktoś. Sara uniosła wzrok. Trochę dalej stała kobieta. Nie, nie kobieta, dziewczyna, może jeszcze nastolatka: to strój i gruba warstwa makijażu tak ją postarzały. Krótka spódniczka, siateczkowe rajstopy, bluzeczka z dekoltem i czarny płaszcz, rozpięty pomimo chłodu, zapewne by rzeczony dekollet eksponować.

– Obca – potwierdziła Sara. – I co? Spalicie mnie za to na stosie?

Uważnie obserwowała reakcje dziewcząt. Jasnowłosa wciąż przypatrywała się jej z taką samą troską – typ delikatnej panienki, rozczulającej się nad ptaszkami wypadającymi z gniazd. Druga, ciemnowłosa, z szyderczym uśmiechem wyciągnęła z kieszeni papierosy. Typ, który ptaszka przydepcze, żeby biedaczek za długo się nie męczył.

– Rzadko ktoś tutaj przyjeżdża – pospieszyła z wyjaśnieniem blondynka. – Ona nie miała nic złego na myśli. Jestem Sylwia. A to

Marzena. Pani potrzebuje pomocy?

– Nie – odpowiedziała, choć bolała ją głowa i biodro, a do tego zdrętwiała z zimna i po prostu czuła się paskudnie, jakby całą noc imprezowała ze studentami.

– Pani dojdzie sama do wsi? – upewniła się Sylwia.

– Pani dojdzie do wsi – potwierdziła Sara, przewracając oczyma. Podniosła się, otrzepała spodnie. Gdy odchodziła, Marzena obrzuciła ją drwiącym spojrzeniem, dłużej zatrzymując wzrok na pizamie, wystającej spod kurtki. Zaciągnęła się papierosem, wypuściła z mocno umalowanych ust smużkę dymu.

Za późno, szeptało coś tej nocy. Za późno o życie.

O kilka żyć.

Sara nie umiała powiedzieć, jak wiele śladów odnalazła. Sześć? Siedem? Dziesięć? Uderzyły w nią nagle, zmieszały się, nałożyły na siebie, niemożliwe do oddzielenia. Zamyślona, przygryzła wargę i zaczęła szukać w kieszeni komórki. Julian odebrał po dziewiątym sygnale i czarownica poczuła przyływ złośliwej satysfakcji, że wyrwała króla ze snu.

– Sanika, ty cholero – jęknął władca Polanii zasypanym głosem. – Nie ma jeszcze siódmej.

– U mnie jest gorzej, a sama się tu nie pakowałam – oznajmiła złośliwie. – Niech wasza miłość się do czegoś przyda i każe wysłać mi na maila informacje o zaginięciach kobiet z... powiedzmy ostatnich trzech miesięcy. Plus porównanie częstotliwości zaginięć do tego sprzed dwóch, trzech lat. Chcę mieć to na wczoraj.

Usłyszała szelest, później trzask. Pewnie Julian poderwał się z łóżka i zrzucił coś z nocnego stolika. Prawdopodobnie lampkę albo pewną fotografię oprawioną w ramki, wyciągniętą wieczorem z szuflady.

– Sądzisz, że ona... nie była jedyna? – spytał, już całkiem przytomny. – Sanika, piekielnico, zlituj się, mów, co wiesz.

– Nie wtrącaj się, pilnuj, żeby nie spadła mi na głowę policja, załatw te informacje i grzecznie czekaj na wyniki. I nie wpędź kraju w ruinę pod moją nieobecność.

– Nie znoszę, kiedy mówisz tonem nauczycielki – burknął Julian. – Mam ci przypomnieć, kto podpisuje zlecenie twojej wypłaty?

– Spędziłam noc w środku lasu na mokrej ziemi, mam paskudną ranę na łbie i siniaka na biodrze, oglądałam spalone ciało, jestem głodna,

niewyspana i zmęczona, więc, do cholery, nie drażnij mnie bardziej. Grozić to możesz Radzie Ministrów. A za to paskudne zadanie oczekuję premii. Cześć.

Wróciła do domu, wykąpała się, przebrała i uruchomiła swojego laptopa. Musiała przyznać, że Julian potrafił działać szybko: informacje zostały wysłane przed kilkoma minutami. Od grudnia zanotowano jedenaście zaginięć, co stanowiło rekordową liczbę na przestrzeni ostatnich lat. Kobiet, jak szybko ustaliła Sara, nie łączyło nic oprócz tego, że w ośmiu przypadkach przebywały wtedy – prawdopodobnie – poza miejscem zamieszkania.

Przyjrzała się uważnie zdjęciom zaginionych, z których jedna zapewne leżała obecnie w nadrzecznych krzakach. Podpalona, a potem wrzucona do wody. Nie w ramach rytuału, bo wokół utrzymałyby się pozostałości magii. Nie było to dzieło zwyczajnego, pojedynczego mordercy, ponieważ jeden człowiek nie dałby rady działać na taką skalę, a mieszkańcy nie próbowaliby go ukrywać. Pozostawała jeszcze inna możliwość. Szkoda, wielka szkoda, że śmierć Kaśki nagłośniono i policja wypytywała tutejszych ludzi. Sara podejrzewała, że w takiej sytuacji winni będą woleli się przyczaić i nie ściągać na siebie uwagi.

Drgnęła, gdy czar roztoczony wokół domku dał znać, że ktoś nadchodzi. Chwilę później zasygnalizowało to wściekłe walenie w drzwi. Sara uśmiechnęła się i ruszyła do wejścia tanecznym krokiem. Pociągnęła za klamkę, a zwalisty mężczyzna stojący na progu zamarł z ręką uniesioną do kolejnego uderzenia. Czarownica musiała wysoko zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Miał jakieś dwa metry wzrostu i chyba niewiele mniej w ramionach. Był wyraźnie rozzłoszczony.

– W czym mogę pomóc? – zapytała uprzejmie.

– Może się pani stąd wynieść – odparł mężczyzna zaskakująco grzecznym tonem. Opanował się i spojrzał na nią już spokojniej, dzięki czemu przestał przypominać wioskowego głupka. – To dom Antkowiaków. Nie ma pani prawa tutaj przebywać.

– To pech – rzuciła obojętnie. – Zgubiliście niedawno jakąś miejscową dziewczynę?

Zamrugnął, skonsternowany. To chyba znaczy, uznała Sara, że odpowiedź brzmi „nie”. Swoich nie ruszają. Lokalny patriotyzm?

– Zajęła pani tę parcelę bezprawnie – oznajmił przybysz, popisując

się elokwencją, jakiej trudno byłoby oczekiwać u kogoś o jego wyglądzie. – Proszę o jej opuszczenie, inaczej zgłosimy sprawę na policję.

Słyszając te słowa, natychmiast się rozpromieniła. Julian, jedyny chyba człowiek, który ją trochę znał na ten widok czym prędzej by uciekł.

– Doskonale, dzwońmy! Może od razu spróbują wyjaśnić, co robi to ciało nad rzeką?

Mężczyzna nie zapanował nad mięśniami twarzy, a Sara wciąż promieniała fałszywym zadowoleniem. Najpierw dziewczyna ze sklepu, potem spojrzenia śledzące ją zza firanek, a teraz on. Ludzie wiedzieli. Wiedzieli, że samotne kobiety, przejeżdżające przez wioskę, nigdy jej nie opuszczają. Wiedzieli, że nad Czarnym Jarem krąży śmierć. Nieprzyjemne uczucie, prześladowające ją, od kiedy tu przyjechała, wywoływała wisząca w powietrzu atmosfera strachu.

– Nie masz prawa tutaj być! – krzyknął. Czarownica uniosła rękę z zamiarem pociągnięcia mężczyzny za kołnierz i przesłuchania go na własnych zasadach. Zamarła jednak, słysząc dziewczęcy głos.

– Domek, daj spokój! Pani się nie przejmuje, on taki w gorącej wodzie kąpany. Domek, czego na panią krzyczysz?

Przy płocie stała Sylwia. Jej czarnowłosa koleżanka oparła się o furtkę, z papierosem w ręku i znużeniem w oczach. „Domek” – zapewne Dominik. Zawołany, co zaskakujące, z zakłopotaniem przeczesał włosy.

– Panią przepros – fuknęła dziewczyna, opierając obie ręce na nierównych sztachetach i przewieszając się przez płot do połowy. Istniało prawdopodobieństwo, że za chwilę wpadnie między krzaki agrestu. – Jak ty się zachowujesz?

– Przepraszam – burknął Domek, obrzucając Sarę nienawistnym spojrzeniem. W odpowiedzi uśmiechnęła się tak uroczo, jak tylko potrafiła. Pech, że nawinęły się te panny, pech. Teraz niczego już nie wyciągnie z Domka.

Ten zaś szybkim krokiem przemierzył ogródek i otworzył furtkę, omal nie wyrywając jej z zawiasów. Sara patrzyła za nim, gdy szedł drogą, póki nie straciła go z oczu za jednym z domów.

– Pani się nie gniewa. – Sylwia przypomniwała o swojej obecności. Też spoglądała za Dominikiem, z wyrazem twarzy, z jakim nastoletnie dziewczęta zwykły śledzić podziwianych chłopców na szkolnych

korytarzach. – Domek nie jest zły, tyle że obcych tu mało kto lubi. Pani wie, ludzie nieufni.

– Słusznie. Pozory mogą mylić – odparła Sara, drobna, niska kobietka i zarazem jedna z najpotężniejszych i najgroźniejszych czarownic Polanii.

– Każdego podejrzewać nie można – roześmiała się Sylwia, pomachała na pożegnanie i odeszła. Marzena ruszyła za koleżanką niczym cień, pozostawiając po sobie smużkę dymu z papierosa. Każdego podejrzewać nie można, powtórzyła Sara bezgłośnie, poruszając wargami. Kąciki jej ust powoli opadły. Zrozumienie przyszło nagle. Pewnie pobladłaby, lecz skóra biała jak śnieg nie miała już żadnych kolorów do stracenia. Ręką sięgnęła do futryny, szukając oparcia. Kobiety podpalane i wrzucane do wody, kwitnące rośliny, mieszkańcy udający, że nic nie wiedzą. Sny i wspomnienia nienależące do niej.

– Głupcy, przekłeci głupcy – wyszeptała, osuwając się na splekany próg. Gdzieś spomiędzy gałęzi jabłoni dobiegł ptasi świergot, a powiew wiatru zmierzwił jej włosy. Zwyczajny, pogodny dzień, pierwszy naprawdę ładny od dawna. Wiele złych rzeczy mogło dziać się w takie normalne, piękne dni. Nie mogła jednak siedzieć tutaj dalej, musiała przekonać się, kto przyjdzie ukryć ciało, o którym wspomniała Dominikowi.

Słabość została zastąpiona przez gniew. Zerwał się wichur, szarpiąc gałęzie drzew i krzewów, moc zawibrowała w powietrzu. Pchana wściekłością Sara poderwała się i wybiegła z ogrodu, kierując się ku lasowi. Zabiję, postanowiła. Nie będzie litości. Nie dlatego, że mordowali, ale z powodów, dla których to uczynili. Zabiję, bo niektórych rzeczy nie można przebaczyć.

Sadziła długie susy, a przyzwany wiatr wirował wokół niej, sprawiając, że niemal frunęła. Przyjdą po zwłoki, przyjdą zatrzeć ślady, przyjdą szybko, z obawy, że już powiadomiła władze. Powietrze świszczało w uszach, mięśnie protestowały, stopy zaczynały boleć. Biegnij. Biegnij przez las, tracąc dech, biegnij, gdy w ustach czujesz posmak żelaza, biegnij, gdy płuca prawie eksplodują, gdy ogień płonie w nogach. Biegnij, walcz o życie.

– Nie! – krzyknęła, potykając się. Stoczyła się do dołu, pokaleczyła ręce, we włosy zaplątały się igły i liście. – Nie, suko. To nie moje

wspomnienie. Nie oszukasz mnie.

Wstała, otrzepała ubranie i ruszyła dalej. Nie uciekała. Gonila. Nie była zwierzyną, lecz łowcą.

Przyszli po kilkunastu minutach, by przeszukać brzeg. W normalnych okolicznościach być może ta sytuacja by ją rozbawiła, dała przyjemną świadomość własnej przewagi, tak jak rozmowa ze sklepową czy Domkiem. Teraz jednak gdzieś w środku niej ziała czarna dziura, pochłaniająca powoli wszystkie emocje, pozostawiająca pustkę i świadomość konieczności uczynienia tego, co należy.

Wichura zerwała się nagle, szarpiąc ubrania i włosy, uderzając w twarze gwałtownym podmuchem, niosąc ze sobą drobinki piasku. Domek w przeciągu pół godziny zdążył zgromadzić imponującą kompanię, przybyło trzynaście osób. Wiatr nasilał się i krążył wokół mężczyzn, tworząc wir. Oderwał ich od ziemi i zaczął miotać nimi jak szmacianymi kukielkami. Opadli w dół po dłuższej chwili, na wpół przytomni, z trudem walczący o każdy oddech.

Sara przeszła przez most, na którym uśmiercono jedną z ofiar, i oparła dłoń na ocalałej poręczy. Beznamiętnie przypatrywała się mężczyznom, a przebudzona magia tańczyła wokół niej.

– Za morderstwa dokonane ze szczególnym okrucieństwem... – zaczęła oficjalnym, tonem. – Za odprawianie zakazanych praktyk, za oddawanie czci demonowi, a nade wszystko za składanie ofiar mocom, które przekłęto po trzykroć, prawem nadanym mi jako Pierwszej Czarownicy Polanii skazuję was na śmierć. Jeśli macie coś na swoją obronę, niech zostanie to powiedziane teraz, nim zamilkniecie na wieki. Większość mężczyzn zareagowała niezrozumieniem. Nie dotarło do nich znaczenie jej słów. Niektórzy nadal nie doszli do siebie. Dwaj najmłodszy, mogący mieć jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, przypatrywali się jej z nieskrywanym strachem, który powoli zamieniał się w panikę. Po policzkach drobnego chłopaczka, z postury przypominającego Sarę, popłynęły łzy, lecz czarownicy to nie wzruszyło.

– One też płakały – powiedziała do niego prawie łagodnie. – A wy przynależycie do zimowej panny i winniście pospieszyć na jej wezwanie.

Domek poderwał się z krzykiem i rzucił na czarownicę, a wrzask gniewu zmienił się w okrzyk zdumienia i bólu, gdy uderzył w pień

drzewa jak szmaciana lalka.

– Czekam – stwierdziła zimno. – Oto ostatni moment na udzielenie wyjaśnień. Być może niektórzy z was ocala życie.

– Nie zabiliśmy ich! – wyjącał jeden z młodszych, chłopak w okularach i kraciastej koszuli. – Nie my!

– Zamknij się! – warknął Domek, z trudem podpierając się na łokciach. Sara syknęła i ponownie uderzyła w niego mocą. Domek ponownie upadł, tym razem tracąc przytomność.

– Przyszliście ukryć ciało, którego nie zabrała rzeka – powiedziała. Powietrze wokół mężczyzn zgęstniało, uniemożliwiając poruszanie się.

– Dlaczego, jeśli nie mieliście z tym nic wspólnego? Skoro nie wy zabijaliście, to kto?!

Czarownica skierowała wzrok na jednego z mieszkańców wioski, który wyglądał na przestraszonego, lecz nie na tyle, by odebrało mu zdolność do przytomnego myślenia.

– Odpowiedz na moje pytania, a nie uśmiercę cię. Skłam, a zginiesz. Odpowiedzi uzyskam od kogoś innego. Reszta ma milczeć – nakazała.

– Co demonica obiecała wam w zamian za służbę?

– Nie... nie wiedzieliśmy, że jest demonicą – wykrztusił chłopak. – Najpierw krowy zaczęły zdychać... potem przyszła powódź... a zima była ciężka...

– Durni ludzie! – krzyknęła zniecierpliwiona czarownica. – Czemu nie zgłosiliście się po pomoc?! Po zeszłorocznych nieurodzajach przyznawano zapomogi!

Nastolatek jęknął i spuścił głowę, jego ramiona zaczęły się trząść.

– Jak wiele dziewcząt zginęło? – zapytała, porzucając rozważania o problemach w rolnictwie. Tym może zająć się później.

– Trzynaście.

– Co się stało z mieszkańcami tych zniszczonych domów?

– Sprzeciwili się jej.

– Od jak dawna to się dzieje?

– Będzie ze trzy lata...

Pokiwała powoli głową. Jeśli ci ludzie zginęli tak dawno, nie mogła już wyczuć pozostałości po ich śmierci.

– Kto zabijał?

Przesłuchiwany zamilkł i zaczął panicznie rozglądać się na boki, jakby w poszukiwaniu drogi ucieczki. Sara podeszła bliżej i pochyliła się nad

nim. Pomimo beznamiętnego wyrazu twarzy nie wyglądała zbyt groźnie, lecz chłopak i tak skulił się w sobie.

– Mogę wydobyć z ciebie odpowiedź wraz z twoim życiem – wymruczała. – Poruszyć powietrzem w twoich płucach, rozerwać je od środka, odebrać ci oddech, wyrzucić cię w górę tak wysoko, że zginiesz, upadając ... Mogę zrobić naprawdę bardzo wiele rzeczy.

– Ona – powiedział siedzący na trawie mężczyzna, wyglądający raczej na zrezygnowanego niż przestraszonego. – Ci, którzy się jej sprzeciwili, po prostu zasypiali i nie budzili się. A one... Przeprowadzamy je dla niej. Jeśli tego nie zrobimy... weźmie nas.

– Marena nie ma prawa interweniować osobiście – zaprzeczyła Sara. – Nie skrzywdzi nikogo, kto sam jej na to nie pozwoli.

– Mar... Marena? Nie, to przecież... – zaczął chłopak, z którym rozmawiała wcześniej.

– Tak, wiem, że podała wam inne imię. Ma ich wiele.

– ...Sylwia – dokończył cicho. Czarownica szarpnęła się, jej twarz przybrała dziki wyraz, a z ust wydobył się syk. Magia eksplodowała dookoła, któryś z mężczyzn krzyknął, inny upadł i zakrył głowę ramionami. Sara odetchnęła głośno, powoli odzyskując samokontrolę. Serce, szaleńczo tłukące się w piersi, odnalazło właściwy rytm.

– Nie jest nią – wyszeptwała, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. Sięgnęła ręką do ciemnych, krótkich kosmyków, szarpnęła je w zdenerwowaniu. Przymknęła oczy.

Marena, bogini zapomniana i odrzucona, pozbawiona wyznawców. Za oddawanie jej czci orzekano natychmiastową karę śmierci. Zwodząca obietnicami, karmiąca się lękami ludzi takich jak ci, odsuniętych od świata, niewykształconych, zdolna oddalić zimę od ich upraw i śmierć od nich samych, oferująca powodzenie i dostatek. Stąd odnowione domy, kiełkujące rośliny, pieniądze na drogie towary. Mogła jednak dać także coś więcej. Wiedzę. Moc. Dość kuszące, by oddać jej cześć. Dość kuszące, by składać ofiary. Dość kuszące, by zabić. Dość kuszące, by sprzedać duszę.

– Tak – westchnęła. – Tego się nie spodziewałam. Wstań, chłopcze. Obiecałam ci życie. Dostaniesz je. Idź. I powiadom waszą panią, że czekam. Czekam niecierpliwie. A oni czekają wraz ze mną.

Potoczyła wokół niewidzącym wzrokiem. Ledwo zarejestrowała, że nastolatek, uwolniony spod wpływu magii, spogląda na nią z

niedowierzaniem, potem zaś zrywa się i znika między drzewami.

Czarownica weszła na most, na zmurszałe, wysłużone deski. Już nie wściekła, raczej zmęczona.

– Ktoś z was – powiedziała, odwracając się ku swoim zakładnikom – z pewnością ma przy sobie zapalki.

Najpierw temperatura obniżyła się, spadając poniżej zera. Szron nadchodził od strony lasu, osiadając na trawie, pochłaniając coraz większe połacie ziemi, by w końcu sięgnąć mostu. Wreszcie z nieba zaczął padać coraz gęściejszy śnieg. Sylwia starannie przygotowywała swoje wielkie wejście, może chcąc zrobić na przeciwnicze wrażenie, może ją wystraszyć. A może się zabawić. Musiała lubić zabawę, skoro usiłowała wcześniej pogrywać z czarownicą. Dlatego też Sara nie wątpiła, że Sylwia przyjdzie – czy to kierowana źle pojętą odwagą, czy też pewnością siebie albo troską o Dominika.

– Ene, due, rabe – wyszeptała Sara. Śnieg osiadał jej na włosach i ramionach. – Księżca zmieniła wiedźma w żabę. Bogini wzięła twoją duszę, serce więc ci wyrwać muszę. Raz. Dwa. Trzy.

Stopy Sylwii uderzyły o ziemię. Dziewczyna opadła z nieba jak biały ptak, w zwiewnej sukni, barwą nieróżniącą się od śniegu, ze wstążkami w tym samym kolorze wplecionymi we włosy. Gołębek naprzeciw kruka. Sara mimowolnie zastanowiła się, czy po otrzymaniu wyzwania mała, głupiutka służka Mareny pobiegła prosto do szafy, by wybrać coś efektownego.

– Pani musi umrzeć – poinformowała Sylwia śpiewnie. Stała z szeroko rozłożonymi ramionami, a płatki śniegu wirowały wokół niej. Sara nie traciła czasu na słowa, nie wykonała żadnego ruchu, lecz śnieg zatańczył również dookoła czarownicy, jakby w lustrzanym odbiciu. – Jestem kapłanką bogini. Nie wygrasz ze mną – zaśmiała się Sylwia. Łatwo było się domyślić, że nigdy nie walczyła z kimś, kto mógłby stanowić zagrożenie. – Nie wygrasz ze śmiercią.

Sara cisnęła zebraną energią w dziewczynę. Sylwia krzyknęła, zgięła się w pół. Nim zdążyła odpowiedzieć atakiem, przebudzony wiatr rzucił nią w tył, sprawił, że uderzyła o ziemię i potoczyła się po oszronionej trawie. Znów wrzasnęła, tym razem z bólu i złości, a jej moc, zimna, nieukształtowana, pomknęła prosto ku czarownicy.

Trafiła Sarę w piersi i przepłynęła przez jej ciało, wypełniając je chłodem. I choć znacznie wolniej, pofrunęła dalej, ku mężczyznom za mostem, skrzepowanym zaklęciem, ku nieprzytomnemu Dominikowi. Sara stała dokładnie kilkanaście metrów przed nim. Teraz usunęła się, oparła o poręcz mostu, pozwoliła, by wiatr rozwiął śnieg, dając tym samym Sylwii doskonały widok. Tak, by mogła widzieć, że magia za chwilę uderzy w chłopaka.

Sylwia krzyknęła po raz trzeci, uniosła się jak ptak, pomknęła ponad mostem, wyprzedzając skłębiony strumień mocy, gotowa usunąć Dominika z drogi. I wtedy kolejny czar trafił kapłankę w plecy i na kilka sekund powalił na kolana.

Dość długo, by Sylwię dosięgła jej własna moc. Spowolnione zaklęcie uderzyło ją od tyłu.

Temperatura zaczęła wzrastać, śnieg przestał padać, płatki osiadłe na trawie szybko topniały. Sara podciągnęła się na rękach i usiadła na drewnianej, wypaczonej poręczy. Zwolniła zaklęcie krępujące mężczyzn. Nie od razu zdali sobie sprawę z tego, że nie są już uwięzieni. Dominik wciąż pozostawał nieprzytomny – i jako jedyny związany magią.

Postać w bieli leżała twarzą w trawie, z rozłożonymi rękoma, z malowniczo rozrzuconymi włosami. Ptaszek o przetrąconych skrzydłach.

– Wygrałam ze śmiercią dawno temu – mruknęła Sara, wyciągając z kieszeni zapalki. – Raz, dwa, trzy. Dziś przegrywasz ty.

Gdy zapadł zmrok, Sara wciąż siedziała na poręczy mostu. Kilka metrów dalej płonął zaimprovizowany stos.

Dziewczyna nadeszła od strony wsi, w króciutkiej, czerwonej spódniczce, kusej bluzeczce i butach na niebotycznie wysokim obcasie. W tym stroju, z krzykliwym makijażem, wciąż wyglądała na bywalczynię wiejskich dyskotek, czy też raczej na dziwkę. Stała tuż obok Sary i wyciągnęła ku niej paczkę papierosów.

– Nie zaniedbałaś niczego – pochwaliła Marzena. – Ciało potem zatopisz?

– Owszem. Obie wiemy, że skutki wyrwania duszy... można cofnąć. Nie tak łatwo definitywnie uśmiercić awatar bogini – przyznała Sara,

sięgając po cieniutkiego papierosa. Zanim zdążyła wygrzebać z kieszeni zapalki, Marzena dmuchnęła, podpalając go. – Dzięki.

Przez chwilę obie paliły w ciszy, a wokół nich unosiły się kłęby dymu. Chmury przysłoniły niebo, słońce zdążyło zniknąć za drzewami, a mrok rozświetlał jedynie stos pogrzebowy i rozżarzone końcówki papierosów.

– Była taka obiecująca – westchnęła Marzena, spoglądając na ciało. Płonęło powoli, a wiatr niósł ze sobą smród palonego mięsa. – Naprawdę sądziłam, że będziesz z nią miała więcej kłopotów.

– Łatwo manipulować głupcami, którzy kochają – powiedziała Sara, rzucając niedopałek za siebie. – Kto jak kto, ale ty powinnaś o tym wiedzieć najlepiej, Mareno.

Przez twarz Marzeny przebiegł uśmiech.

– Kiedy się domyśliłaś?

– Chciałabym móc powiedzieć, że wtedy, kiedy Sylwia wymieniła twoje imię. Niestety, połączyłam fakty dopiero, gdy pogoniłyście Dominika. Sposób, w jaki ginęły kobiety, imię, dobrobyt, to, że młodzi stąd nie uciekają, kwitnące rośliny...

Marzena – zwana też Mareną, Morą, Śmiercietką czy najczęściej Marzanną – zachichotała. Kiedy znów spojrzała na Sarę, w głębi czarnych oczu płonęło coś, co było czymś więcej niż odbiciem ognia, pochłaniającego powoli ciało Sylwii.

– Szybciej niż oczekiwałam. Znów cię nie doceniłam, mała wiedźmuszko.

– To zawsze był wasz problem – rzuciła Sara obojętnie. – Niedocenywanie śmiertelników. Choć przyznaję, nie wpadłam na to, że zrobiłaś sobie z kogoś awatara. Mogę jeszcze jednego?

Marena podsunęła jej paczkę. Czarownica podpałała kolejny zwitek tytoniu, tym razem używając zapalek, zaciągnęła się i wypuściła z płuc chmurę dymu.

Sylwia płonęła teraz tak, jak ofiary karmiące swoją śmiercią Marzannę, umierające tak, jak ona symbolicznie ginęła co roku.

– Wiedziałaś, że ją zabiję – powiedziała zamyślona czarownica, bawiąc się papierosem, nie unosząc go już ku wargom. – Kiedyś próbowałaś skraść mi duszę i twoja moc raz mnie dotknęła, nie mogła zrobić tego po raz drugi. A jednak trzykrotnie posłałaś ją do mnie.

– Och, proszę, nie mów, że ci jej żal. Sama wybrała swój los.

– Uczyniłaś ją swoją kapłanką, nie narzędziem – kontynuowała Sara, jakby nie dosłyszała słów Marzanny. – Obdarowałam mocą, a ona zapewniła ci nie tylko wiarę, lecz i ofiary. Potem ją oszukałaś, jak niegdyś próbowałaś oszukać mnie. Pozwoliłaś mi ją zabić. Dlaczego? Dlaczego tak łatwo oddałaś swojego awatara, Marena? Dlaczego wybrałaś miejsce tak bliskie mojego miasta? Dlaczego postarałaś się poruszyć wspomnienia?

Marena uniosła rękę, położyła dłoń tuż ponad sercem Sary. Nawet przez warstwę ubrań czarownica czuła chłód, promieniujący od jej skóry.

– To tylko jeden przystanek na drodze, wiedźmuszko. Nie chodziło o ciebie, choć miło byłoby przy okazji przypomnieć ci, co mam do zaofiarowania. Jak wiele możesz zyskać. I jak bardzo boisz się śmierci. Zabiłaś Sylwię. Droga stoi otworem.

– Tak łatwo manipulować głupcami, którzy kochają – powtórzyła Sara cicho. – Tak łatwo kupić tych, którzy pragną. Ja jednak nie kocham nikogo pod tym niebem i nikt na tej ziemi nie kocha mnie. Niczego nie pragnę, ani bogactwa, władzy, ani mocy i sławy. Nie masz czym zapłacić za moją wolność.

Szybkim ruchem wyciągnęła rękę i przytknęła zapalonego papierosa do miejsca, w którym powinno znajdować się serce bogini. Nasączony magią, całą magią, jaką tylko mogła przywołać Sara, zapłonął jasnym ogniem. W słowach, w wierze, w liczbach tkwiła moc, a dziś był dwudziesty pierwszy marca i dzieci podpalały kukły, by wrzucać je do rzek. Zabijając Marzannę, by przegonić zimą, by przyzwać wiosnę.

Marena krzyknęła. Czarownica zeskokczyła z poręczy, obiema rękami pchnęła boginię, wrzucając ją do wody. Poparzyła przy tym dłonie i, wyzuta z energii, padła na kolana. Poświęciła wszystkie siły, by odegnać Marenę, uniemożliwić jej podróż do, jak to ujęła, kolejnego przystanku. Nie łudziła się, że zniszczyła boginkę na zawsze. Ona wróci, wróci wraz z zimą, lecz teraz...

Teraz zaczynała się wiosna.

– Marzanno, Marzanno – wyszeptala z trudem – ty zimowa panno. Dziś cię utopimy, bo nie chcemy zimy.

Przesyłkę dostarczono wczesnym rankiem, gdy jego wielmożność

Tomasz Niepołomic wciąż spał. Powiadomiono go o paczce dopiero po obfitym śniadaniu, bowiem całej służbie było wiadome, że pan Tomasz przed zjedzeniem pierwszego posiłku bywa rozdrażniony i zawracanie mu wtedy głowy może skończyć się ostrą reprimendą. Ostrej reprimendy jednak służący i tak nie uniknęli, gdyż przesyłka została nadana przez Sarę Weronikę Sokolską, Pierwszą Czarownicę Polanii, a wysyłki od niej w klasyfikacji pana Tomasza były ważniejsze od posiłków. Na usprawiedliwienie pracowników można powiedzieć, że jak dotąd ważniejsze od jedzenia nie okazały się nawet wieści o śmierci jego jedynej siostry. One nie groziły jednak wybuchem, a ta Piekielnica – jak zwykł mawiać o niej pan Tomasz (nie on jeden zresztą) – mogłaby posunąć się do wysłania mu bomby, co z pewnością w jej opinii stanowiłoby doskonały dowcip.

Paczka, dość duża, owinięta w szary papier, została poddana dokładnym oględzinom, opukana, potraktowana wykrywaczem magii, a wreszcie ostrożnie otworzona przez lokaja. Pan Tomasz podczas tych zabiegów stał tuż przy drzwiach, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki – czy też raczej oddalić się godnie, aczkolwiek szybko, do spraw niecierpiących zwłoki, albowiem żaden Niepołomic nie miał w zwyczaju uciekać. Wszak od czasu, gdy jeden z dalekich przodków Tomasza odmówił uciekania przed przeważającymi siłami wroga i bohaterskim kontratakiem uratował królewskie życie, motto rodu brzmiało: „Nie uciekniemy”.

W środku był koszyk. Zwyczajny, wiklinowy. Lokaj powoli uniósł pokrywkę, po czym natychmiast ją opuścił, piszcząc przy tym cienkim głosem, absolutnie niepasującym do żadnego szanującego się lokaja, a na pewno nie do lokaja Tomasza Niepołomica. Jego twarz poszarzała. Zirytowany arystokrata porzucił wreszcie bezpieczne stanowisko, by osobiście sprawdzić, co wzbudziło przerażenie w wiernym słudze.

Nie wrzasnął, ponieważ komuś o jego pozycji wrzeszczeć nie wypadało. Pobladł tylko, co było dopuszczalne i uchodziło nawet w najznamienitszym towarzystwie.

W koszyku leżała głowa. Nie dało się ocenić, czyja, ani nawet określić płci, włosy i rysy twarzy strawił bowiem ogień. Nim pan Tomasz zamknął wieko, zdążył jeszcze odczytać umieszczoną w środku wiadomość:

Wybacz, ale nie miałam pod ręką srebrnej tacy.

S.W.S.

Rozdział pierwszy

Wiele Pieśni

– Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszu piknikowym...

Król nie dał po sobie poznać, że usłyszał te słowa. Wciąż udawał uprzejmie zainteresowanie przemową wojewody pomorskiego, lecz jednocześnie ukradkiem zerkał w prawo, skąd dobiegał głos. Nie mógł jednak ustalić, kto wypowiedział słowa, które czystym przypadkiem przedarły się przez gwar, by dotrzeć do królewskich uszu.

Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszu piknikowym.

– ...syreny zanadto się rozzuchwały – kontynuował Marcin Kasztelan, wymachując przy tym pulchnymi, serdelkowatymi dłońmi. Nalana twarz wojewody, nosząca ślady długoletniego pijaństwa, wzbudzała w ceniącym piękno Julianie Łukomskim wstręt. Po raz kolejny zastanowił się ponuro, co takiego sprawiło, że ludność województwa pomorskiego wybrała właśnie Kasztelana na swojego reprezentanta, oraz po jaką cholere po wojnie jego własny pradziadek umyślił sobie podążenie za amerykańskimi wzorcami poprzez częściową demokratyzację królestwa.

– Czy wasza wysokość imagинуje sobie, że chcą praw obywatelskich? Praw obywatelskich! Przecież to ryby. A dzieci i ryby głosu nie mają!

– Istoty humanoidalne – sprostował łagodnie Julian. – Przypominam, że w myśl ustawy z 1946 roku wszelkie stworzenia humanoidalne zdolne do porozumiewania się mają zagwarantowaną nietykalność osobistą oraz ograniczone swobody obywatelskie.

Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszu piknikowym.

Twarz Marcina poczerwieniała i król z irytacją pomyślał, że wojewoda wygląda, jakby miał dostać ataku apopleksji. I dobrze, uznał nagle. Trafily go szlag i wreszcie byłby święty spokój.

– Niszczą sieci! – krzyknął z oburzeniem Kasztelan. – Nie trzymają

się terenu rezerwatu, kilka z nich widziano w pobliżu plaż!

Wąskie usta Juliana wygięły się w wymuszonym uśmiechu, ale z brązowych oczu wciąż wзираła niechęć. Niechęć, której Marcin wyraźnie nie dostrzegął. Powody wyniesienia go zaledwie przed miesiącem na intratne stanowisko tak naprawdę były dla króla jasne. Nienawiść wobec wszelkich nie ludzi, żywioną przez Kasztelana, podzielało – jak wynikało z ostatniego raportu – ponad dwadzieścia procent społeczeństwa. W województwie pomorskim ten odsetek sięgał trzydziestu siedmiu procent, a dalsze dziesięć procent ludności deklarowało wprawdzie umiarkowaną sympatię wobec magicznej menażerii, ale zaznaczało, że zbyt wiele uwagi i pieniędzy poświęca się ich problemom. Doskonały elektorat dla tego odrażającego człowieka.

– Rezerwat jest ich domem, nie więzieniem. Nie mają zakazu jego opuszczania – spróbował po raz ostatni, nie licząc jednak na to, że do Marcina cokolwiek dotrze.

– Najwyższa pora to zmienić! – oznajmił z przekonaniem wojewoda.
– To jedno z ważniejszych zadań, jakie stawiam przed sobą w czasie mojej pierwszej kadencji...

– Pan wybaczy – uciał stanowczo Julian, dochodząc do wniosku, że nie zniesie dłużej zarówno patrzenia na wojewodę, jak i wysłuchiwanie jego płomiennej przemowy. Porwał szklankę z tacy przyniesionej przez drobną, ciemnowłosą dziewczynę, której widok natychmiast jeszcze bardziej zwarzył królewski humor. Przypomniała bowiem inną pannę, o równie ciemnych włosach, której na sali balowej brakowało, choć życzył sobie jej obecności – było zaś powszechnie wiadome, że życzenia i sugestie władcy więcej wspólnego mają z rozkazami.

Kiedyś przysłała Tomaszowi przypaloną głowę w koszyku.

– ...czytałam w „Fakcie Codziennym”, że mają romans, ale trudno mi w to uwierzyć, przecież on zawsze wszystko wybiera w najlepszym guście, a ona... – Kobieta w średnim wieku, o fantazyjnie upiętych, jasnych włosach, umilkła, widząc gorączkowe znaki czynione przez rozmówczynię. Obejrzała się i zarumieniła na widok przechodzącego króla. Julian obdarzył ją zimnym uśmiechem, nim przemknął dalej. Oczywiście, nie mógł długo cieszyć się spokojem. Po kilku sekundach przy jego boku zmaterializował się Kacper Czartoryski, wiodąc ze sobą wiotką kobietę w bieli, o ogromnych, niebieskich oczach. Julian lubił

Kacpra, jednego ze swoich najstarszych przyjaciół – o ile oczywiście król mógł w ogóle mówić o posiadaniu przyjaciół.

– Królu. – Kacper skłonił głowę, na jego lisiej, piegowatej twarzy pojawił się chytry uśmiech. Prywatnie zwracał się do władcy po imieniu, przy takich okazjach jak ta stosował kompromis, zwąc Juliana „królem”, ale nie „waszą wysokością”. Brzmiało to bardziej jak pseudonim niż tytuł. – Wspaniałe przyjęcie, doprawdy wspaniałe. Pozwolę sobie osobiście pogratulować i życzyć wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, wcześniej nie było ku temu okazji. Prezent, oczywiście, znajduje się tam, gdzie inne.

– Nie wątpię, że wybije się na ich tle – mruknął zgryźliwie Julian, pamiętając doskonale ostatni dar od przyjaciela: dmuchaną lalkę. Jediną osobą oprócz Kacpra, która mogłaby się poważić na ofiarowanie królowi czegoś takiego, wiedząc, że nie grożą jej żadne konsekwencje, była Pierwsza Czarownica. Nieobecna Pierwsza Czarownica, Niech Ją Jasny Szlag Trafi.

– Nie przedstawiś mnie swojej uroczej towarzysze?

– Lidia Skibińska, dziekan Wydziału Magicznego Uniwersytetu Warszawskiego. To prawdziwy zaszczyt móc się tutaj znaleźć – przedstawiła się kobieta, podając władcy dłoń. Julian ucałował czubki opalonych palców, jednocześnie rzucając przyjacielowi szybkie spojrzenie, na co Kacper wzruszył lekko ramionami. Król do tej pory znał Lidię Skibińską jedynie z opowieści i paru zdjęć w gazetach, którym jednak nie poświęcał tyle uwagi, by od razu ją rozpoznać. Wiedział, że pochodzi z bogatej rodziny o magicznych tradycjach, że jej ojciec zasiadał w Łoży Magów Polanii, jednocześnie pełniąc ważną funkcję w europejskim Konwencie Magii. Wiedział także, że została najmłodszym dziekanem w historii oraz że ona i jego nadworna czarownica nienawidziły się jak wściekłe psy. Po raz pierwszy pomyślał, że nieobecność Sary Weroniki Sokolskiej na dzisiejszym przyjęciu jest jednak prawdziwym błogosławieństwem. Gdyby te dwie wzięły się za łby, do czego doszłoby niechybnie, zamek zadrżałby w posadach.

– Doprawdy, Kacprze, musimy koniecznie jutro pogawędzić w cztery oczy, chciałbym wiedzieć, jak poznałeś tak niezwykłą damę – stwierdził, ale uprzejmy ton nie współgrał ze spojrzeniem. Kacper z pewnością rozszyfrował ukryte przesłanie, zdając sobie sprawę z tego,

że ta wypowiedź w ustach Juliana znaczyła tyle, co „wytlumaczysz mi, do cholery, dlaczego postanowiłeś zamienić przyjęcie w Armagedon i zrujnować moją salę balową?”.

– Oczywiście, panie – odparł radośnie Czartoryski, a król westchnął w duchu. Choć Kacper dobiegał trzydziestki, czasami wciąż zachowywał się jak psotny chłopiec, znajdujący niezwykłą przyjemność w sianiu zamętu.

– Miałam nadzieję, że spotkam tutaj starą przyjaciółkę – wtrąciła Lidia, uśmiechając się przepięknie. – Pierwszą Czarownicę. Nie widziałyśmy się całe dwa lata.

– Sarę, niestety, zatrzymały pilne obowiązki. Ubolewam, że nie może świętować z nami. Przekażę, że pytała pani o nią.

– Oczywiście. Zdaję sobie sprawę z tego, że Sara piastuje niezwykle odpowiedzialne stanowisko.

Ja wiem i ty wiesz, że te pilne obowiązki wiążą się pewnie z włączeniem po podłych knajpach albo leczeniem kaca, mówiły oczy Lidii, bardzo niebieskie, bardzo duże i bardzo, bardzo zimne. A może Julianowi tylko tak się zdawało i nic nie kryło się w błękitnych tęczęwkach, żadna przygana, żadne niewypowiedziane słowa. Nieoczekiwanie dla samego siebie poczuł jednak wstyd za tę postrzeloną wiedźmę, za krążące wokół niej plotki, za artykuł w „Fakcie Codziennym” o ich domniemanym romansie, za pogłoski, że nie potrafi zapanować nad swą nadworną czarownicą, za posądzenia, że źle dokonał wyboru, kierując się prywatą, nie kwalifikacjami. Wreszcie za dzisiejsze upokorzenie, jakim była nieobecność Sary, niewypełnienie królewskiego nakazu. Może faktycznie nie potrafił zapanować nad kimś, kto powinien mu służyć. Nawet przed samym sobą nie umiał przyznać, że tutaj nie było żadnego może i egoistycznej, lecz potężnej czarownicy nikt nie nagnie do swojej woli.

– Wręczyła ci już prezent, panie? Słyszałem, że pani Sokolska ma intrygujące zwyczaje, jeśli idzie o podarunki. Ponoć Tomasz dostał od niej odciętą głowę? – kontynuował Kacper. Ty przebiegły lisie, złościł się w duchu Julian. Poczekaj aż złapię cię samego, wtedy inaczej będziesz śpiewać.

Wszystko w Kacprze było lisie i rudawe. Puszyste włosy, oczy w kolorze bursztynu, wąska twarz i charakter, którego główną cechą był spryt, tradycyjnie przypisywany tym zwierzętom. Potrafił każdego

wyprowadzić w pole, intrygi miał we krwi, a choć Julian darzył go sympatią, wiedział, że nie można mu ufać. Czasem sądził, że Czartoryskiemu brak tylko rudej kity.

– Plotki – odparł chłodno, choć dobrze wiedział, że w tej akurat opowieści leżało nie tylko ziarnko prawdy, lecz cała jej miarka. Sara rzeczywiście posłała Tomaszowi Niepołomicowi odciętą głowę, twarz ofiary naprawdę była spalona, a niezwykle dar umieszczony w koszu piknikowym. Głowa należała jednak do kobiety, która zabiła siostrę pana Tomasza. Pierwsza Czarownica powinna była dyskretnie doprowadzić całą sprawę do końca, lecz potraktowała zbyt dosłownie żądanie postawione przez Niepołomica.

– Nasza Sara jest tematem wielu plotek – powiedziała Lidia konfidencyjnym szeptem. Z tymi jasnymi lokami i błękitnymi, ogromnymi oczyma wyglądała niczym anielica z obrazka, lecz Julian był doskonale świadom, że czarodziejkom i czarownicom również nie należy ufać. Nieważne, jak niewinnie się prezentują. – Samorodny talent, doprawdy. Pomyśleć, że nigdy nie zdobyła dyplomu. I nikomu nie zdradziła, kto uczył ją podstaw magii.

Król, od najmłodszych lat uczony skomplikowanych kroków dworskiego tańca, bez trudu odgadł, że prawdziwe znaczenie wypowiedzianych słów również tym razem jest zupełnie inne, niż mogłoby się zdawać. Dyplom Wydziału Magii, najlepiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, Warszawskiego, Lwowskiego lub ewentualnie jakiejś zagranicznej, cenionej uczelni, stanowił oznakę prestiżu i warunek konieczny, aby dołączyć do magicznej elity Polanii. Lidia pod płaszczykiem pochwały subtelnie przypominała, że Pierwsza Czarownica, sprawująca najwyższe państwowe stanowisko dostępne władającym magią, nie posiada należytego wykształcenia.

Sam Julian nie wiedział, jak Sara zdołała osiągnąć taki poziom, nigdy nie uczęszczając do szkół. W młodości musiała być szkolona przez jakiegoś mistrza, lecz szybko zakończyła naukę. Pojawiła się w Krakowie nie mając dwudziestu lat i już wtedy (przynajmniej tak sądził) nie czyniła żadnych kroków, by doskonalić swoje umiejętności. Jej magia, jak i ona sama, pozostawała na wpół dzika. Czarownica nie znała bądź nie używała wielu typowych czarów, lecz mało kto odważyłby się stawić jej czoła w bezpośrednim starciu.

– Tak, ludzie uwielbiają powtarzać niestworzone opowieści. Rok albo

dwa temu słyszałem coś o pojedynku na Baraniej Górze? A może to było gdzieś w Pieninach?

Lidia nie zdołała powstrzymać grymasu. Kacper ukradkiem uniósł kciuk, gratulując przyjacielowi zwycięstwa w tej potyczce.

– Zechciejcie wybaczyć, pora rozpocząć tańce – przeprosił Julian. Partnerka do pierwszego walca została oczywiście wybrana już wcześniej i była nią Małgorzata Warchocka, która w ostatnim numerze „Na Topie” została wymieniona jako jedna z dziesięciu najbardziej prawdopodobnych kandydatek na królową, zajmując na liście zaszczytne, drugie miejsce. Władca powoli i nieubłaganie zbliżał się do trzydziestki, a co za tym idzie coraz częściej pojawiały się spekulacje na temat jego domniemanego ożenku.

Małgosia była tylko o rok starsza, doskonale urodzona, wykształcona, zamożna, a dzięki fortunie wydawanej na stylistów, dietetyków, fryzjerów, kosmetyczki i mikstury upiększające prezentowała się może nie pięknie, ale bardzo elegancko. Wprawdzie nogi miała trochę krzywe, a nos wyjątkowo zadarty, lecz oczy śliczne, ocienione długimi rzęsami, włosy zaś naturalnie rude, lśniące i gęste. Cóż z tego, skoro takie z niej pokorne, głupiutkie ciele? – myślał Julian, kłaniając się przed kobietą. W tych ładnych oczach nigdy nie dostrzegł nawet śladu inteligencji, dyplom musiała sobie chyba kupić. Nie posiadała własnego zdania na żaden temat, co pozornie czyniło ją idealną kandydatką na małżonkę, lecz Juliana doprowadzało to do szału.

– Panie? – spytała Małgorzata nieśmiało, dostrzegając grymas na królewskiej twarzy. Julian natychmiast się zmiłgował i uśmiechnął. Złość wzięła się z wspomnienia dziesiątej kandydatki na liście, jeszcze mniej prawdopodobnej od Małgorzaty i jeszcze bardziej niż ona doprowadzającej go do szału. Powszechnie wiadomo, że jego królewska mość wiele czasu spędza w towarzystwie Sary Weroniki Sokolskiej, a jak donosi dobrze poinformowane źródło, łatwo dostrzec zażyłość pomiędzy tą dwójką, pisała dziennikarka „Na Topie” pod niewyraźnym zdjęciem Sary. Z Pierwszą Czarownicą Polanii wiąże się wiele kontrowersji. Gdy po śmierci Jeremiego Lachowicza, poprzedniego nadwornego maga, została wybrana na to stanowisko, królewska decyzja wzbudziła powszechne oburzenie...

Sanika śmiała się, czytając na głos ten artykuł, następnie zażądała pierścionka z odpowiednio dużym brylantem, by wreszcie kazać mu

„przestać się nadymać”. Julian rzeczywiście siedział ze skwaszoną miną, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, gotów żenić się choćby natychmiast z pierwszą lepszą dziewczyną z ulicy, byleby wreszcie cały kraj przestał śledzić jego poczynania matrymonialne. Insynuacje na temat związku z Sarą towarzyszyły mu, odkąd skończył siedemnaście lat, choć niewiele było w nich prawdy. Zawsze była dla niego kimś w rodzaju szalonej starszej siostry – czego oczywiście nigdy nie powiedziałby nikomu, a już na pewno nie jej.

Dziesięciocentymetrowy obcas, sprawiający, że Małgorzata była tylko dwa centymetry niższa od Juliana, wbił się w królewską stopę. Kobieta splonęła się, na chwilę zgubiła rytm, ale władca prowadził pewnie, udając, że nic się nie zdarzyło. W lustrach, które przed paru laty umieszczono na jednej ze ścian, co jakiś czas migały ich odbicia pomiędzy sylwetkami innych gości. Małgosia w długiej, zielonej sukience, maskującej nogi, główny mankament jej urody, za to eksponującej imponujący dekolt i podkreślającej kolor oczu. Rude włosy miała ułożone w misterną fryzurę. Julian był mężczyzną raczej eleganckim i niebrzydkiem niż przystojnym w konwencjonalnym stylu, wyglądał jednak dobrze: wysoki, dystygowany, z brązowymi, gładko zaczesanymi włosami, teraz przyodziany w doskonale skrojony garnitur. Jednak jako para nie prezentowali się olśniewająco. Wiedział, że jeśli zdecyduje się spotykać z Małgorzatą, szybko zostaną okrzyknięci najpiękniejszą parą Polanii, chociaż gdyby ubrać ich zwyczajnie i pozbawić wszelkich tytułów, nikomu nie wpadłoby do głowy pisać zachwyty nad ich domniemaną urodą.

Na parkiet wchodziły kolejne pary. Julianowi mignął książe Nikolas z Avenburgu, którego przybycie wywołało prawdziwe zdumienie, ponieważ niezmiernie rzadko opuszczał swą wyspę. Następnie pojawiła się pani premier Republiki Federacyjnej Niemiec z mężem, a potem Uwe Holtz, zastępca przewodniczącego Konwentu Magii. Królewskie urodziny zebrały ładną gromadkę znakomitości, w związku z czym po sali kręciła się zdumiewająca liczba ochroniarzy. Tym bardziej powinna więc tu być także osoba odpowiedzialna za magiczne osłony zamku.

Julian zazgrzytał zębami ze złości. Sanika, do jasnej cholery. Gdzie ty się podziewasz, przeklęta wiedźmo?

Tadeusz Rosiński skończył pracę o siedemnastej, ale – jak prawie codziennie od trzydziestu lat – został do osiemnastej trzydzieści, spędzając półtorej godziny w archiwach. Gdy zamykał drzwi na klucz, zegarek o podrapanej tarczy wskazywał równo osiemnastą trzydzieści jeden. Mógł temu wierzyć, ponieważ nosił ten zegarek od trzydziestu lat i bardzo dobrze wiedział, że nie spóźnia się on ani o sekundę.

Jeszcze przed piętnastu laty Tadeusz miał zwyczaj zbiegać po schodach, zegnać się ze strażnikiem, a później energicznym krokiem przemierzać ulicę, aby o osiemnastej czterdzieści pięć usiąść przy stoliku w kameralnej restauracyjce U Pandory, oferującej smakowite obiady w – jak na Kraków – bardzo przyzwoitych cenach. A nawet z niemałą zniżką dla starego znajomego właścicielki. Teraz jednak kroki historyka nie były tak zwawe jak niegdyś, pokonywał więc stopnie powoli, trzymając się poręczy. Niedawno postanowił, że na siedemdziesiąte urodziny kupi sobie laskę z porządnego, lakierowanego drewna, zakończoną wygodną rączką. Wiek zaczynał dawać się mu we znaki, a noga, która przed paru laty ucierpiała w wypadku i została cudownie ocalona przez uzdrowiciela, w deszczowe dni – takie jak dziś – pulsowała tęnym bólem. Tak, laska była koniecznością.

Nie pożegnał tym razem strażnika, ten bowiem przed siedmiu laty odszedł na emeryturę i został zastąpiony łysym, rośłym młodzieńcem, którego Tadeusz mijał, milcząc wyniośle. Następnie szedł ulicą, również nie tak szybko jak kiedyś, więc do restauracji docierał zazwyczaj przed siódmą wieczorem. Tego dnia ból dokuczał mu jednak bardziej niż zwykle. Poza tym musiał walczyć z parasolką i omijać kałuże. Na miejsce dotarł więc równo o dziewiętnastej. To opóźnienie zirytowało starego historyka, a jeszcze bardziej zdenerwował się, widząc, że jego ulubiony stolik jest już zajęty przez grupkę rozchichotanych nastolatków w stanowczo zbyt krótkich spódniczkach.

Za jego czasów dziewczęta nie śmiały się w tak głupi sposób. Przynajmniej tak mu się wydawało, ponieważ nigdy nie zwracał specjalnej uwagi na istoty płci żeńskiej, chyba że były królowymi, księżniczkami bądź czarodziejkami opisywanymi na kartach książek historycznych.

Niechętnie zajął inne miejsce, rzucając nastolatkom krzywe

spojrzenie. Jak zwykle zamówił kawę, a do tego, jak zawsze w sobotę, omlet i ciasto porzeczkowe na deser. Kelnerka była nowa, miała na głowie burzę farbowanych loków, a oczy wymalowane zgodnie z ostatnią modą: jeden kolor cienia na powiekach, drugi, jaśniejszy, ponad nimi, aż do brwi, i trzeci, odchodzący od kącików oczu ku skroniom. Tadeusz oczywiście nie wiedział, że to najnowsza moda, która przywędrowała z Francji, i że osobą, która ją wprowadziła, była Evangelina, znana czarodziejka i projektantka. Po prostu uznał, że twarz kelnerki przypomina malarską paletę.

– Trwa przyjęcie, zorganizowane z okazji dwudziestych piątych urodzin jego królewskiej mości Juliana Ksawerego Łukomskiego. Na zamek przybyły osobistości ze świata polityki, finansów oraz magii Polanii. Nie zabrakło także gwiazd takich jak piękna Kamila Arlecka, jedyna polska aktorka, która zdobyła Oscara. Swoją obecnością uroczystość zaszczyliło również kilku gości z zagranicy. Wielkim zaskoczeniem było pojawienie się księcia Nikolasa z Avenburga, który wyjątkowo rzadko opuszcza rodzinną wyspę...

Miejsce, zajęte z konieczności przez Tadeusza, znajdowało się na wprost płaskiego ekranu, wprawionego w ścianę. Miał więc doskonały widok na blond dziennikarkę, komentującą obchody królewskich urodzin, i gości, którzy za jej plecami wysiadali z limuzyn. Na sam zamek prasy nie wpuszczono.

Historyk niewiele jednak uwagi poświęcił relacji z uroczystości. Jego myśli zaprzętała rozprawa na temat potopu szwedzkiego i roli, którą podczas obrony Krakowa odegrał Smok Wawelski. Tadeusz miał zamiar postawić śmiałą tezę, że gdyby nie Smok, miasto mogłoby zostać zrujnowane, a nawet zdobyte. Pochłonięty tworzeniem planu rozprawy, zamarudził i wyszedł z restauracji trochę później niż zwykle, bo o dziewiętnastej trzydzieści siedem. Niestety, wciąż padało, a od przystanku dzieliło go piętnaście minut spaceru. Z nagłym smutkiem przypomniał sobie, że nie tak dawno temu na pokonanie tej samej drogi potrzebował dwa razy mniej czasu. Starzał się. Przeszedł trzy poważne choroby i operację. Nie przeżyłby, gdyby nie opłacał wyższej składki ubezpieczeniowej, gwarantującej pomoc magiczną, jeśli zawiedzie konwencjonalna medycyna.

O ósmej wieczorem wszedł do tramwaju i wysiadł po dwudziestu sześciu minutach. Niebo na wschodzie już pomału ciemniało, a na

zachodzie pokrywało się delikatnym różem. Sklep spożywczy znajdował się tuż koło przystanku. Tadeusz, jak co dzień, kupił złocistą bułeczkę na jutrzejsze śniadanie, butelkę wody mineralnej i kawałek sera. Kiedy zbliżał się do kamienicy, w której mieszkał, stary zegarek wskazywał za trzy dziewiątą. Noga pulsowała bólem i istniała realna groźba, że pokonanie schodów zajmie więcej niż trzy minuty, a więc Tadeusz spóźni się na swój ulubiony film dokumentalny. Oglądał go w każdą sobotę przed położeniem się spać. Niedziela, jedyny dzień, gdy nie chodził do pracy, przeznaczona była na pisanie oraz, jeśli pogoda dopisywała, na spacer po parku.

Tego dnia słońce zaszło o dwudziestej pięćdziesiąt. Niebo było już ciemne, w mieście zapalały się latarnie, zaniedbane podwórko kamienicy tonęło jednak w ciemnościach. Zdyszany Tadeusz musiał oprzeć się na chwilę o mur – i w tym samym momencie czyjeś ręce szarpnęły go w tył, a na głowę zarzucono mu worek. Zbyt zaskoczony, aby podjąć próbę obrony, oprzytomniał tuż po tym, jak napastnik uniósł go i cisnął na coś twardego. Ból w obitym, chorym biodrze otrzeźwił historyka. Tadeusz wrzasnął głośno. Jednak gruby materiał stłumił krzyk, a po sekundzie rozległ się trzask zamykanej kłapy bagażnika.

Klub nie różnił się od innych tego typu przybytków w mieście, ożywających dopiero po zmroku, zadymionych, tłocznych, pełnych cieni i kolorowych, szybko migających świateł. Jak w każdą sobotę koło dwudziestej drugiej zajęto wszystkie miejsca siedzące, na okrągłych, odrapanych blatach stały kufle piwa i drinki, a na parkiecie poruszali się młodzi ludzie. Błyskały reflektory, a sylwetki znikwały w ciemności, by zaraz pojawić się na moment w barwnych plamach, i przez to nawet ruchy najbardziej niezgrabnych tancerzy zdawały się mniej niezdarne, pasujące do dudniącego rytmu.

Głód...

Ściany i podłoga wibrowały. Ktoś skaczący po parkiecie wypuścił trzymany w ręku kufel piwa. Piana i odłamki szkła rozprysły się na wszystkie strony. Trzy dziewczęta, tańczące w kółku, potrząsały jasnymi włosami. Obok ręce jakiegoś studenta błądziły po ciele partnerki, tym śmieiej, im większy był wokół tłok. Dwie dziewczyny,

mimo mocnego makijażu wyglądające na niepełnoletnie, wdrapały się na stolik. Szybko przyciągnęły uwagę siedzących w pobliżu – jedna długimi, opalonymi nogami, spódnicą ledwo okrywającą pośladki, grzywą rudych włosów i dekoltem, druga, niższa i blada, ubrana w skórzaną kurtkę, choć nie tak urodziwa, ruchami, które nie wymagały błyskających świateł, by wydawały się zmysłowe.

Głód, głód, jeść, takie świeże, żywe, jeść.

Pracownik utorował sobie drogę w tłumie, szybko usunął pokruszone szkło i wytarł rozlane piwo. Przedarł się także w kierunku dwóch tancerek i stanowczo machnął ręką, ale wysokie obcasy rudej nie przestały rysować blatu. Była zbyt pijana, aby przejmować się czymkolwiek. Druga jednak posłusznie zsunęła się ze stołu, wpadając prosto w czyjeś ramiona. Ktoś ją pochwyił i uniósł, zanim jej nogi zdążyły dotknąć ziemi. Odrzuciła głowę w tył, muzyka zagłuszyła jej śmiech. Pracownik pociągnął wciąż tańczącą rudowłosą za opaloną dłoń. Mężczyzna siedzący przy stoliku obok, może partner dziewczyny, a może tylko ktoś, kto wypił jedno piwo za dużo, poderwał się, rzucił do przodu z uniesionymi pięściami.

Żywe, żywe, płonie, błyszczący, tak błyszczący, jeść.

Zakotłowało się, ruda spadła z przewróconego stołu, ktoś kogoś popchnął, za co natychmiast oberwał, stojący bliżej zaczęli przepychać się do wyjścia, przy stolikach rozpętała się bijatyka. W klubie zapanował chaos, wezwani ochroniarze próbowali przedrzeć się przez tłum. Dwóch chłopców skorzystało z zamieszania i porwało nieopłacone piwa.

Drobna dziewczyna, wcześniej tańcząca na blacie, wbiegła na schody prowadzące do wyjścia, ciągnąc za rękę mężczyznę, który ją złapał, gdy zeskakiwała ze stołu. Krótkie ciemne włosy lepiły się jej od potu. Ostry makijaż, fioletowe i czarne spirale pokrywające niemal całą twarz, nie mogły ukryć wyraźnych sińców pod oczami. Mężczyzna wyglądał na starszego o przynajmniej dziesięć lat, był rostry, ciemnooki, miał brązową skórę, poznaczoną tatuażami.

Jeść.

Na zewnątrz wypadło parę osób, kilka zostało przy schodach, czekając na koniec zamieszania. Siąpił deszcz, a noc była ciepła. W uszach, przez ostatnie godziny wydanych na pastwę decybeli, dzwoniła cisza, oczy zmęczone migającymi światłami mrugały raz za razem.

Mężczyzna przycisnął do siebie tancerkę, pocałował, a ta w odpowiedzi entuzjastycznie zarzuciła mu ręce na szyję. Pachniała piwem, potem i nocnym wiatrem. Jej blada skóra odcinała się od jego ciemnej latynoskiej cery.

– Jak masz na imię? – spytał. Usta błdziły po szyi, sięgały ucha.

– Jak zechcesz – rzuciła, pozwoliła pociągnąć się rzeźnicie oświetloną ulicą, a potem gdzieś w prawo, w jedną z bocznych uliczek, o tej porze niemal już nieuczęszczanych. Biegiem, dalej od ludzi, od jaskrawych świateł.

Żywe, jasne, płonie, daj, daj, jeść, tyle życia.

– Jak masz na imię? – powtórzył, gdy zatrzymali się w jakiejś bramie, gdzie cień był głębszy i blade światło lamp nie rozpraszało ciemności. Jego ręce sięgnęły do kurtki, na chwilę odsunęli się od siebie i...

...ciemnobrązowe oczy, które przez chwilę w półmroku wydawały się czarne, rozwarły się szerzej. Dziewczyna wyciągnęła nóż, z podejrzanego gardła popłynęła krew. Popchnęła mężczyznę, oboje upadli na mokry bruk, a ostrze znów zagłębiło się w ciele. Tym razem cięła głęboko przez pierś. Usadowiła się wygodniej, okrakiem na brzuchu Latynosa, i zagłębiła palce w ranę.

– Miła zabawa?

Wszystkie pobliskie światła zgasły, zaulek spowił mrok. Dziewczyna znieruchomiła z prawą ręką wciśniętą w pierś trupa. Po chwili zerknęła przez ramię za siebie. Gdy odszukała wzrokiem jeszcze jeden cień, postać od stóp do głów odzianą w czerń, powoli opuściła lewą dłoń. Nóż, gotów do rzucenia, upadł na bruk, prysła woda. Ciemne loki mężczyzny nasiąkały deszczówką z kałuży, krew spływała mu po szyi i piersi.

– Wiele Pieśni. Miła zabawa, niemiła niespodzianka.

Znów się pochyliła, paznokcie szarpały mięśnie, po palcach skakały błękitne iskierki, gdy pomagała sobie magią. Zaciśnęła szczupłą dłoń na sercu, drugą ręką sięgnęła po nóż. Wiele Pieśni wciąż trwała w bezruchu, w ciemności pod wygasłą latarnią, a w mroku błyskały tylko przekrwione oczy, jedyny element ciała nieprzysłonięty chustami i szalami.

– Posuwasz się trochę za daleko – skarciła dziewczynę, gdy ta wreszcie osiągnęła swój cel i wyprostowała się, z okrwawionym kawałkiem ciała w ręku. Posoka spłynęła jej wzdłuż błękitnych żyłek na

nadgarstku, w dół, zaczęła się zbierać w zagłębieniu łokcia.

– Mam licencję na zabijanie – odparła beztrosko. Wyrwane serce pulsowało w zaciśniętych palcach i kobiecie przyszedł na myśl trzepot ptaka, próbującego zerwać się do lotu. – I nie mam ochoty z tobą rozmawiać.

Wstała, z kieszeni kurtki wyciągnęła srebrną zapalniczkę pokrytą pajęczynką cienkich, szafirowych linii. Błękitna iskra zapłonęła, odbiła się w fioletowych oczach, przytknięta do serca szybko wybuchła niebieskim płomieniem. Znaki na zapalniczce zabłyśły, ogień przesączał się między okrwawionymi palcami, nadawał bladej skórze kobiety chorobliwy, siny odcień, pochłaniał serce, które kurczyło się i rozszerzało, płonąć. W końcu na bruk spadł niebieski popiół, bezwładne ciało zaczęło się rozsypywać, aż na ziemi został wyłącznie piasek i plamy krwi. Do rana zmyje je deszcz, zostanie tylko parę rdzawych śladów, na które nikt nie zwróci uwagi.

– Przynieście mi jej serce – zanuciła Wiele Pieśni, a dziewczyna drgnęła, odwróciła się ku niej. – Przynieście mi wycięte płuca. Czy teraz ze mną porozmawiasz, Saro?

– Czego chcesz? – Otworzyła dłoń wypełnioną krwią i szaroniebieskim pyłem. Czerwone plamy, czarny, rozmazany tusz i nienaruszone spirale wokół oczu, maskujące aurę, czyniły ją podobną do koszmarnej zjawy. – Nie przestanę ich zabijać.

– My też zasługujemy na prawo i sprawiedliwy osąd.

– Ludzkie prawa bywają zbyt łagodne nawet dla ludzi – parsknęła Sara. – Nie, Wiele Pieśni, ulicami mojego miasta nie będzie chodził inkub, który w ciągu miesiąca wpędził w śpiączkę trzy kobiety.

– Spóźniłaś się. Może jego śmierć przywróci przytomność ostatniej, ale dwóm poprzednim już nie pomoże. Zawsze się spóźniasz, Saro Weroniko Sokolska.

– Nigdy się nie spóźniam. Jestem tam, gdzie chcę i kiedy chcę. Moim zadaniem nie jest ratować, ale strzec spokoju.

– A gdyby to był człowiek? Co wtedy byś zrobiła? – spytała Wiele Pieśni.

– Od łapania ludzi mamy policję – odparła Sara beztrosko i odgarnęła z twarzy przemoczone włosy, zostawiając na policzku rdzawą smugę, od wargi aż do ucha. – Ale gdyby wpadł mi w ręce, zabiłabym go i podpaliła ciało, bo Julian już zbyt wiele pieniędzy z podatków

przeznacza na utrzymanie więzień, a wyroki sądów są śmieszne.

– Dziś już nie chciałaby twojego serca – powiedziała Wiele Pieśni melodyjnym głosem. Sara w odpowiedzi uśmiechnęła się nieznacznie, kąciki ust czerwonych jak krew powędrowały do góry. I pstryknęła zapalniczką. Błękitny płomień pomknął ku wygasłej latarni, sprawiając, że rozjarzyła się bladym światłem. Wiele Pieśni wydała z siebie zdławiony okrzyk, rzuciła się do tyłu, skuliła w cieniu muru, przyciskając głowę owiniętą chustami do szarych kamieni, na których napisano farbą „Umarł król, niech żyje król”.

Woda pryskała spod butów Sary, jej wydłużony cień padł na drżącą postać.

– Wara ci od mojego serca – warknęła, pochylając się. Była dużo niższa od kobiety w czarnych szatach, wysokiej i chudej jak patyk, ale teraz to tamta kulila się niby szczur przed magicznym światłem, którego nie umiała zgasić. – Bo kiedyś może się okazać, że Księżyc schodzi z nieba, latarnie nie wygasają na twój rozkaz, we wszystkich oknach rozbłyskują światła, a adepci magii z uniwersytetu wypełniają noc blaskiem barwnych ogni. I znajdę cię tej nocy, Wiele Pieśni, nocy jasnej jak dzień, a potem zmuszę, byś spojrzała w światło.

– Nie poważysz się – syknęła Wiele Pieśni, odczołgując się poza zasięg blasku, rzucanego przez błękitny płomień.

– Sama to powiedziałaś. Czasem posuwam się za daleko. A bardzo nie lubię, gdy ktoś sięga mego serca.

Pstryknięcie. Znow na uliczce zapadła ciemność, tylko gdzieś daleko jarzyły się blade punkciki, lampy na Plantach i pomarańczowe światła, zapalone w nielicznych oknach mieszkań, w których pomimo późnej pory ktoś nie zamknął jeszcze powiek. Sara schowała zapalniczkę do kieszeni, podniosła nóż i starannie oczyściła go z krwi. Wiele Pieśni wstała, dostojna postać jakby utkana z cieni, sylwetka, na widok której w ciemnej bramie ludzie przechodzą na drugą stronę ulicy, przyspieszają kroku.

Słaba i bezbronna w obliczu światła.

– Zostań jutro na zamku.

Nie brzmiało to jak rozkaz, raczej prośba, wymówiona zaskakująco potulnym tonem, niepasującym do Wiele Pieśni. Sara, która już miała zamiar odejść, zawahała się.

– Dlaczego?

– Zostań na zamku, Saro Weroniko Sokolska, Pierwsza Czarownico – powtórzyła Wiele Pieśni. – Nie opuszczaj go po zmroku. Noc zaśpiewa i nie będzie to radosna pieśń.

– Znam melodie nocy i umiem do nich tańczyć – odparła Sara po długim milczeniu. – Nie, nie obiecuję, że nie opuszczę zamku, choć na razie nigdzie się nie wybieram. Potrzebuję snu. Potrzebuję łóżka, odpoczynku i ciemności, w której nic się nie skrywa.

Odeszła, nie patrząc za siebie, kierując się ku głównym, jasno oświetlonym ulicom.

Deszcz bębnił o dachy kamienic, tworzył kałuże na chodnikach, uderzał w brukową kostkę. Minęła druga nad ranem, pozostały niemal trzy godziny do świtu i Stare Miasto, za dnia tętniące życiem, teraz świeciło pustkami. Sara przemierzała uśpiony Kraków, skąpany w pomarańczowym, sztucznym świetle latarni, spoglądała w okna, szukając tych nielicznych, w których błyszcząły żarówki bądź ekrany telewizorów, świadczące o tym, że ktoś jeszcze nie śpi. W klubach, umiejscowionych w uliczkach odchodzących od Rynku, na pewno wciąż brzmiała muzyka, błyskały kolorowe reflektory, tłumy młodych ludzi szalały na parkietach. Samochody raz za razem przemierzały ulice, rozchlapując wodę z kałuż, taksówkarze o zmęczonych oczach czekali na klientów. Późną nocą miasto pogrążało się w pozornym letargu, lecz niektóre jego części nigdy nie zasypiały do końca.

Czarownica usiadła przy fontannie, zrzuciła buty z obolałych stóp i pozbyła się skórzanej kurtki. Pomimo późnej pory i deszczu panowała duchota jak podczas burzy, a Sara była rozgrzana i spocona od gorąca w podziemnej, klubowej sali, od szaleńczego tańca, alkoholu i adrenaliny. Zanurzyła dłonie w fontannie, zmywając z nich krew i przypatrując się kręgom, tworzonym na powierzchni wody przez spadające z nieba krople. Kręgi w kręgach. Własne, zamazane odbicie i plamy światła na wodzie. Sztucznego światła, nigdy niewygasającego, niepozwalającego, by miasto pogrążyło się w ciemności.

Uniosła głowę, raczej wyczuwając czyjś wzrok niż słysząc kroki. Tajemniczy ktoś zatrzymał się po drugiej stronie fontanny, skrywając głowę pod ciemnym parasolem. Patrzył na nią. Może zastanawiał się, co tutaj robi, bosa, w czarnym podkoszulku i z dziwnym makijażem, samotna, w środku nocy. A może ją rozpoznał – było coś znajomego w wysokiej sylwetce, w sięgających ramion złocistych włosach, które

mogłyby należeć do kobiety. Pewnie spotkała tę osobę gdzieś na zamku lub podczas któregoś z nudnych przyjęć czy spotkań, na jakie ciągał ją ze sobą Julian, lecz nie zapamiętała ani imienia, ani stanowiska. Rzadko poświęcała wiele uwagi innym ludziom, niezainteresowana ich tożsamością, jeśli ta wiedza nie była przydatna.

– Dziwna pora na spacer – powiedziała głośno. Mężczyzna drgnął, zrobił ruch, jakby chciał odejść. Sara wiedziała, że krąży o niej wiele plotek, że nazywają ją Piekielnicą. Nie zdziwiłaby się, gdyby ten ktoś wolał umknąć gdzie pieprz rośnie, zwłaszcza jeśli dostrzegł rdzawą plamę na policzku i zakrzepłą krew pod paznokciami.

– Nie znam polskiego – odparł w końcu po niemiecku. Obcokrajowiec, nikt, kogo widywałaby często, a więc miała prawo nie pamiętać imienia. Zapewne czyjś gość lub towarzysz jakiejś osobistości z RFN.

– Wspaniała pogoda na spacer – oznajmiła wesoło, płynnie przechodząc na niemiecki. – Jak podoba ci się Kraków nocą?

Stał i milczał. Sara przesunęła się, pochyliła, by dostrzec twarz. Gładko ogolone, zapadnięte policzki, usta i podbródek nie wywoływały żadnych skojarzeń, ale było coś znajomego w kształcie brwi i w jasnych oczach, którym blask latarni nadawał złocisty kolor.

– Idź do domu, dziecko – westchnął. Podszedł bliżej, w dużej, zadbanej dłoni zaszeleścił banknot. Nie do końca trzeźwa czarownica z trudem powstrzymała śmiech. Mężczyzna prawdopodobnie był młodszy od niej, tymczasem wziął ją za nieletnią, może z powodu drobnej figury, a może stroju i rozmazanego makijażu. Nie rozpoznał w roznegliżowanej, przemoczonej do suchej nitki kobiecie Pierwszej Czarownicy Polanii.

Pozwoliła, by nagły podmuch wiatru porwał banknot, poniósł go ze sobą gdzieś, gdzie rozmoczy się w kałuży bądź zostanie odnaleziony przez jakiegoś szczęśliwca. Rozbawiona, chwyciła pustą teraz rękę mężczyzny, w której jej dłoń niemalże ginęła.

– Uroczy gest, ale niepotrzebny – zaśmiała się, wstając, łapiąc go za drugą rękę. Czarny parasol o drewnianej rączce przekoziółkował po bruku, lśniącym od deszczu. – W tym mieście lepiej się nie litować, nie dawać pieniędzy, które przemienią się w alkohol bądź trafią do nocnego króla. Ci, którzy naprawdę nie mają na jedzenie, rzadko wyciągają na ulicy rękę po łaskę.

Patrzył na nią zdziwiony, próbując cofnąć dłonie, lecz Sara trzymała mocno. Jasne włosy, pozbawione ochrony parasola, szybko wilgotniały, zaczynały kleić się do czoła i szyi. Ciemna koszula przylgnęła do skóry. Jedwab, rozpoznała czarownica i to przywiodło jej na myśl Juliana, lubującego się w jedwabnych koszulach, równie wysokiego jak złotowłosa, choć znacznie szczuplejszego.

– Nocny król? – spytał w końcu, pewnie tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Pan żebraków, dziwek, przestępców i wielu, wielu innych. Wszystkich tych, którzy nie pasują do jasnej strony Krakowa – wyjaśniła. Nie wdając się w dalsze tłumaczenia i opowieści o tym, jak daleko sięgała władza nocnego króla, nim przejęła schedę po Jeremim i zaczęła robić porządki na własnym podwórku. – Zatańczmy.

Zaskoczony, pozwolił się pociągnąć, odruchowo dostosował kroki do ruchów Sary. Skinęła głową, wcale nie zdziwiona, że umiał tańczyć walca wiedeńskiego. U kogoś mówiącego po niemiecku i noszącego jedwabne koszule niezwykła byłaby raczej niezajomość podstawowych kroków.

– Dlaczego? – Przejął prowadzenie. Teraz to Sara podążała za jego krokami, woda pryskała spod nóg.

– Bo mam taką chęć – odparła czarownica, którą swojego czasu Julian bezskutecznie usiłował zmusić do tego, by porzuciła „te niemające nic wspólnego z prawdziwym tańcem małpie podskoki”, a zamiast tego wzięła parę lekcji i zaczęła „zachowywać się na przyjęciach jak należy”. W królewskiej głowie nie powstała myśl, że wiedźma umie tańczyć walca i wiele innych dworskich tańców. – A ja zawsze robię to, na co mam ochotę.

Tańczyła więc bosą, z człowiekiem, którego imienia nie знаła, w deszczu, w świetle latarni, do muzyki rozbrzmiewającej tylko w jej głowie.

Rozdział drugi

Gdy zaśpiewa noc

Nie spała przez kilka nocy, które były do siebie tak podobne. Ubranie przesiąknięte papierosowym dymem, smak piwa na języku, muzyka dudniąca w uszach, taniec od zmierzchu do świtu, szaleńczy, jakby jutro miało nie nadejść. Nie przyciągniesz inkuba, jeśli nie masz alkoholu we krwi, jeśli nie zwracają się ku tobie oczy mężczyzn, jeśli nie ma w tobie energii, którą mógłby osiąść.

Bawiło ją odwiedzanie klubów pełnych studentów, taniec, szum w głowie, wywołany piwem, dawkowanym starannie, jakby to było lekarstwo – by ręka dzierżąca nóż nie straciła pewności. Przede wszystkim zaś zabawę stanowiło polowanie na myśliwego w dusznych, zatłoczonych salach.

Nikogo nie dziwiło, że Pierwsza Czarownica Polanii snuje się po zamkowych korytarzach niczym zombie albo wampir, którego od ostatniego posiłku dzieliło zbyt wiele czasu. Nie przypominała swojego poprzednika Jeremiego, siwowłosego, poważnego maga, ostrożnego, żeby nie powiedzieć flegmatycznego, trochę oschłego w obyciu, od razu wzbudzającego szacunek, działającego powoli i metodycznie. Pełnił funkcję przez jedenaście lat, nim umarł, tak jak żył – spokojnie, we śnie. Nie była też podobna do Kaliny, czarodziejki o kasztanowych włosach, roześmianej i pełnej wdzięku, łatwo zdobywającej męskie serca, która pewnego dnia po prostu znikła. Zapadła się pod ziemię, jakby nigdy jej nie było, a ojciec Juliana, choć od dawna żonaty i wychowujący małego synka, czekał rok, nim zaprosił na dwór Jeremiego. Jeszcze dłużej szeptał przez sen jej imię, o czym wiedziała jednak tylko królewska małżonka.

Sara była zaś kapryśna, ironiczna i niepoważna. Nosła glany bądź wojskowe buty, podarte spodnie i luźne bluzy. Nie wyglądała na czarownicę i nie zachowywała się jak przystało na jej stanowisko, za to

potrafiła przywołać magię zupełnie niepotrzebnie, wyłącznie po to, by komuś dokuczyć. Takie postępowanie surowo tępią pośród studenckiej magicznej braci, lecz czarownicy nikt magii nie uczył, a na pewno nie uczęszczała do żadnej ze szkół. Niektórzy szukali jej nazwiska na listach żaków, wypytywali profesorów, lecz nikt na przestrzeni ostatnich trzydziestu lat nie edukował żadnej dziewczynki, odpowiadającej rysopisowi. Zapewne używała fałszywego nazwiska, nie było to jednak nic niezwykłego w tych kręgach – po osiągnięciu mistrzostwa niejedyn mag czy czarownik odcinał się od korzeni, szczególnie jeśli pochodził z rodziny bez magicznych tradycji, w dodatku biednej bądź nisko stojącej w hierarchii społecznej. Nikt nie rozumiał do końca, dlaczego młody król właśnie jej powierzył odpowiedzialne stanowisko Pierwszej Czarownicy, swojej prawej ręki w sprawach magii. On chyba też sam nie do końca to pojmował, zwłaszcza że wyjątkowo często doprowadzała go do szału. Tak też było tego ranka, po zakończeniu balu, na którym czarownica nie raczyła się pojawić.

Gdy rozeźlony Julian wpadł do komnaty swojej nadwornej czarownicy, w pierwszej chwili pomyślał, że jest martwa.

Później nie rozumiał, skąd wzięła się ta szalona myśl i czuł zawstydzenie swoją reakcją, ale kiedy zobaczył Sarę leżącą na łóżku, wciąż ubraną w podkoszulek i spodnie, z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach, wydało mu się, że nie żyje. Jego umysł, zmęczony po uroczystościach, ten jeden drink za dużo, a do tego szarawe światło, przeciskające się przez szczeliny między ciężkimi zasłonami, splątały mu figła. Mógłby przysiąc, że czarownica jest zbyt blada, zbyt nieruchoma, że nie oddycha. No i kto o zdrowych zmysłach sypia w ubraniu, w tak dziwacznej pozycji, w jakiej ludzi układa się w trumnach. Stał tuż za progiem, z jedną ręką kurczowo zaciśniętą na klamce, i trwał tak przez kilka minut, a pierś Sary dalej się nie unosiła, wiedźma nie otwierała oczu, nie padały żadne drwiące słowa. A przecież Pierwsza Czarownica Polanii powinna zbudzić się, gdy ktoś nieproszony wpada do jej sypialni.

Puścił klamkę, powoli, odginając palce jeden po drugim. Dwukrotnie zacisnął dłoń, która zdążyła zdrętwieć, i wreszcie podszedł do wspaniałego łoża z baldachimem, wolniutko, krok za krokiem. Znów zwiody go cienie i własne zmęczone oczy, bo zdało mu się nagle, że

ktoś obcy leży na pościeli, dziewczyna w ubraniu Sary, o takiej samej sylwetce, ale z obcą twarzą. Inaczej układały się czarne włosy, rysy były jakby delikatniejsze. Jednak nieoczekiwanie powieki kobiety powędrowały do góry, ukazując fioletowe tęczęwki – i złudne wrażenie przysło.

Julian bez sił opadł na posłanie. Sprężyny zatrzeszczały pod podwójnym ciężarem. Sara na wpół usiadła, podpierając się łokciami, patrząc na niego uważnie. Król zacisnął zęby, zły na własną głupotę, dziękując Bogu i wszystkim pradawnym bóstwom, że do talentów czarownicy nie należy czytanie w myślach.

– To dopiero dasz dziennikarzom materiał do artykułów, jak się rozejdziesz, że spędzasz ranki w mojej sypialni – parsknęła. Jej usta wygięły się w drwiącym uśmiechu, a z twarzy spłynęły wszelkie pozory obcości.

– Jest już dziesiąta – warknął, przypominając sobie wreszcie, że przybył do komnaty nadwornej czarownicy z bardzo konkretnego powodu: miał zamiar na nią nawrzeszczyć, zawstydzić i przywołać do porządku. Czasem, jeśli nie widział jej dłużej niż kilkanaście godzin, zapominał, że Sary przywołać do porządku się nie da, bo porządna nigdy nie była, wstydu nie znała, a moralność uważała za paskudną chorobę z Afryki. – Wizyty w cudzych sypialniach o tej porze nie są niczym zdrożnym. To raczej leżenie w łóżku jest źle widziane, zwłaszcza jeżeli nie masz dziś wolnego dnia. Gdzie byłaś wczoraj?

– W klubie. W dwóch klubach. Boli mnie głowa i chcę spać.

– W klubie – powtórzył Julian, przeciągając słowa. – Bawiłaś się w klubie, gdy w zamku przebywał tłum ważnych gości, a jakiś szaleniec mógł zapragnąć urządzać sobie masakrę. A moja nadworna czarownica, zamiast dbać o bezpieczeństwo, podskakiwała jak małpa na sznurku?

Nie krzyczał tylko dlatego, że królowi nie wypadało. Ojciec powtarzał mu to bardzo często, podkreślając, że władca winien znaleźć inne sposoby na osiągnięcie posłuchu niż zdzieranie sobie gardła.

– Dokładnie – zgodziła się Sara. – Obudź mnie, kiedy skończy się wrzesień.

Opadła na poduszkę, odwróciła się do niego plecami i zwinęła w kłębek, najwyraźniej mając zamiar spać dalej. Wściekły Julian po raz kolejny pożałował, że czasy, kiedy władca mógł skazywać poddanych na ścięcie wyłącznie z powodu swojego kaprysu, przeminęły

bezpowrotnie. Obecnie wyeksmitowanie kogoś na tamten świat wymagało starannego rozważenia wszystkich za i przeciw oraz daleko posuniętej dyskrecji.

Zamiast więc wołać nadwornego kata (którego i tak nie posiadał), wyszarpnął poduszkę spod głowy Sary i z całej siły uderzył nią w miejsce, gdzie znajdowało się kłębowisko czarnych włosów. Czarownica wydała z siebie okrzyk oburzenia i znów się poderwała. Cel główny został osiągnięty.

– Dostajesz szlaban na wyjścia, młoda damo!

– Ani ja młoda, ani dama, a z domu wychodzić będę sama – odparła dumnie, ale zaraz odezwała się na powrót swoim zwykłym, lekkim tonem. – Julek, dajże mi spokój, gdybym przyszła na to przyjęcie, przez cały czas tylko byś się denerwował, że zaraz wysadzę wszystko w powietrze. A zamiast tego w nocy sprzątnęłam inkuba, więc chyba zasługuję na trochę odpoczynku.

Policzki Juliana poczerwieniały z oburzenia. Julek. Na wzmiankę o inkubie nawet nie zwrócił uwagi.

– Czy twoja bezczelność nie zna granic?

– Cały czas sprawdzam – burknęła, zabierając mu poduszkę i wciskając w nią twarz. – Dam ci znać, jeśli jakieś napotkam.

Julian Łukomski nie dał się tak łatwo zbyć, być może z powodu kilku uwag, usłyszanych na swoim przyjęciu urodzinowym. Rządził, do cholery, jednym z większych krajów w Europie. Miał jakieś czterdzieści pięć milionów poddanych, z czego niemal pół miliona w ten czy inny sposób należało do magicznego światka. Do czego to podobne, żeby nie dawał sobie rady z własną, nadworną czarownicą?

– Wstawaj, jeśli chcesz dostać premię świąteczną! – krzyknął. – Ochrona sprawdzała prezenty, jeden wydaje się podejrzany. Remigiusz nic nie czuje, ale Paweł twierdzi, że to może być jakiś urok...

– Ten pajac nie rozpoznałby złych czarów, nawet gdyby zatańczyły przed nim na stole. – Spod poduszki dobiegł przytłumiony głos Sary, a następnie ciężkie westchnienie. Potem rozczochna czarownica wreszcie usiadła, ziewając przy tym rozdzierająco.

– Ma doktorat – zaprotestował król.

– Jest teoretykiem. Pisał pracę doktorską o syrenach, ale widział je chyba tylko na obrazkach.

– Ruszaj się i idź sprawdzić ten prezent – oznajmił Julian tonem

nieznoszącym sprzeciwu. Sara zrobiła wyjątkowo paskudną minę.

– Czy ty wiesz, że to się nazywa mobbing? Zobaczysz, pozwę cię. Do końca życia się nie wypłacisz.

Jednak wstała i mozolnie ruszyła do drzwi. Na dowleczenie się do odpowiedniej sali potrzebowała dobrych dziesięciu minut. Prezenty dla jego królewskiej mości (zapewne w większości portfele, zegarki i pióra) oczywiście były przekazywane pracownikom, składowane wraz z notatką, od kogo pochodziły, a następnie poddawane dokładnym oględzinom. Podarunek, który wzbudzał podejrzenia na pierwszy, a nawet drugi i trzeci rzut oka, wyglądał zupełnie zwyczajnie. Podłużny, owinięty w srebrzysty papier, prawdopodobnie zawierający książkę bądź niewielkie pudełko. Ofiarowany został ponoć przez Kamila i Zofię Zarzyckich i w gruncie rzeczy właśnie z tego powodu nie ograniczono się do standardowej kontroli, która zresztą niczego nie wykazała. Bilecik od Zarzyckich znajdował się bowiem także na innym podarku, zawierającym (jak zwykle) jeden z wyrobów pani Zofii, utalentowanej artystki: ręcznie malowaną wazę. Takie dary otrzymywał od nich przy każdej okazji najpierw ojciec Juliana, później zaś sam Julian. Nagła zmiana zwyczajów tej pary wydawała się dostatecznie niezwykła, aby wezwać Pawła, czarodzieja na usługach dworu. Ten przyznał, że rzeczywiście ma wrażenie, jakby paczuszkę otaczały ledwo wyczuwalne wibracje, zaś państwo Zarzyccy, brutalnie wyrwani ze snu, ze zdumieniem potwierdzili, że przynieśli ze sobą jedynie wazę.

I wezwano Sarę. Jak zwykle, gdy pojawiały się Problemy przez duże P, myślała kwaśno, przypatrując się srebrzystemu opakowaniu. Jak oni sobie tutaj radzili przed jej przybyciem?

– Mam wrażenie, że to...

– Nie odpowiadam za twoje wrażenia – burknęła zirytowana czarownica, nie spoglądając nawet ku Pawłowi, małemu człowieczkowi o rudych włosach pozwijanych w kędziory, przygarbionemu jak staruszek. Miał piegowatą skórę, która dawniej pokryta była przebarwieniami i wypryskami, ale poddana kuracji za pomocą najlepszych mikstur, teraz wyglądała znacznie lepiej. – To Puszka Pandory.

Uniosła paczuszkę i, nie bawiąc się w subtelności, zagrzechotała nią przy uchu, po czym zaczęła zdzierać srebrny papier. Paweł skamieniał. Puską Pandory nazywano przedmiot, w który wpleciono kłutwę, a ten,

kto to zrobił, musiał być mistrzem w swym fachu, skoro pułapka przedostała się przez standardową kontrolę i niemal trafiła w ręce króla. A szalona czarownica otwierała opakowanie niecierpliwie i nieostrożnie, jakby miała do czynienia z dawno oczekiwaną przesyłką, której zawartość jest zbyt solidna, by ulec uszkodzeniu.

– Co ty wyprawiasz?!

– Wypad stąd.

Wahał się krótko i nie ustąpiłby tak łatwo, gdyby polecenie zostało wydane w innych okolicznościach, bo choć oficjalnie podlegał Sokolskiej, nie czuł przed nią zbyt wielkiego respektu. Srebrzyste strzepy spadły na podłogę. Sara trzymała w rękach pudełko z ciemnego, wiśniowego drewna, a spod jej bladych palców sączyła się czerń.

– Jesteś obłąkana – warknął czarodziej i wypadł z pomieszczenia, pozwalając, by została sama, walcząc z klątwą, którą przebudziła.

Nie nastąpiła jednak żadna walka. Ciemność wniknęła w jasną skórę dłoni i nadgarstków, poznaczonych błękitną siateczką żył, a misternie zdobione pudełko pękło na pół. I to wszystko.

Bo to była bardzo zła magia, lecz i Sara nie była dobrą wiedźmą.

Kiedy w niedzielę, tuż przed północą, Lidia Skibińska włączyła telewizor, poczuła się tak, jakby jej urodziny przypadły pół roku wcześniej niż zwykle.

Czarodziejka siedziała w fotelu, z kolanami przyciągniętymi do klatki piersiowej, opasując nogi rękoma. Mokre, jasne włosy opadały jej na ramiona, a pomiędzy fałd białego, atlasowego szlafroka wystawały bosa stopy. Lidia ubierała się wyłącznie w biel, dokładając tym sposobem kolejną cegiełkę do starannie budowanego wizerunku wcielonej niewinności i słodyczy. Uśmiech, który zagościł na jej twarzy, niewiele miał jednak wspólnego z anielską dobrocią.

– ...zniszczono kilka samochodów i zdemolowano trzy sklepy. Przybyła na miejsce policja została zaatakowana i odpowiedziała gazem obezwładniającym, jak dotąd nie udało się jednak aresztować żadnego uczestnika zamieszek. Czekamy na przybycie jednostki specjalnej, obecnie tłumiącej rozruchy w innej części miasta...

Lidia zaklaskała z uciechy i czym prędzej włączyła trójwymiar, aby

lepiej napawać się widowiskiem. Pomędzy zabytkowymi krakowskimi kamienicami o fasadach malowanych we wszystkie kolory tęczy sunął tłum. Rozpoznała w nim kilku karłów, gdzieniegdzie czasem mignęły też to rogi, to czerwone oczy, to jakiś ogon. W tej dziwnej procesji zniszczenia znalazło się jednak również wielu ludzi, a przynajmniej humanoidalnych istot.

Coś takiego nie miałyby prawa wydarzyć się w Warszawie, Wrocławiu ani nawet Lwowie, pomyślała z wyższością. Zostaliby spacyfikowani w przeciągu kwadransa.

Lidia zaczęła nucić popularną piosenkę z listy przebojów, „Zaczarowałaś moje serce”, rozczesując jednocześnie włosy i kątem oka śledząc relację z zamieszek. Tłum zbliżał się do Rynku Głównego, zostawiając za sobą stłuczone okna i zniszczone auta. Nieliczni idioci, którzy nie uciekli od razu, pierchali przed nadchodzącymi, a kto nie miał dość rozumu, aby to zrobić – lądował gdzieś na chodniku, poobijany i zazwyczaj nieprzytomny. Może nawet martwy.

Gdy Lidia skończyła śpiewać drugą zwrotkę, do akcji ponownie wkroczyła policja. Tym razem rozpylono gaz usypiający. No i koniec zabawy, westchnęła w myślach czarodziejka, bawiąc się kosmykiem jasnych włosów. Szare opary przysłoniły widok, a ciemne, niewyraźne sylwetki, przemykające we mgle, potęgowały wrażenie grozy. Za moment zaczęły padać jedna po drugiej, pogrążone w głębokim śnie.

Coś rozbłysło, raz, drugi, trzeci. Lidia szerzej otworzyła błękitne oczy, nieomylnie rozpoznając, że ktoś w tłumie – nawet kilku takich ktosiów – rzucał zaklęcia. W zamieszkach brali udział magowie! I to nie jacyś amatorzy. Musieli odebrać przynajmniej podstawowe wykształcenie, bo nagle gaz zaczął znikać, zneutralizowany magią. Biała Czarodziejka pochyliła się do przodu. Członkowie pochodni, którzy wpadli w panikę, gdy rozpylono gaz, znów zbierali się w zwarty szereg. Po chwili pękła witryna sklepu, trafiona zaklęciem. A niech to! – zdenerwowała się Lidia, już mniej rozbawiona. Krakowskim studentom chyba kompletnie pomieszało się w głowach! Upili się? Zaczęli brać jakieś narkotyki? Nie dość, że demolowali miasto, to jeszcze w towarzystwie magicznych stworzeń, nie cieszących się popularnością pośród ludzi.

Lidia przygryzła kciuk. W Krakowie zaczynało dziać się coś nowego. Zerwał się gwałtowny wiatr, w powietrzu fruwały śmieci, wichur szarpał włosy i ubrania. Tłum przestał posuwać się naprzód, ludzie i

nieładzie obejmowali latarnie, opierali się o ściany, osłaniali twarze. Ekipa telewizyjna pokrzykiwała, obraz drgał, przez chwilę kamera pokazywała chodnik, gdy operator walczył o utrzymanie równowagi. Biała Czarodziejka mocniej wbiła perłowe ząbki w palec, na którym pojawiło się parę kropli krwi.

– Pozerka – syknęła, domyślając się już, kto jest autorką zamieszania. Obraz na chwilę się ustabilizował, w samą porę, by zaprezentować małą trąbę powietrzną przechodzącą ulicą, roztrącającą sprawców zamieszania, przypadkowych gapiów i pracowników telewizji. Ktoś musiał upuścić kamerę, bo obraz znów znikł i na ekranie pojawiła się para dziennikarzy zasiadających w studiu, szczupła brunetka w jasnym kostiumie i podstarzały szatyn. Lidia warknęła ze złości. Niewiele ją obchodziło, co marna prezenterka miała do powiedzenia na temat zamieszek.

– Proszę państwa, właśnie dostaliśmy wiadomość o przybyciu na miejsce Sary Sokolskiej, nadwornej czarownicy. Mamy nadzieję, że zdoła powstrzymać chuliganów. Za chwilę powinniśmy odzyskać połączenie...

– O ile nie postanowiła się do nich przyłączyć – skomentowała naburmuszona Lidia. Obraz rzeczywiście wrócił po chwili. Policjanci i kilka osób wyglądających na przedstawicieli jednostki specjalnej uwijało się po ulicy jak w ukropie. Trąba powietrzna znikła, rozpedziwszy tłum, nikt już nie szalał i nie niszczył mienia, za to „chuligani” albo spokojnie pozwalali się aresztować (jeśli byli zbyt poobijani, by protestować), albo szarpali się ze stróżami prawa i umykali gdzieś w boczne uliczki. Lidia nie zwracała na to uwagi, szukając wzrokiem znajomej postaci. I wreszcie ją dostrzegła, stojącą tyłem do kamery. Czarne, krótkie włosy sterczały na wszystkie strony. Ręce podpierała na biodrach, a głowę zadarła wysoko, jakby szukała czegoś na niebie. Miała na sobie dżinsy i powyciągany podkoszulek, ale była boso. Wokół niej biegali ludzie, w pobliżu ktoś się szarpał, jakiś rozmyty kształt przemknął tuż koło jej ramienia, kawałek dalej dwie osoby ciskały w siebie zaklęcia, lecz Sara nawet nie drgnęła. Typowe, uznała Lidia, uśmiechając się drwiąco. Trwają zamieszki, a ta podziwiała chmury. Wiedźma poruszyła się nagle, prawa ręka śmignęła, wyrzucając w powietrze pocisk skłębionej energii. Ciemny strzęp spadł na chodnik, rozpryskując się na tysiące fragmentów. Czarownica

momentalnie obróciła się w miejscu, Lidia przez moment mogła na zbliżeniu widzieć jej bladą twarz i czerwone usta, zaciśnięte w wąską linię. Kolejne wyładowanie dosięgło czegoś wiszącego tuż nad mężczyzną, którego właśnie obezwładnili policjanci. Obiekt zmaterializował się dopiero po uderzeniu. Tym razem Biała Czarodziejka zrozumiała, w co celuje Sara i dlaczego tak długo trwała w bezruchu.

– Bies! – krzyknęła Lidia ze zdumieniem, unosząc dłoń do ust. Od lat nie słyszała, by gdzieś spotkano te demony, zdolne opętywać ludzi. Dotąd sądziła, że jeśli jakiegokolwiek przetrwały, to gdzieś w lasach, strzegąc zapomnianych skarbów.

Sara dalej uderzała. Trafiła jeszcze jednego biesa, raz chybiła, a później rzuciła na ścianę mężczyznę wrywającego się policjantom. Jeden z magów, biorących udział w zamieszkach, posłał ku czarownicy zaklęcie i Lidia przez moment miała nadzieję, że sięgnie celu. Niestety, Piekielnica uniknęła czarę, a agresor – prawie dzieciak – pomknął w górę jak balonik napełniony helem. Wokół Sary wirowało powietrze, po jej nagich ramionach i rękach skakały błękitne iskry, nieomylny znak, że magia wymyka się spod kontroli. Moc czarownic bywała dzika i nieprzewidywalna nawet dla nich samych.

Może przy odrobinie szczęścia Piekielnica niechcący zniszczy wszystko dookoła albo wszystkich porani. Po czymś takim okryłaby się niesławą i z pewnością utraciłaby stanowisko, nieważne, jak zaślepiony był władca.

Lidia wyciągnęła nogi, podpierając je o pufa, rzuciła szczotkę na podłogę i sięgnęła po drinka. Miała cichą nadzieję, że Sarę trafi szlag. Wrogość między Białą Czarodziejką a nadworną czarownicą nie była może wedle standardów magów zadawniona, ale z pewnością głęboka. U jej źródeł leżało parę złośliwych słów, wypowiedzianych przed siedmioma laty, i wyzwanie, rzucone Piekielnicy przez młodziutką Lidkę (wtedy jeszcze pozwalała się tak nazywać). Wyzwanie, jak niechętnie teraz przyznawała, wielce nierozważne i niepotrzebne, wskazujące na jej przewrażliwienie. Była świeżo po skończeniu studiów z czarodziejstwa na Wydziale Magicznym Uniwersytetu Warszawskiego, a choć uchodziła za najlepszą studentkę na roku, jednak brakowało jej doświadczenia. Rzadkie, eleganckie pojedynki, staczane w instytucie w ramach treningu, siedzenie w książkach i

zapamiętywanie formuł nie mogły przygotować jej do walki z Sarą. Mniej wykształconą, z dużo mniejszymi możliwościami, ale w starciu szybką, zdecydowaną i gwałtowną, niebawiącą się w subtelności. Młoda Lidka po trzech minutach leżała na ziemi poobijana, zapłakana, zasmarkana i upokorzona.

Przyznawała niechętnie przed samą sobą, że to doświadczenie okazało się mimo wszystko przydatne. W przeciągu kilku minut Piekielnica nauczyła ją o walce i magii więcej, niż semestr dowolnego kursu. Tydzień później Lidka, zamiast rozpocząć studia uzupełniające i zacząć prowadzić zajęcia dla pierwszorocznych, wyjechała – jak mawiali złośliwi – nie mogąc znieść plotek. W rzeczywistości wypieszczona, hołubiona od dzieciństwa ukochana córeczka pary czarodziei zapragnęła zdobyć umiejętności praktyczne. Po roku do kraju wróciła już nie mała Lidka z blond główką pełną formuł i gestów, całą wiedzę czerpiąca z książek, a bywała w świecie Biała Czarodziejka. Pochlebiała sobie, że teraz, po siedmiu latach, Sara nie zdołałaby jej pokonać, lecz nie planowała rzucać kolejnego wyzwania. Pewne rzeczy po prostu nie uchodziły.

– Pani Heleno! Jeszcze jednego drinka! – zażądała głośno Lidia, krzywiąc się, ponieważ prezenterka wyszczerzyła zęby w paskudnym uśmiechu, z którego była znana, i poinformowała, że sytuacja w Krakowie została opanowana „dzięki Pierwszej Czarownicy i jednostce specjalnej”.

Lidia westchnęła i zaczęła masować skroń. Nadchodziła migrena. Prawdopodobnie czarodziejka już teraz powinna być w drodze do Krakowa, ale nie miała zamiaru specjalnie się poświęcać, na pewno nie dla Sary, oficjalnie sprawującej pieczę nad miastem królów. Zbuntowanymi stworami z magicznego półświatka będzie martwić się jutro, zaś nieposłuszni adepci to problem przede wszystkim kadry Uniwersytetu Jagiellońskiego. Niemniej nadzwyczajnego zebrania Łoży nie uda się uniknąć. Młodzi studenci siejący chaos i biesy w centrum jednego z największych europejskich miast to nie były problemy, które można lekceważyć.

Serce pulsuje w zaciśniętych palcach śliskich od krwi. Trzy czerwone krople spadają na śnieg i wtedy okazuje się, że biel pokrywa wszystko

wokół, zasy py sięgają kolan, drzewa znikły pod białym puchem. I nie ma wokół niczego, świat stał się bielą, poznaczoną czarnymi plamami kruczonych skrzydeł.

Umrzesz tutaj. Twoja skóra przybierze siną barwę, zamarzniesz, kruki wydziobią ci oczy, wilki wyszarpią kawałki ciała, pożrą serce. Nikt nie wyjdzie żywy z tego lasu.

– Wstawaj, do cholery! Nie obchodzi mnie, jak bardzo jesteś pijana!

Sara zakrztusiła się, czując, że ktoś nią potrząsa. Uderzyła głową o ramę łóżka i to raczej nie pomogło jej w odzyskaniu świadomości. Zareagowała instynktownie, uwalniając magię. Obce ręce puściły wreszcie ramiona czarownicy, rozległ się huk i jęk.

Stoczyła się z łóżka, odruchowo szukając w ten sposób osłony. Jeszcze przez kilka sekund, nim pierzchły resztki koszmaru, kolejnego na długiej liście złych snów, serce biło jej jak szalone.

Ktoś znów jęknął, potem zaklął, a Sara wreszcie rozpoznała głos, uświadamiając sobie przy okazji, że jest tylko jedna osoba, która mogła tak bezceremonialnie wparować do tej sypialni. Wstała i przeskoczyła łóżko, dopadając sylwetki ledwo widocznej w mroku, leżącej przy przewróconym, zabytkowym sekretarzyku. Po raz pierwszy od dawna poczuła strach na jawie – od lat lęk towarzyszył jej jedynie w sennych koszmarach. Nie była pewna, czym w stanie półsennej nieświadomości potraktowała Juliana.

– Ty przekłeta wiedźmo – wymamrotał król, kiedy pomagała mu usiąść. Z ulgą zauważyła, że najwyraźniej tylko rzuciła nim o ścianę. – A niech cię cholera weźmie. Każę cię ściąć. Albo wrzucić do najciemniejszego lochu.

– Gadasz z sensem, więc nie masz wstrząsu mózgu – burknęła Sara, dokonując oględzin królewskiej potylicy. Nie wyczuła pod palcami żadnego rozcięcia, choć pewnie nabił sobie solidnego guza. – Rączki i nóżki niepołamane? Żebra całe? Na litość Twardowskiego, mówiłam ci, żebyś nie dotykał mnie, kiedy śpię. Cholera, co to za nowe zwyczaje, może od razu przeniesiesz się do mojej sypialni? Czekaj, zapalę światło.

Wstała i odszukała włącznik, a żarówki rozblęły. Julian podniósł się, rozcierając ramię. Bosy, z oczyma zaczerwienionymi z niewyspania, z rozwichrzonymi włosami, odziany w czarną, atłasową piżamę, nie wyglądał tak arystokratycznie jak za dnia.

– Ubieraj się – zażądał sucho, a Sara, co było u niej niespotykane, natychmiast podeszła do szafy, by wyciągnąć spodnie. Król nie tylko biegał po zamkowych korytarzach w nocnym stroju, ale nie wybuchnął gniewem za to, jak go potraktowała, to zaś mogło oznaczać tylko poważne kłopoty. – Znowu mamy zamieszki. Jakież stwory powyłaziły na ulicę, a wcześniej było mniejsze wezwanie po drugiej strony Vistuli, jednostka specjalna jeszcze stamtąd nie wróciła...

– Gdzie? – spytała lakonicznie, siadając na łóżku i szybko zakładając na siebie dżinsy.

– Idą Floriańską. Zaraz dotrą do Rynku.

– I pewnie mam tam biec – domyśliła się, przecierając oczy. Ledwie udało jej się zasnąć po kilku nocach czuwania i po raz drugi jej sen został zakłócony królewskim wtargnięciem. – Domagam się motoru. Powinieneś mi kupić motor, jeśli chcesz, żebym szybko poruszała się po mieście, bo...

– Kupię ci motor. Kupię ci pieprzony czołg, tylko idź zrobić porządek!

Brwi czarownicy, szukającej porzuconych gdzieś butów, powędrowały w górę. Julian zaklął, zacisnął pięści, a widoczne na jego wąskiej twarzy zdenerwowanie nie było tą samą irytacją, jaka na niej gościła, ilekroć Sara zachowała się niewłaściwie – a więc dosyć często.

– Trzymam cię za słowo – mruknęła, rzucając jedyny znaleziony but z powrotem pod łóżko. Podeszła do wysokiego okna i rozwarła je na oścież, niecierpliwie odsuwając zasłony. Nie wiał wiatr, nocne powietrze było jednak chłodne i orzeźwiające. Sara wciągnęła je w płuca, ugięła kolana i skoczyła, mocno się odbijając, by polecieć ku jasnemu nawet po zmroku centrum miasta.

Floriańska tonęła w ciemności. Ze wszystkich lamp ocalała tylko jedna, słabym blaskiem oświetlając parę metrów bruku. Nawet w zimowe noce w pobliżu Rynku rzadko było cicho i pusto, ale teraz nikt nie chciał zagłębiać się w mroczną ulicę, którą niedawno przeszła upiorna parada. Sara, siedząca na dachu kamienicy, była jedyną osobą w okolicy, która nie ukrywała się w pozornie bezpiecznych ścianach mieszkania.

W powietrzu wciąż dawało się wyczuć magię i ledwo uchwytny zapach smoły, zazwyczaj towarzyszący pojawieniu się biesów.

To nie zniszczone i okradzione sklepy ani zdemolowane samochody były prawdziwym problemem. Nawet nie obecność biesów, prastarych, słowiańskich demonów, które wraz z nadejściem chrześcijaństwa w świadomości ludzi zlały się w jedno z wizerunkami diabłów. Biesy dotąd stroniły od miast i czarowników, bezlitośnie niszczących stworzenia szkodzące ich wizerunkowi. PR ważna rzecz, westchnęła Sara w myślach. I po części dlatego zamieszki stanowiły tak poważny problem. Studenci, którzy dołączyli do parady czy to dla draki, czy z podszeptów biesów, nienauczeni jeszcze opierać się takim mocom, zostali z pewnością uchwyceni przez kamery. Zapewne nie wszyscy, lecz ktoś mógł zostać rozpoznany, a każdy, kto wiedział coś o magii, oglądając transmisję musiał rozpoznać fruujące w powietrzu zaklęcia. Po cichu oddano schwytanych adeptów pod opiekę profesorów. Wściekłych profesorów. Zapewne niejeden młody uczeń wolałby spędzić noc w areszcie niż znosić złość mistrza. Większość jednak zdołała się wymknąć, nie ścigano ich zbyt pilnie, choć nauczyciele składali późne wizyty tym, których zdołali rozpoznać. Kary zostały wymierzone po cichu, by młodzi pamiętali o konieczności posłuszeństwa i trzymania mocy na wodzy. Lecz będzie potrzebny kozioł ofiarny dla tłumu, a może nawet dwa lub trzy. Zostaną nimi studenci sprawiający kłopoty, niecieszący się sympatią profesorów, mniej zdolni, pozbawieni koneksji. Oczywiście, opinia publiczna zostanie poinformowana, że nie do końca odpowiadali za swoje czyny... Niemniej przynajmniej jedną osobę spotka wydalenie z uczelni i zapiecztowanie mocy.

By ludzie mogli spać spokojnie. By wiedzieli, że magiczni kontrolują swoich, a żaden mag czy czarownica nie jest nietykalny. By spiętrzona nienawiść do magii nie roznieciła stosów, jak kilkaset lat temu. Skutkiem była nie tylko śmierć wielu obdarzonych mocami, bo ci naprawdę potężni nie dawali się ująć, ale również ich postępująca degeneracja. W czasach, gdy wyjęci spod prawa czarownicy, by przetrwać, zaczęli zachowywać się jak prawdziwi przestępcy, młodzi, pozbawieni możliwości pobierania nauk, niechętni krzywdzili siebie i innych. Wściekłe czarodziejki zastawały zgliszcza rodzinnych domów i szły szukać zemsty...

Ciemny wiek magii, malowany czerwienią i czernią.

Ocalała lampa zgasła. Ulica pograżyła się w ciemnościach.

Sara zeskokczyła, dość niezgrabnie, po drodze odpychając się od parapetów, zbyt znużona, by marnować cenne siły na lot, pochłaniający wiele energii. Cień we wnętrzu zgęstniał, poruszył się. Najpierw uformował się zarys sylwetki, potem bezkształtna masa utworzyła głowę i ręce, powstawały warstwy ubrania, chusty, spódnica, płaszcz i rękawiczki. Wreszcie oczy rozbłysły czerwienią.

– Wracaj do zamku! – warknęła Wiele Pieśni, mniej śpiewnie niż zazwyczaj. – Co ty tu robisz?! Mówiłam ci, żebyś...

– ...spała, gdy będą rujnować moje miasto? Wiedziałaś, że to się stanie, pieśniarko. I chciałaś, bym pozwoliła...

– Głupia!

Wiele Pieśni błyskawicznie skoczyła do przodu, kontury jej sylwetki rozmyły się. Dłonie, które zacisnęły się na ramionach Sary, nagich i pokrytych gęsią skórą, były jednak realne, gruba wełna rękawiczek nieprzyjemnie drażniła skórę, palce wpiły się mocno, aż do bólu.

– Głupia! Łęczysz się luster, czarownico, lecz jesteś zapatrzona we własne odbicie! Czy sądzisz, że posiadasz całą wiedzę świata, lelkowa panno? Wierzysz, że znasz noc i wszystko, co ze sobą niesie? Głupia!

Sara wzdrygnęła się mimowolnie, słysząc te słowa.

– Idź – westchnęła Wiele Pieśni. Jej głos zabrzmiał łagodnie, odzyskał melodyjność. Chude, długie ramiona opadły, uwalniając czarownicę z uścisku. Sara, ku swemu własnemu zaskoczeniu, posłuchała. Choć niepewna, co ją do tego popycha, rzuciła się biegiem ulicą. Niezdolna po raz drugi jednej nocy pofrunąć, zamiast tego pędziła z szybkością nieosiągalną nawet dla sportowców odnoszących triumfy na olimpiadach, wspomagając się magią. Przemknęła przez Rynek i pognąła dalej Grodzką, mijając Plac Wszystkich Świętych, pozamykane restauracje, sklepy i lodziarnie. Im bliżej była zamku, tym bardziej poczucie zagrożenia narastało. Być może było wywołane tylko wybujałą wyobraźnią, lecz zmuszało do jeszcze większego wysiłku, ignorowania zmęczonych mięśni. Przynosiło posmak żelaza w ustach i ból stóp, uderzających o szorstki, chłodny bruk.

Straciła równowagę w momencie, gdy znalazła się pod osłoną zaklęć spowijających zamek. Z impetem uderzyła o ziemię, rwąc spodnie na kolanach i raniąc dłonie. Wstrząsnęły nią torsje i zwymiotowała. W głowie jej szumiało, przed oczami miała ciemne plamy.

– Pani?

Uniosła głowę, spróbowała zogniskować wzrok na pochyłającym się nad nią ochroniarzu. Jego twarz była obojętna, pewnie sądził, że nadworna czarownica znów przesadziła z alkoholem.

– Podziemia – wykrztusiła Sara. – Coś się stało w podziemiach.

Mężczyzna nie poruszył się. Czarownica warknęła zirytowana i chwyciła jego ramię, by wstać. Z trudem łapała powietrze, ale szok po pierwszym, gwałtownym zetknięciu z energią, emanującą gdzieś spod ziemi, minął.

– Podziemia, do cholery! – krzyknęła. – Ktoś przeszedł przez osłony i jest w zamku. Podnieś alarm, niekompetentny kretynie, albo rano wyłowią cię z Vistuli!

Najwyraźniej groźba zadziałała, bo ochroniarz sięgnął po krótkofalówkę. Sara nie czekała, chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie, jednak po pokonaniu kilkunastu metrów runęła na ziemię. Nie była w stanie stawić czoła temu, co weszło do podziemi, ani nawet tego odszukać. Położyła się w wilgotnej trawie i przymknęła powieki, uspokajając oddech, badając doskonale znaną jej aurę murów i zabudowań, próbując zlokalizować wyrwę w magicznych barierach i miejsce, w którym przebywał nieproszony gość.

Jej świadomość oddzieliła się od znużonego ciała. Nie czuła już skaleczeń na stopach, bólu mięśni, chłodu ciągnącego od ziemi. Był tylko ruch na zamkowych korytarzach, zapalane światła, tupot nóg, trzaski drzwi, czyjś krzyk, głosy pełne niepokoju, ale i cisza starych kaplic, chrobot myszy w piwnicach, echa mieszkające w rdzawych murach, oddechy śpiących, magia emanująca z rzeźbionych głów w sali poselskiej i w wielu innych miejscach... Byłoby łatwo zgubić się w tym wszystkim, pozwolić własnej tożsamości rozplątać się pośród setek bodźców...

...rysa. Rana na tkance zamku, szarpana rana, w którą już zdążyło się wdać zakażenie. Gdzieś w kaplicy świętego Gereona...

Sara otworzyła oczy. Usiadła bardzo powoli, lecz i tak nie uniknęła zawrotów głowy. Ktoś ją dostrzegł i podbiegł, bezlitośnie traktując po drodze ukochane tulipany jego wysokości.

– Pani! Panowie Remigiusz i Paweł się nie budzą! I inni...

– Wiem – przerwała mu niecierpliwie. To, co rzuciło ją na kolana, musiało na nich wpłynąć. – Nic im nie będzie. Cofnij ludzi, zejść na dół sama. Ci z was, którzy mogliby pomóc, zapewne słodko śpią.

Głupia!

Wiele Pieśni, przeklęta Wiele Pieśni, miała rację. Odwrócono jej uwagę, wywabiono z zamku, by nie mogła zawczasu wyczuć naruszenia osłon. Podwójny trik: jeden atak, by odciągnąć jednostkę specjalną, ona drugi, żeby ona sama musiała się nim zająć, zostawiając zamek niestrzeżony.

– Dlaczego ta cholera nie ostrzegła mnie wprost? – wściekała się czarownica, zmierzając do podziemi schodami biegnącymi pod zachodnim skrzydłem. Dlaczego nie posłuchałam?

Bo nie miałaś powodów, by jej ufać, odpowiedziała samej sobie. Ale zaraz gdzieś w głowie przemówił drugi głos. Bo nigdy nie słuchasz ostrzeżeń, nie słuchasz nikogo.

Czy sądzisz, że posiadałaś całą wiedzę świata, lelkowa panno?

Sądziła, że Wiele Pieśni pragnęła, by płazem uszło jej niszczenie miasta i próbowała wymusić obietnicę, że jej krewniacy będą chronieni. I pomyliła się, a Pierwsza Czarownica Polanii niechętnie przyznawała się do błędów, nawet przed samą sobą. Wiedziała za to doskonale, że trzeba za nie płacić, często zbyt wysoką cenę.

Głupia!

Budynki na budynkach. Kolejne warstwy miasta narastały jedna na drugiej. Pod kamienicami, płytami Rynku i kościołami kryły się przejścia, szczątki dawnych konstrukcji. I Wawel nie był pod tym względem wyjątkiem. Pod dziedzińcem Batorego i zachodnim skrzydłem już dawno odkryto pozostałości kościoła, wzniesionego na miejscu jeszcze starszej budowli. Król Jan planował podjęcie prac remontowych w tej części podziemi, może nawet całkowitą ich przebudowę, zrezygnował jednak, przekonany przez Jeremiasza, poprzednika Sary. Wyjątkowo zgadzała się z tą decyzją flegmatycznego czarodzieja, zbyt ostrożnego, by mógł być dobrym nadwornym magiem. To jego niechęć do konfrontacji i podejmowania ryzyka doprowadziła do rozpanoszenia się w Krakowie zbyt wielu nadnaturalnych bytów.

Głupia!

Tak naprawdę niewiele lepsza od tego starego żółwia, chowającego się w skorupie. Czarownica zacisnęła pięści w bezsilnej złości. Ktokolwiek tutaj był, zdążył opuścić zamek. Sara miała ochotę wyć. Opadła na zimne podłoże, pokryte kurzem, podciągnęła kolana pod brodę i objęła

je rękoma. Rozbolą ją głowa. Nie miała pojęcia, jak wytłumaczy się z tego, że pozwoliła wykraść z kaplicy czakram, jeden z potężniejszych artefaktów na świecie.

Po południu niewiele zostało śladów nocnych wydarzeń. Szkło uprzątnięto jeszcze przed świtem, wkrótce potem usunięto skutki zaklęć, zabrano się do łatania szyb i naprawy latarni. Floriańska stanowiła jedną z najbardziej reprezentatywnych ulic miasta, a królowi zależało na tym, by pamięć o upiornym marszu szybko się zatarła, wywierając możliwie najmniej szkodliwy wpływ na turystykę. Tylko część sklepów pozostała zamknięta, tłum jednak nie wydawał się ani trochę mniejszy niż zwykle: wręcz przeciwnie, ludzie przychodzili, by popatrzeć na zniszczenia, lecz odchodzili wyraźnie rozczarowani.

Za to nakręcony nocą materiał filmowy stał się hitem we wszystkich krajowych i wielu zagranicznych stacjach. Sara zgrzytała zębami ze złości, gdy rankiem miała okazję podziwiać własny wizerunek, wprawdzie niewyraźny, ale jednak dostatecznie rozpoznawalny. Humoru wcale nie poprawiało jej to, że po raz pierwszy od dawna media wyrażały się o nadwornej czarownicy jednoznacznie pozytywnie. Już zdjęcie, które zamieszczono ostatnio w kolorowym magazynie, spekulujące na temat możliwego królewskiego ożenku, wystarczało aż nadto. Jeśli jej twarz przestanie być tylko jedną z wielu w tłumie, życie stanie się znacznie bardziej kłopotliwe, tym bardziej, że nigdy nie lubiła tworzyć iluzji.

Gdy jednak szła przez Rynek, nie czuła na sobie niczyjego wzroku. Nie była w końcu gwiazdą filmową czy piosenkarką, a zaledwie marną czarownicą, która przypadkiem uśmierciła parę biesów. Przepisnęła się przez grupę zagranicznych turystów, odpychając łokciami znacznie wyższych mężczyzn, minęła szkolną wycieczkę i rząd straganów. Gołębie, którym dzieci sypały ziarno, poderwały się do lotu, szare skrzydła uderzyły o nogi i ramiona Sary. Panna młoda w sukni inspirowanej modą z osiemnastego wieku, krojonej z dwóch kawałków materiału, rozpiętych na owalnym panierze, pozowała do zdjęć przy Sukiennicach. Poza kadrem ciągnęło się graffiti z napisem: „Niech żyje Król”. Dość idiotyczny pomysł na sesję, uznała czarownica, wchodząc do budynku i dołączając do ludzi sunących po obu stronach korytarza.

W końcu zatrzymała się i zadarła głowę.

Tuż nad nią wisiał nóż, przymocowany do sklepienia Sukiennic łańcuchem. Zwykły nóż.

Zupełnie zwykły. Pozbawiony choćby śladów aury.

– Znasz tę legendę? – Tuż obok zatrzymał się wyrostek, rudy, pryszczaty i niezgrabny, na oko ledwo po liceum. – Ponoć budowniczy wieży kościoła Mariackiego zabił tym nożem swojego brata, a potem...

– Brat wyciął serce brata – mruknęła Sara nieuważnie, wciąż wpatrzona w górę. – I pożarł je, wciąż ociekające ciepłą, lepką krwią. Ale nie oni wzniesli kościelne wieże i to nie był ten nóż.

Chłopak zrobił dziwną minę i czym prędzej się ulotnił, najwyraźniej uznając, że ma do czynienia z wariatką. Sara nawet tego nie zauważyła, zbyt skupiona na łańcuchu, który został zerwany i imitacji, jaka wisiała teraz na jego miejscu. Od jak dawna? Od godzin, dni, tygodni?

Puszka Pandory pośród prezentów przeznaczonych dla króla, ostrzeżenie Wiele Pieśni i upiorny pochód, przesuwający się krakowskimi ulicami. Biesy opętujące młodych, niedoświadczonych magów, kamień skradziony z zamkowych podziemi, skrwawiony nóż zabrany z Sukiennic. Ktoś siał zamęt. Ktoś wystarczająco potężny, by wpleść czar w pudełko. Zapewne czarnoksiężnik, a jeśli o nich chodziło, pieśń zawsze brzmiała tak samo. Mówiła o mocy, o władzy i wiedzy, była kusząca jak melodia wygrywana przez Szczurołapa. I, podobnie jak ona, wiodła ku zatraceniu.

Sara ruszyła przed siebie, choć jeszcze nie miała pewności, dokąd powinna iść. Zaciskała drobne pięści w bezsilnej złości. Ktoś zdołał ją oszukać, a czarownice niełatwo akceptowały porażki. Zaklęcia, które sama rzuciła na zamek, zostały przełamane. Skradziono dwa artefakty tuż sprzed jej nosa. Należało czym prędzej coś z tym zrobić.

Na przykład złapać stojącego za tymi wydarzeniami głupca i wyciąć mu serce. Oczywiście, część związaną z obiadem można sobie darować, Sara wołała hamburgery.

Pokrzepiona tą myślą czarownica zaczęła nucić pod nosem.

Rozdział trzeci

Wytnij serce brata

Powietrze pachniało kurzem, pleśnią i starym papierem. Przez brudne, wąskie okna wpadało niewiele światła. Archiwum wyglądało jakby egzystowało gdzieś poza czasem, zapomniane przez ludzi. Mimo to Sara, ledwo przekroczywszy próg, wyczuła pozostałości zaklęć rozwianych przed dziesięcioleciami, a także te wciąż aktywne, rzucone zaledwie kilkanaście lat temu. Czarownica rozpoznała dobrze jej znaną magiczną strukturę. Co aż tak ważnego mogło kryć się w tym ciemnym miejscu, że Kalina Czerwona Iskra, niegdyś Pierwsza Czarodziejka Polanii, uznała za stosowne nałożenie ochronnych czarów?

– Gdzie jest opiekun archiwów? – spytała Sara, chodząc powoli pomiędzy półkami i ostrożnie badając utkane w tych miejscach zaklęcia.

Ochrona przed kradzieżą.

Przed żywiołami.

Przed ciemnymi mocami.

Linie, które nie przepuszczą tego, co nie jest żywe.

I jeszcze jeden czar, tak subtelny, że gdyby Sara nie знаła aury Czerwonej Iskry, przeoczyłaby go, odwróciła się i opuściła archiwum. Zniechęcenie. Odstraszenie.

Takie zabezpieczenia zwykle spotykało się w najważniejszych rządowych instytucjach, domostwach magów, a czasem w willach najbogatszych mieszkańców kraju. Co więc kierowało Kaliną, gdy postanowiła rzucić je w placówce naukowej, w dodatku w archiwum, zawierającym książki historyczne, dokumenty, które dawno utraciły ważność i rozsypujące się ze starości listy, cenne wyłącznie z racji swego wieku?

– Jest... nieobecny – odparł zastępca dyrektora nerwowym tonem. Szczurkowaty, niziutki człowieczek o wyłupiastych oczach musiał

nasłuchać się plotek i najwyraźniej był nerwowy z natury: śledził Sarę przerażonym spojrzeniem, nieustannie wyginając sobie palce. Jakby bał się, że czarownica za chwilę zrówna budynek z ziemią.

– W takim razie go tu ściągnijcie – warknęła Sara. Zamknęła oczy i uniosła dłoń, próbując schwycić w palce szkarłatne linie, rwące się i cienkie, wciąż jednak posiadające jeszcze trochę mocy, wciąż zdolne do powstrzymania tego, co nie jest żywą istotą. Misterny czar, prawdziwe mistrzostwo. Tylko po co? Czego chciała strzec Kalina? – Potrzebuję materiałów dotyczących historii miasta. Zwłaszcza opowieści o Nożu Dwóch Braci oraz informacji o wznoszeniu Wawelu i Mistrzu Twardowskim.

– Em... znakomita ilość materiałów jest na samym zamku...

– Wiem, co jest na zamku – warknęła zniecierpliwiona. – I właśnie po przejrzeniu tych materiałów przyszedłam tutaj. Potrzebuję więcej informacji i kogoś, kto wie, gdzie ich szukać.

– Opiekun archiwów... on... tak jakby... zaginął – wymamrotał mężczyzna, wbijając wzrok w podłogę.

– Zaginął – powtórzyła Sara, przeciągając sylaby. Nieprzyjemne przecucie, które nawiedziło ją, gdy weszła do pomieszczenia, przybrało na sile. – Kiedy? Gdzie? Co zrobiono, aby go odnaleźć?

Szczurek, jak czarownica ochrciła w myślach zastępcę dyrektora, wygiął palce lewej dłoni tak bardzo, że zaistniało ryzyko ich złamania. Patrzył wszędzie, byleby nie na Sarę.

– Zgłosiliśmy zaginięcie – wymamrotał w końcu. – Ale to starszy człowiek. Prawdopodobnie trafił do jakiegoś szpitala...

– Kim był? – przerwała mu zdecydowanie Sara. – W czym się specjalizował?

– Pan Rosiński był specjalistą od historii Krakowa, zwłaszcza historii krakowskiej magii, ale...

Czarownica zacisnęła pięści w bezsilnej złości i odwróciła się, nie słuchając już tego, co Szczurek miał do powiedzenia. Taki specjalista musiał wiele wiedzieć o Twardowskim. Znał też z pewnością prawdziwą historię noża, umieszczonego w Sukiennicach, i być może nawet zdobył jakieś informacje o tajemniczym kamieniu, znajdującym się w podziemiach zamku... Posiadał wiedzę, którą czerpać można było ze starych ksiąg, oprawionych w skórę, bezpiecznych w królewskim zamku, zamkniętych w bibliotekach Instytutu Magii...

...i tutaj. Chronionych najpotężniejszymi zaklęciami, jakie potrafiła utkać Czerwona Iskra. Dlaczego pozostawiła woluminy tutaj, w tym cichym, zapomnianym miejscu? Zrezygnowana Sara opadła na krzesło. Nie zdążyła zadać rudowłosej czarodziejce tak wielu pytań. Nie, inaczej: tak wielu pytań nie chciała zadawać, tak wielu odpowiedzi nigdy nie wysłuchała. Lekkością odrzuciła nauki Kaliny, odmówiła pozostania jej uczennicą i teraz po raz pierwszy pomyślała, że to mógł być błąd.

– Potrzebuję danych tego Rosińskiego – powiedziała, pocierając skronie. Czula zbliżającą się migrenę. – Książki przejrzę sama. Zostaw mnie.

Brat zabił brata i pożarł jego serce, wciąż ociekające ciepłą, lepką krwią. Krakowscy magowie skazali mordercę na okrutną pokutę.

Słowa Kaliny, wypowiedziane przed niemal dwudziestu laty, raz za razem odbijały się echem w głowie Sary. Odmówiła wtedy wysłuchania opowieści, odrzuciła wiedzę, której teraz rozpaczliwie potrzebowała. Dysponowała jedynie strzępkami informacji, których uzupełnienia musiała poszukiwać w starych księgach. Być może starsi spośród magów stolicy mogliby opowiedzieć czarownicy całą historię Noża Dwóch Braci, którego potężną, mroczną aurę mógł wyczuć każdy czarodziej, lecz Sara nie cieszyła się sympatią kolegów. Musiała sama prowadzić swoje poszukiwania.

Bracia, których imiona zostały zapomniane, byli najpotężniejszymi magami Polanii. Pewnego dnia starszy, wiedziony czy to zazdrością, czy pragnieniem zyskania większej mocy, zamordował młodszego, wyciął mu serce i zjadł je, pochłaniając tym samym całą potęgę swego brata. Tej magii jednak zakazano i każdy, kto po nią sięgnął, miał być przeklęty po siedmiokroć. Morderca został ukarany, a nóż, którego użył do bratobójstwa, zawisł w Sukiennicach.

Ale dlaczego? I skąd brała się ta aura, wciąż wyraźna pomimo upływu wieków? Zbrodnia nie była aż tak makabryczna, by ostrze po tylu latach błyszczało krwawym blaskiem. Sara miała niemiłe przeczucie, że rozwiązanie zagadki kryje się gdzieś pomiędzy kartami ksiąg – a zaginiony Tadeusz Rosiński je znał. Czerwona Iskra rzucając swe zaklęcia nie pomyślała, że może zapobiec wyniesieniu samych książek z archiwum, nie zdoła jednak utrzymać wiedzy zamkniętej pośród bezpiecznych ścian.

– Przynieście mi jej serce w szkatule ze srebra i złota – szeptała do siebie czarownica, cichutko, ledwo słyszalnie, pochylona nad starymi zapiskami. – Przynieście mi wycięte płuca. Oczy rzućcie krukowi na pożarcie, by nie znalazła drogi w zaświatach, oddajcie język wilkom, by bogom nie wyznała prawdy. Odetnijcie warkocz, który rzucę na pastwę głodnych płomieni, by związać jej duszę.

Magia zakazana, wyklęta, pozostawiająca ślad nie do ukrycia. Magia zasługująca na karę, która przyprawiłaby o atak serca wszystkich obrońców praw człowieka. Jak krakowscy czarodzieje ukarali starszego brata? Sara miała parę pomysłów na to, co sama mogłaby zrobić z takim delikwentem. Każdy z nich wiązałby się z późniejszą koniecznością długiego wywabiania krwawych plam z ubrań. Co jednak zrobili ci, którzy władali wtedy magiczną częścią Krakowa? Po wymierzeniu kary przymocowali nóż pod sufitem Sukiennic, używając do tego zarówno łańcucha, jak i czarów. I było w nim coś więcej niż pamięć przelanej krwi, bo jego aura w pewien dziwny sposób przywodziła na myśl kamień z podziemi zamku, choć skarb z kaplicy promieniował znacznie subtelniejszą energią. Kalina mówiła jej o tym... kiedyś, dawno temu... Klejnot, nóż, srebrzyste lustro...

Tak, mówiła. A Sara nie słuchała i teraz za to pokutowała. Materiały odnalezione w zamku były skąpe, niewystarczające, wyłaniały się z nich zaledwie fragmenty historii. Nie ulegało jednak wątpliwości, że te trzy artefakty w jakiś sposób są ze sobą powiązane.

– Moc jej wypiję, młodość skradnę, a duszę zwiążę na wieki – wymruczała czarownica i wyprostowała się, przeciągnęła, rozciągając zastale mięśnie. Zmęczone oczy piekły, słońce chyliło się ku zachodowi, w pomieszczeniu panował półmrok. Godziny spędzone w archiwum nie poszły jednak na marne. Księgi, które Kalina zapragnęła ukryć nawet przed kolegami po fachu, zawierały kilka odpowiedzi.

Starszy z braci został skazany na wieczną pokutę, ciągle cierpienie i niekończącą się straż. Jego dusza została uwięziona w nożu.

Na Sarę, w jej własnych komnatach, zamiast chwili upragnionego odpoczynku czekała wyjątkowo nieprzyjemna niespodzianka: Krystian Chmielewski, wiceprzewodniczący Loży Magów, który, niepomny na prywatność (i chroniące ją zaklęcia) rozłożył się na łóżku czarownicy z

książką w rękę.

Na widok tej bezczelności Sarze aż pociemniało w oczach z wściekłości. Co tam uroki wysyłane w podarunku królowi, skradzione kamienie i noże, w których zamykano dusze czarnych magów. Wobec tej ohydnej, straszliwej zbrodni, jaką popełniał właśnie Chmielewski, to wszystko zdawało się drobnostką. Magia wybuchła, poderwała ciężkie łóżko i cisnęła nim o ścianę.

Krystian wciąż spokojnie leżał, tym razem w powietrzu. Uniósł wzrok znad książki, a jego brwi powędrowały w górę, jakby chciał drwiąco spytać: naprawdę? Czarownica odetchnęła głęboko, powoli odzyskując nad sobą kontrolę. Poniewczasie przypomniała sobie, na czym polegają nadzwyczajne zdolności Chmielewskiego, które zapewniały mu tak wysoką pozycję w magicznym świecie. Był jedynym czarodziejem, który potrafił opuszczać swoje ciało bez żadnych ograniczeń. A przynajmniej jedynym znanym. Mógł wędrować dokąd zechciał, niezatrzymywany ani przez odległość, ani zaklęcia, a możliwość skrzywdzenia go podczas takiej podróży graniczyła z cudem. Zapewne siedział teraz spokojnie we własnym domu. Daleko poza zasięgiem pewnej rozzłoszczonej czarownicy.

– Chyba właśnie zniszczyłaś sobie łóżko, Piekielnico – powiedział z udawanym współczuciem. – Piękny pokaz mocy, ale na czym teraz będziesz spać?

Zacisnęła zęby, wściekła w równej mierze na niego, jak na samą siebie. Ruchem ręki zmusiła mebel do powrotu we właściwe miejsce. Rama była uszkodzona, wydawało się jednak, że łóżko wciąż nadaje się do użytku. Sara ściągnęła kurtkę, niedbale rzuciła ją na podłogę i cisnęła buty w kąt pokoju. Nóż i zapalniczkę ukryła w szufladzie. Krystian przypatrywał się jej poczynaniom znad Mistrza i Małgorzaty.

Ciemne włosy miał gęsto poprządkane srebrzystymi nitkami, co w połączeniu z okularami i luźną, kraciastą koszulą, nadawało mu wygląd profesora lub bibliotekarza. Niczym nie wyróżniał się z tłumu, nie ściągał cudzych spojrzeń i nie wydawał się groźny. Krystian był jednak taką książką, której nie należy oceniać po okładce. W tym przypadku obwoluta, sugerująca, że ma się do czynienia z nudnym podręcznikiem, zawierała krwawy horror.

– Striptiz? Czuję się zaszczycony, ale nie jesteś w moim typie.

Został zignorowany. Sara zgasiła światło, pozbyła się spodni, wpełzła

pod kołdrę, i lekceważąc fakt, że tuż obok łóżka w powietrzu unosi się nieproszony gość, ukryła twarz w poduszce.

– Chyba nie zamierzasz tak po prostu iść spać? Halo? Naprawdę nie jesteś zainteresowana, co tutaj robię?

– Przychodzisz jako wysłannik Łoży, aby wyrazić rozczarowanie z powodu zaniedbywania przeze mnie obowiązków – burknęła czarownica spod poduszki. – Ubolewacie nad ostatnim incydentem, zarazem nie rozumiejąc, dlaczego mu nie zapobiegłam. Pewnie zastanawiacie się, czy nie potrzebuję urlopu, najlepiej bezterminowego, i czy nie chcę dobrowolnie zrzec się stanowiska. Udzielasz mi oficjalnej nagany. Wszystko wiem. Idź sobie.

Przekręciła się na drugi bok. Nie poinformowała Łoży o kradzieży kamienia ani o zaginięciu noża. Nie dlatego, że obawiała się konsekwencji, ale żeby inni czarodzieje nie zaczęli płać się jej pod nogami. Na prawdziwą pomoc od Łoży Magów nie miała co liczyć, istniało natomiast prawdopodobieństwo, że gorliwi koledzy będą przeszkadzać.

– Tak, mniej więcej to miałem ci przekazać – potwierdził Krystian.

Wymamrotała pod nosem parę niecenzuralnych słów i zwinęła się w kłębek. Potrzebowała teraz długiego, spokojnego snu, którego ostatnio bardzo jej brakowało, a żywiła niejasne przeczucie, że wkrótce będzie jeszcze gorzej. Miała wiele rzeczy do zrobienia i jeszcze więcej do przemyślenia.

– Ciągle tu jesteś – wymamrotała po kilku minutach. Wprawdzie leżała odwrócona do Chmielewskiego plecami, ale poczucie czyjejś obecności, nawet niematerialnej, nie dawało jej zasnąć.

– Co? A tak, rzeczywiście. Musiałaś gasić światło? Nie mogę czytać w takich warunkach.

– Jakim cudem zabrałaś tę cholerną książkę?

– Dlaczego wszystkich to dziwi? Nikt nigdy nie pyta, jak udaje mi się zabrać ubranie.

– Może ludzie wolą sobie ciebie nie wyobrażać bez ubrania? Trauma do końca życia. Jeśli nie zapytam, co tutaj robisz, to będziesz siedział w mojej sypialni przez następny rok?

– Rok? Nie, skąd, nie mam aż tyle samozaparcia. Ale przynajmniej do następnego czwartku. Tak. Albo nawet do piątku. Masz stąd całkiem niezłe widoki.

Sara westchnęła. Mogła spróbować dalej ignorować Krystiana i po prostu wynieść się na parę dni z Wawelu. Jej małe mieszkanie, którego lokalizacji nie znał nawet Julian, czekało, przytulne, wygodne i wolne od wszelkich niechcianych gości. Pomyślała jednak, że w świetle ostatnich wydarzeń nie powinna teraz opuszczać zamku.

– A ludzie mówią, że to ja jestem nieznośna – burknęła. Na Krystiana wpadła do tej pory zaledwie kilkakrotnie. Przy okazji tych rzadkich spotkań, z reguły krótkich i w towarzystwie kilku innych osób, zachowywał się... no cóż, nie tak jak ona. Widać dostosowywał swoje zachowanie do otoczenia. – Dobrze. Co tu właściwie robisz?

– Myślałem, że nigdy nie zapytasz! – wykrzyknął radośnie Chmielewski. – Widzisz, Piekielnico, sądzę, że ten nocny pochód to nie wszystko. W Krakowie dzieje się coś więcej. Mam rację?

Nikogo nie uświadomiła, co naprawdę stało się w podziemiach. Widać jednak Remigiusz i Paweł nie byli aż tak głupi, za jakich ich miała. Czyżby wywąchali zaginięcie kamienia? A może ktoś dostrzegł, że znikł nóż z Sukiennic? Jeśli jakiś czarodziej miałby ochotę obejrzeć sobie jego aureę, z łatwością dostrzegłby, że wisi tam fałszywka. Jednak niewielu ludzi poza turystami zwracało na niego uwagę, a prawie nikt nie podejrzewał, że nóż jest czymś więcej niż wspomnieniem legendy. Nawet gdyby zauważono zmianę, wątpliwe, by kogoś zainteresowała.

– W Krakowie każdego dnia dzieje się wiele rzeczy – odparła. – Gdybyś nie zauważył, to jedno z największych miast Europy.

– Oczywiście. Wcale w ostatnim czasie nie zaobserwowano zdumiewającej aktywności istot magicznych i ich niespodziewanej wrogości. Nie uśmierciłaś przed paroma dniami inkuba, ludzie ze służb specjalnych nie mają ostatnio nadmiaru wezwań, na przykład do topielic widzianych w Vistuli, a studenci nie zostali opętani...

Zawsze wiedziała, że trzeba uważać na tego szczupłego mężczyznę w okularach. Wydawał się bardziej niebezpieczny, niż sądziła do tej pory. Nie było nic dziwnego w tym, że wiedział o biesach, a o topielicach mógł donieść mu ktoś z jednostki specjalnej, która ostatnio likwidowała ich gniazdo, ale skąd wiedział, że zabiła inkuba? Ten fakt był znany tylko Julianowi i Wiele Pieśni, a oni z pewnością nie ucinaliby sobie pogawędek z Chmielewskim.

– Spora liczba studentów zachowuje się jak opętana przez większość roku, zwłaszcza w czasie sesji – rzuciła obojętnie Sara. – A topielice nie

zostały doszczętnie wytępione, czasem się je wciąż spotyka. Już się ich pozbyliśmy.

– O tak, zdarza się, sam usuwałem jedną pod Lublinem, pół roku temu. Ale całe gniazdo, Piekielnico? W tym samym czasie, kiedy w mieście szaleje inkub, w paczce wysłanej królowi znajduje się klątwa, żywiołak ognia podpala budynki, angażując jednostkę specjalną, a na ulice wychodzi pochód potworów? Nie za wiele tych zbiegów okoliczności, panienko?

Powiedz mi coś, czego nie wiem, westchnęła w duchu czarownica. Mogła do tej litanii dorzucić jeszcze porwanie Tadeusza Rosińskiego, kradzież kamienia i noża.

– I co, panie Chmielewski? Czyżbyście podejrzewali, że to ja, niezadowolona z zarobków, postanowiłam pozbyć się króla i podarowałam mu Puskę Pandory, osobiście przywołałam żywiołaka ognia, a wreszcie zainstalowałam w rzece topielice? Z inkubem pewnie chodziłam na randki?

– Nie jestem głupi – warknął Krystian. – Nie próbuję cię oskarżać, choć wielu w Łoży bardzo chętnie zwałoby winę na ciebie. Na razie zdołałaś pokonać wszystkie zagrożenia, ale co dalej? Jesteś sama. Nie możesz być w kilku miejscach na raz.

Nie, nie mogę, pomyślała, przekręcając się na plecy. Nie zorientowała się na czas, że wszystkie te przypadki, o których wspominał mag, były zaledwie dywersją, mającą odwrócić jej uwagę od naprawdę istotnych wydarzeń. Tak jak powiedział, nie mogła być we wszystkich miejscach jednocześnie.

– Czyżbyś radził, żebym dobrowolnie zrzekła się stanowiska?

– Tak byłoby najlepiej – przyznał. – Co cię tu trzyma? Pewnie, z tą posadą wiąże się splendor, pieniądze i władza, ale w twoim przypadku... Dla dobra jego wysokości powinnaś ustąpić.

Czarownica zaśmiała się ponuro i podciągnęła wyżej, opierając o poduszki. Krystian nie leżał już w powietrzu, teraz siedział na brzegu łóżka i przypatrywał się jej uważnie.

– Dla dobra Juliana? Daruj sobie! Żebyście znów przysłali tu kogoś takiego jak Jeremi Warchocki? Sądzisz, że on rozbroiłby Puskę Pandory? Że powstrzymałby biesy? Zdołałby wyrwać serce inkuba? Ale miał dyplom! Miał uznanie! I napisał tyle poważnych książek, których rozdziały studenci streszczają i wrzucają na „chomikuj”, bo żaden nie

zmusi się do przeczytania całości!

– Czyżbym trafił w czuły punkt? – spytał Krystian. W ciemności trudno było to stwierdzić, ale Sara miała wrażenie, że się uśmiecha.

– Nie – parsknęła. Dla Sary zła reputacja była wręcz uhonorowaniem jej wysiłków. – Ale nie opowiadaj głupot.

– Nie rozumiesz, dziewczyno – Chmielewski westchnął niczym nauczyciel, rozczarowany, że uczennica wciąż nie potrafi zrozumieć, na czym polega mnożenie ułamków. – W Polanii przebywa obecnie nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy magów, czarodziejów i czarowników. Jedna trzecia posiada niewielkie zdolności, ograniczone do jednej dziedziny...

– Znam te liczby – przerwała mu Sara zirytowana. – Jeśli chciałeś się upewnić, że je sobie przypomnę, mogłeś wysłać mi maila, a nie odwiedzać moją sypialnię w środku nocy.

– Znasz, ale nie pojmujesz – warknął Krystian, po raz pierwszy okazując złość. – Kiedyś mierzyliśmy moc metodą siedmiu kręgów. Obecnie nie więcej niż dwustu czarodziejów, czarowników czy magów zasługiwałoby na zaliczenie do drugiego. Może ze czterdziestu ma dość mocy, żeby znaleźć się w pierwszym. Jest też pewna liczba nieco słabszych, ale posiadających wiedzę, władzę czy bogactwo. I wszyscy, Pierwsza Czarownico Polanii, sprawują ważne funkcje, znają się nawzajem lub przynajmniej mają możliwość dotarcia do siebie przez znajomych. Pomagają sobie wzajemnie, wiedząc, że dobro magii to sprawa nadrzędna.

– A ja jestem irytującą przybłądą i wszyscy są zgodni, że dla dobra magii należy przede wszystkim się mnie pozbyć? – domyśliła się Sara.

– Dokładnie – potwierdził Chmielewski. – Nie zrozum mnie źle. Jesteś potężna. Stworzono cię do walki. Problem w tym, że Pierwszy Polanii ma być nie tylko wojownikiem, ale też politykiem. Wszyscy magowie powinni podporządkowywać się jego rozkazom, może niechętnie, ale jednak bez dyskusji. A nie rzucać mu kłody pod nogi na każdym kroku.

Wiedziała, że ma trochę racji. Gdyby jej stanowisko zajmował teraz ktoś inny, mógłby wezwać na pomoc Łożę i Zakon Cienia. Rzecz w tym, że pośród wszystkich znanych Sarze magów Polanii nie było nikogo, kto dorównywałby Kalinie Czerwonej Iskrze, kto mógłby trzymać w ryzach mroczne byty, zawsze najbardziej aktywne w Krakowie, kto

znałby dobrze niespokojną, zmienną aurę miasta. Pewne rzeczy trzeba było załatwiać po cichu i w ciemności. A ktoś, kto chciał to robić, musiał dobrze znać ten rodzaj magii, którego nie nauczały uniwersytety.

Julian nie potrzebował białych magów.

– Czy to wszystko, panie Chmielewski?

– Nie – odparł z westchnieniem Krystian. – Wiedziałem, że się nie zgodzisz, choć doprawdy nie mam pojęcia, jakie są przyczyny twojego uporu. Może chcesz po prostu zrobić nam na złość? Albo coś udowodnić?

O tak, była uparta. Niektórzy uważali, że upór jest wręcz powiązany z kapryśną magią czarownic. Sara wykreśliła słowo „porażka” ze swojego słownika. W dużej mierze właśnie ten upór wciąż trzymał ją na miejscu.

– Do rzeczy. Jestem zmęczona.

– Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że w Krakowie dzieje się coś bardzo złego.

Czarownica przez chwilę milczała. Potem chwyciła poduszkę i cisnęła nią w maga. Ta, rzecz jasna, przeleciała przez głowę Chmielewskiego, lecz chodziło tylko o demonstrację.

– Serio? A o czym rozmawiamy przez ostatni kwadrans? O różowych kucykach? No, dzięki za informację, naprawdę. Spadaj, bo przysięgam, że pofatyguję się do Lublina i skopię ci dupę.

– Słuchaj, co mówię – zirytował się Krystian. – Vegę prześladowają wizje o Krakowie. Pamięta z nich tylko jakieś lustro... Jasnowidze w całym kraju mają dziwne sny, których nie potrafią zinterpretować. A jedyny, który przebywał w Krakowie, padł wczoraj trupem. Śniąc.

– Cholera – podsumowała krótko Sara. Powinna była o tym wiedzieć. Tymczasem informacja dotarła do Łoży, ale nie do niej. Ludzie, którzy powinni dostarczać jej takie wiadomości, najwyraźniej nie traktowali swojego zadania dostatecznie poważnie.

– Jak mówiłem...

– Rzucają mi kłody pod nogi, wiem, wiem. Z samego rana przetrzepię skórę paru osobom, sądzę, że zrozumieją przesłanie.

– Nie wszystko da się załatwić trzepaniem skóry – powiedział Krystian, wstając. – Właśnie dlatego nie nadajesz się na Pierwszą Czarownicę.

I znikł. Sara wreszcie została sama, sen jednak nie przyszedł szybko.

Twardowski był najstłynniejszym, najpotężniejszym i, zdaniem Sary, najgłupszym spośród polańskich magów. Po pierwsze, zaprzedał duszę demonowi w zamian za moc. Po drugie, sprowadził z zaświatów Barbarę Radziwiłłównę, co wywołało daleko idące konsekwencje, nie wspominając już o problemach wynikających z faktu, że powrót zmarłej małżonki uczynił z ówczesnego króla bigamistę¹. Po trzecie wreszcie, stworzył Księżycowe Zwierciadło i przelał w nie całą swoją magię.

A lustrum nie należy ufać.

Wspaniałe zwierciadło, w srebrzonej, bogato zdobionej ramie, z wyrytymi na niej łacińskimi inskrypcjami, umieszczono w jednym z krakowskich muzeów. Stale przyciągało tłumy turystów, spragnionych oglądania w tafli fascynujących obrazów. Mało kto wiedział jednak, że to tylko kopia, wykonana w XVIII wieku. Prawdziwe Księżycowe Zwierciadło było zbyt potężne i niebezpieczne, aby mogło zostać wystawiane na widok publiczny. Jego tajemnicę znało zaledwie parę osób, a Sara miała szczęście (czy też raczej nieszczęście) być jedną z nich.

Tuż po wyjściu z archiwum upewniła się, że artefakt jest na swoim miejscu. Z samego rana znów powędrowała przez miasto ku kryjówce, trzymając pod pachą grubą księgę odziedziczoną po Kalinie, i zabrała się do rozstawiania prostych, ale sprytnych pułapek. W niektóre z nich w przeszłości kilkakrotnie wpadła sama (nieodmienne wprawiając tym Czerwoną Iskrę w doskonały humor), toteż nie miała wątpliwości co do ich skuteczności. Tylko czy naprawdę mogły powstrzymać kogoś, kto zdołał przedrzeć się przez bariery chroniące Wawel?

Co mam, do cholery, zrobić? – zastanawiała się Sara, zamieniając podłogę w jedną wielką pułapkę. Posłać to głupie lustro na, nomen omen, Księżyc?

Rzuciła niechętnie spojrzenie Księżycowemu Zwierciadłu. Wykonano je z dziwnej, białej substancji, prawdopodobnie elektrom, stopu złota i srebra, i wprawiono w proste, czarne ramy. Na oryginale nie było inskrypcji, które umieszczono na kopii. Wisiało na ścianie i udawało zupełnie zwyczajne lustro... Przy czym żadna siła nie zdołałaby

przekonać Sary, że lustro nie może niczego udawać.

To z całą pewnością robiło coś takiego.

Może powinna po prostu je rozbić. Niewielka strata, no i nie dostałoby się w niepowołane ręce. Niewykluczone też, że Księżyc nie był takim złym pomysłem, skoro ponoć właśnie tam powędrował jego stwórca. Tylko ile energii potrzeba do stworzenia takiego portalu? Zbyt wiele. Zamiast tego Sara zabrała się do tworzenia teleportu, który umożliwiłby jej natychmiastowe przeniesienie się z zamku do kryjówki, gdyby któraś z pułapek zadziałała. Nawet tak niewielkie zagięcie przestrzeni prawie przerastało jej siły. Portale pozostawały domeną magów.

Pracowała niestrudzenie przed dobre trzy godziny, nim wreszcie osunęła się na podłogę tuż przy ścianie, zbyt wyczerpana, aby od razu wrócić na Wawel. Nie знаła żadnego maga, który byłby zdolny przejść przez stare, starannie utkane osłony, pokonać jej własną magię oraz przebyć wszystkie świeżo rozstawione pułapki. Wciąż jednak prześladowało ją mdlące, nieprzyjemne uczucie niepokoju. Bo ile osób zdołałoby wdrzeć się do kaplicy w podziemiach Wawelu? Cały czas powracało też ostrzeżenie Krystiana i jego słowa dotyczące Vegi, jednej z niewielu wieszczek zasługujących na uznanie.

Tak wiele mocy. Tylko po co?

Sara przymknęła oczy. Ktokolwiek stworzył czakram, nie zrobił tego, by służył on złym celom. A nóż? Jego aura była mroczna, lecz niełatwo nagiąć duszę do swej woli. Za to Lustro Twardowskiego... O tak, ono było całym morzem możliwości. Ale korzystanie z jego pomocy wiązało się z ryzykiem. Od czasów Twardowskiego tylko dwie osoby zdołały je wykorzystać, nie tracąc w następnych miesiącach mocy, zdrowia psychicznego lub życia. Wciąż przyciągało jednak do siebie kolejnych magów. Nie bez powodów Kalina przeniosła je do podziemi.

Lustrom nie należy ufać.

Nie kusi cię? Nie przyciąga niczym ogień ćmy, Saro?

Zmrużone, zielonkawe oczy, błysk słońca w rudych włosach. Nie kusi cię to, Saro? Żadnych sekretów. Żadnych granic. Każda odpowiedź na wyciągnięcie ręki. I moc, tyle mocy.

– Nie – wyszeptwała czarownica, kręcąc głową. Wstała, chwiejnie ruszyła ku wyjściu, potykając się. Wspomnienie słów Kaliny nie przyszło do niej bez powodu. Była osłabiona, a subtelna magia lustra

próbowała to wykorzystać, wabiąc ją.

Sara na oślep sięgnęła do klamki, ledwo jednak dotknęła drzwi, poczuła, jak przechodzi ją zimny dreszcz. Osłony zadrżały, dotknięte obcą mocą. Czarownica znów opadła na podłogę, ogarnięta nagłymi mdłościami. Miała rację. Ktoś przyszedł po lustro. Ktoś dostatecznie sprytny, by odnaleźć tę kryjówkę, a zarazem dostatecznie silny, by walczyć z ochronnymi zaklęciami. Nie spodziewała się jednak, że uda mu się to tak szybko. Zwłaszcza teraz, kiedy straciła tyle energii.

Portal, z którego mogła skorzystać tylko ona, czekał. Gdyby przez niego przeszła, trafiłaby natychmiast do zamku... ale wówczas ten, który zdobył nóż i czakram, dołączyłby do swojej kolekcji lustro. Czary wiązały Zwierciadło z tym miejscem i dopóki działały, nie dało się go ruszyć.

Wybieraj, Saro.

Podciągnęła kolana pod brodę i przymknęła oczy. Pierwsza linia obrony właśnie padała. Czarownica vzdrygnęła się, bo łamaniu zaklęć towarzyszyły nieprzyjemne wibracje. Ktokolwiek czy cokolwiek tam było, miało wiele sił, a ona była wyczerpana z energii. Uciekać? Może jeśli ten ktoś dostanie Księżycowe Zwierciadło, wkrótce padnie sam z siebie, dotknięty klątwą?

– Cholera, jestem czarownicą – mruknęła Sara ze złością. – Ja nie uciekam. To inni mają uciekać przede mną.

Kolejny czar pękł jak bańka mydlana.

– Ene, due, rabe Zamieniła wiedźma księcia w żabę – szepnęła, opierając głowę o drzwi. – Księżniczkę w bociana, para z nich dobrana.

Spokojnie. Przełamanie takich zaklęć kosztuje więcej energii niż rozstawienie paru pułapek. Sara nie sądziła, by sama zdołała przedrzeć się przez nie wszystkie. Nie miała pewności, czy napastnik pokona bariery, a nawet jeśli to zrobi, straci więcej sił niż ona. Zwłaszcza, że zajmie mu to trochę czasu. A wiedźma zdąży trochę odpocząć.

– Lustreczko, powiedz przecie, czyjego trupa dziś znajdziecie? – spytała, kładąc się na podłodze. Miotanie się po pomieszczeniu w oczekiwaniu na napastnika niczego by nie dało. Odpoczynek był najważniejszy.

Mijały minuty, moc wirowała dookoła, przygotowując Sarę o ból głowy. Czary znikwały jeden po drugim. Czarownica wpatrywała się w zegarek, odliczając czas, potrzebny na złamanie każdego kolejnego

zaklęcia. Niechciany gość wyraźnie zwalniał. Męczył się. To pocieszające. Czekają go jeszcze zaklęcia samej Sary, wprawdzie łatwiejsze do pokonania od wiekowych osłon, ale podstępnie utkane.

Pięć minut. Piętnaście. Zatrzymał się. Opadł z sił? Pół godziny. Nie. Próbował dalej.

Godzina. Półtorej.

Czarownica szarpnęła się, gdy moc uderzyła, łamiąc postawione przez nią samą osłony. Tajemniczemu przeciwnikowi zajęło to jednak znacznie więcej czasu, niż się spodziewała. Dlaczego? Dlaczego właśnie te toporne, stawiane na szybko bariery okazały się dla niego najtrudniejsze do pokonania?

Nie spodziewał się ich, odpowiedziała samej sobie Sara, wstając. Był przygotowany na konieczność złamania dawnych zaklęć. Pokonał je w godzinę. A niemal drugie tyle potrzebował na parę drobnych sztuczek czarownicy, niedorównującej tym, którzy jako pierwsi postanowili chronić Księżycowe Zwierciadło. To zaś oznaczało, że przeciwnik nie był aż tak groźny. Był też zmęczony – ona natomiast zdążyła odzyskać część sił.

Sara skoczyła i uderzyła ugiętymi nogami o ścianę tuż nad drzwiami. Została w tej pozycji, przeciwstawiając grawitacji magię. Ledwie kilka sekund później drzwi pękły, a do pomieszczenia wszedł... cień. Czarownica nie poruszyła się, szeroko otwartymi oczyma śledziła istotę utkaną z ciemności. Spodziewała się maga, może nawet demona, ale ten stwór był czymś obcym, czymś, co nie powinno być w stanie przeniknąć nawet najslabszych z osłon, które spowijały budynek. Poruszał się nieporadnie, rozmywał, jakby nie był w stanie utrzymać w pełni materialnego kształtu. Gdy ruszył ku Księżycowemu Zwierciadłu, zadziałała ostatnia pułapka i magiczne więzy wystrzeliły z podłoża. Sara wstrzymała oddech. Istota szarpnęła się, zadrżała, na moment rozmyła. Czarownica mogła widzieć przez nią ścianę. Sznury opadły.

Stwór nie użył magii. Jak coś takiego mogło przełamać zaklęcia? Do tego potrzeba kogoś, kto jest zdolny rzucać czary.

Noc zaśpiewa i nie będzie to radosna pieśń.

Wiele Pieśni, przeklęta Wiele Pieśni coś wiedziała. Sara jednak nie miała już czasu się nad tym zastanawiać, stworzenie bowiem pokonało ostatnią pułapkę, a na ucieczkę było za późno. Zeskoczyła na podłogę i uderzyła w cień strumieniem skłębionej, błękitnej energii. Moc

przeszła przez stwora, cienie w miejscu uderzenia rozeszły się na moment. Zaraz jednak istota znów zespoliła się w całość i powoli odwróciła w stronę czarownicy. Stwór nie miał twarzy, ust, nosa, uszu – tylko oczy, które spojrzały na Sarę. Były normalne, szare i zdumiewająco ludzkie. Uniósł dłoń, a przynajmniej coś, co powinno nią być, i zaskoczona wiedźma w ostatniej chwili odbiła zaklęcie paralizujące.

Korzystając z zaskoczenia swojej przeciwniczki, cień zdumiewająco szybko rzucił się do przodu. Czarownica uskoczyła przed ostrymi pazurami i cięła wydobyłym zza paska sztyletem. Nie poczuła żadnego oporu, lecz runy wyryte na ostrzu zabłysły, a prawa łapa stwora zadrgała i rozpadła się. Jednak kolejny cios wyrzucił Sarę wysoko w powietrze, ciskając na ścianę. Zamroczona, na ślepo rzuciła kolejny czar. Nie trafił celu, odbity od tarczy energii, która pojawiła się znikąd. Jak walczyć z takim czymś? Nóż podziałał, ale nie mogła przecież pociąć cienia na plasterki. Poza tym był szybszy i silniejszy.

Znów zaatakowała magią. Stworzenie nawet nie zwolniło, wciąż szło ku niej z wyciągniętymi przed siebie szponami. Niezgrabnie uniknęła ataku, tnąc istotę nożem i odskakując. Po chwili jednak z ocalałej łapy pofrunęło kolejne zaklęcie, trafiając w czarownicę. Sara upadła na posadzkę, krztusząc się własną krwią.

Właśnie wtedy dostrzegła odbicie w lustrze Twardowskiego. Jasna tafla nie ukazywała cienia, lecz Sara zobaczyła niewyraźny obraz mężczyzny – zdążyła zauważyć długie, bardzo jasne włosy. On stworzył tę istotę, pojęła czarownica, zaciskając palce na sztylcie. Utkął ją z pomocą mrocznej magii. To on przełamywał ochronę Księżycowego Zwierciadła i dlatego stwór miał niestabilny kształt. Przesyłał zaklęcia przez swój konstrukt. Czarnoksiężnik musiał przez cały czas podtrzymywać jego formę.

Ogień zwalczaj ogniem.

Z bladej ręki wiedźmy zaczęła sączyć się ciemność, wnikając w rękoność sztyletu. Niebieskie runy napełniły się czerwienią, tracąc swój poprzedni blask. Cień szedł prosto ku artefaktowi, szykując się do uderzenia. Sara cisnęła w niego sztyletem.

Cień eksplodował, gdy ostrze trafiło w jego efemeryczne ciało. Czarownica skuliła się, osłaniając głowę rękoma, gdy ciemne strzępy wypełniły całe pomieszczenie. Coś przecięło jej skórę na dłoniach, po

policzku popłynęła krew. Kiedy wreszcie opuściła ramiona, była sama.

Cienista istota przestała istnieć, a Sara zakryła tafelę Księżycowego Zwierciadła swoją kurtką, teraz podartą i poszarpaną. Lubiłam tę kurtkę, westchnęła w myślach, podnosząc lustro. Ale lepiej kurtka i spodnie niż ona – jej szyja, twarz i dłonie pokryte były drobnymi, piekącymi skaleczeniami. Nie wspominając o nodze, uszkodzonej podczas zderzenia ze ścianą i o potłuczonych żebrach. Do tego od stóp do głów była obsypana kurzem i pyłem.

A lustro nawet przez skórę niemal parzyło palce.

Kąpiel. Jedzenie. Odpoczynek. Znalezienie jasnowłosego. Obdarcie go ze skóry. Oto lista rzeczy do zrobienia, w tej kolejności.

Gdy jednak znalazła się na Wawelu, od razu dotarło do niej, że to wszystko będzie musiało trochę poczekać. Coś złego wisiało w powietrzu, aura drgała, wprawiana w ruch przez silne emocje mieszkańców zamku. Sara zatrzymała się, podparła o ścianę i zaczęła badać osłony królewskiej siedziby, lecz żadna z nich nie była naruszona. Tym razem nie wyczuwała w okolicy mrocznej magii. Zatem co takiego się stało?

– Och, czcigodna Sara Weronika Sokolska wreszcie zaszczyliła nas swą obecnością.

Za jakie grzechy, jęknęła w duchu czarownica, rozpoznając ten lekko piskliwy głos. Należał do Romana Wawrzyńca, samego przewodniczącego Łoży Magów Polanii. Gdyby mierzyć moc wedle staromodnych kręgów, o których wspomniał Krystian, Wawrzyniec nie zostałby zapewne zaliczony do pierwszego, najsilniejszego, ale niewiele by brakowało. Swoją pozycję w równej mierze zawdzięczał talentom magicznym, jak i odrobinie szczęścia. Został przewodniczącym, ponieważ jego kandydatura odpowiadała wszystkim grupom i stronnictwom w magicznym światku, co stanowiło kompromis, ponieważ zwykle w żadnej sprawie nie mogły one dojść między sobą do porozumienia. Nie bez znaczenia była też jego specyficzna zdolność do wykrywania kłamstw.

Problem polegał na tym, że ponoć jego moc w ostatnich miesiącach zaczęła słabnąć.

– Pan przewodniczący. To prawdziwy zaszczyt – wycodziła przez

zęby, otwierając oczy. Roman, niski, ale umięśniony, zbliżał się ku niej, prowadząc pod rękę Lidię Skibińską, jak zawsze odzianą w biel. Tuż za nimi szedł Krystian Chmielewski.

– Z pewnością zechcesz nam wyjaśnić, dlaczego w karygodny sposób dopuściłaś do zaistnienia tak skandalicznej sytuacji?

Już wiedzą?, zdumiała się Sara, wychodząc z półcienia, w którym stała. Lidia westchnęła cicho, uniosła dłoń do ust. Roman wydawał się skonsternowany. Tylko Krystian zachował niewzruszony wyraz twarzy.

– Na Twardowskiego, co ci się stało?

Czarownica przypomniała sobie, jak wygląda. Mocniej zacisnęła palce na Księżycowym Zwierciadle. Co miała powiedzieć? Oszukanie Romana nie należało do zadań łatwych, a już na pewno nie wtedy, kiedy człowieka bolała większość ciała.

– Na Twardowskiego właśnie – odparła w końcu z westchnieniem. – Ktoś przedarł się przez osłony Księżycowego Zwierciadła. Chroniłam je.

– Ktoś? – spytał gwałtownie Roman. Sara wzruszyła ramionami.

– Ktoś. Coś. Z tego, co przyszło po lustro, nic nie zostało.

To nie było kłamstwo, ale i nie cała prawda. Talent Wawrzyńca nie sięgał jednak na tyle daleko, aby mógł on przejrzeć ten wybieg. Stwór naprawdę przestał istnieć. Sara nie musiała wspominać, że sterował nim czarnoksiężnik.

– Chwileczkę – powiedziała czarownica, widząc, że Roman już otwiera usta, zapewne by zadać dalsze pytania. – Nie jestem zobowiązana do brania udziału w przesłuchaniu. Natomiast powinnam dowiedzieć się, dlaczego delegaci Łoży, zobowiązani do ochrony zamku, kiedy opuszczam go w związku z innymi działaniami... zawalili sprawę.

Przez wąskie usta Krystiana przemknął lekki uśmiech, Roman zaczerwienił się ze złości. Lidia przypatrywała się Sarze z niechęcią.

– Nie możesz winić Remigiusza i Pawła za swoją niekompetencję – wycedził w końcu Wawrzyniec.

– Niekompetencję? Czyż nie przysłano ich na Wawel, ponieważ zadania Pierwszego wymagają często opuszczania zamku? Sam tak twierdziłeś jeszcze przed paru laty. Chyba że nie uważasz ochraniania lustra Mistrza Twardowskiego za istotną sprawę.

Tym razem Chmielewski się skrzywił, zapewne chcąc dać w ten

sposób do zrozumienia, że nie uważa wygłoszonej przez nią uwagi za zbyt dyplomatyczną. Może miał rację. Nawet na pewno. Ale skaleczenia na szyi i dłoniach szczypały, głowa pulsowała z bólu, a Księżycowe Zwierciadło ciążyło, jakby wykonano je z ołowiu. Niepokój płynął ze wszystkich stron, oblepiając Sarę niczym smoła. Ona zaś nie mogła biec, by ukryć lustro, nie mogła sprawdzić, co dzieje się w zamku, bo Roman próbował coś udowodnić.

– To bardzo istotna sprawa – przyznał nieoczekiwanie Wawrzyniec. – Oczywiście, ponieważ w Krakowie ostatnio dzieją się... niepokojące rzeczy, nie możemy jej zrzucić w całości na twoje barki. Domyślam się, że to właśnie jest Księżycowe Zwierciadło?

Wyciągnął rękę. Sara natychmiast cofnęła się, czując, jak ogarniają ją mdłości. Lustro Twardowskiego w szponach Łoży? W ciemnych oczach Wawrzyńca błysnął głód – a może tylko tak się jej wydawało. Jednak nawet jeśli było to złudzenie, zaledwie gra światła, to sekret znany zbyt wielu przestaje być sekretem. Prędzej czy później ktoś zapragnie spojrzeć w białą tafłę zwierciadła i zostanie przez nią pochłonięty. Woląaby zniszczyć Księżycowe Zwierciadło niż pozwolić, by jego moc szalała po świecie nieskrępowana.

Zniszczyć...

...stwór unosi łapę, a białowłosa mężczyzna w tafli...

...uśmiecha się.

– Saro Sokolska – powiedział Roman zwodniczo łagodnym tonem – Księżycowe Zwierciadło ukryto przez wzgląd na jego niezwykle właściwości. Skoro ktoś podjął próbę kradzieży, należy przedsięwziąć środki ostrożności. Ten artefakt powinien przejść pod opiekę Łoży.

– Bądź rozsądna – przemówił Krystian. – Nie zdołasz sama ochronić lustra.

Niewyraźna postać, bardzo jasne włosy, rozmazana twarz i ten uśmiech. Dość potężny, bo odnaleźć miejsce ukrycia magicznego przedmiotu, dość silny, by zerwać zabezpieczenia, dość zaznajomiony z mroczną magią, by zawezwać cień. I... może dość mądry, by nie pragnąć Księżycowego Zwierciadła dla siebie. Stwór próbował je zniszczyć, nie skraść.

– Och, pan Wawrzyniec nie powinien mnie mierzyć swoją miarą – oznajmiła, szeroko się uśmiechając. Jednocześnie sięgnęła ku aurze niepokoju, wzmacniając ją, narzucając na nich niczym płaszcz. Była

nadworną czarownicą, a za przysięgą, jaką składali Pierwsi Polanii, szły wiekowe zaklęcia, wiążące ich z zamkiem i tym, który nim włada. – To, że szanowny pan Wawrzyniec nie ma dość mocy, by w pojedynkę chronić ten jakże potężny artefakt, nie znaczy, że ja temu nie podołam.

Roman poczerwieniał z gniewu. Biała Czarodziejka mocniej zacisnęła blade palce na jego przedramieniu, jakby próbując dać mu znać, żeby się opanował, jednak mag nie zwrócił na to uwagi.

– Być może trwasz w mylnym przekonaniu, że ta odrobina królewskiej sympatii, jaką się cieszysz, zapewnia ci nietykalność – wycedził. – Zapominasz, że...

– Proponuję, aby wszyscy się uspokoili – wtrącił Krystian, robiąc krok naprzód i stając pomiędzy czarownicą a przewodniczącym Łoży. Sara z trudem powstrzymała syknięcie. Chmielewski próbował zapobiec pogorszeniu sytuacji, nie zdając sobie sprawy, że mógł wszystko zepsuć. Subtelna magia, ściągająca do nich wszystkie negatywne uczucia mieszkańców zamku, chyba nie miała na niego wpływu. Sara przez chwilę pomyślała, że nie zdołała sięgnąć do aury, ale koledzy jej to ułatwili: Lidia nerwowo rozprostowywała i zamykała palce wolnej dłoni, a Roman zaciskał zęby ze złości. – Ostatnio sporo się działo – dokończył Chmielewski.

– O czym zapominam? – wysyczała Sara, udając, że nie dostrzega poczynań Krystiana. – O ile się nie mylę, specjalistką od artefaktów jest w Łoży jest Joanna Darń. Panuje również powszechne przekonanie, że posiada znacznie większą moc od obecnego przewodniczącego. Czy to nie jej powinno się powierzyć pieczęć nad lustrem?

Sara zrobiłaby to wyłącznie po własnym trupie. Rzecz w tym, że sam Roman dałby się zabić dwa razy, aby temu zapobiec. Joanna bowiem faktycznie była czarodziejką potężniejszą od niego, a w dodatku oczekiwano, że to właśnie ona przejmie władzę nad Łożą. Miała licznych zwolenników, ale równie duże grono przeciwników. Wawrzyniec zaś został wybrany jedynie na drodze kompromisu.

– To ja jestem przewodniczącym Łoży.

Tracił kontrolę nad sobą i – co ważniejsze – również nad swoją magią. Sara wyminęła Krystiana i wyszarpnęła się, gdy ten spróbował ją zatrzymać. No dalej. Wścieknij się. Nigdy nie byłeś dobry w panowaniu nad gniewem. Znasz swoje słabości i nienawidzisz ich. Tak

łatwo manipulować głupcami, którzy poddają się emocjom. Tak łatwo sterować tymi, którzy czegoś pragną. Nienawiść, miłość, zazdrość, pożądanie, tęsknota za władzą, bogactwem, mocą...

– Nie jestem jedyną, która uważa, że na to nie zasługujesz – powiedziała zimno. – Właściwie, Romanie, kiedy ostatni raz użyłeś magii? Chodzą różne plotki na twój temat... słyszałam coś o pewnych eliksirach...

Zakłęcie rzuciło ją na ścianę. Rozległ się trzask, uszkodzona już wcześniej noga wygięła się pod dziwnym kątem, po twarzy popłynęła krew. Sara, zamoczona bólem, wciąż zaciskała ręce na lustrze, ochraniając je własnym ciałem. Wawrzyniec coś krzyczał, chyba chciał rzucić kolejny czar, ale Krystian chwycił go za nadgarstek, zaś Lidia Skibińska patrzyła na Pierwszą Czarownicę Polanii z niechęcią, ale i pewnym szacunkiem. Jako jedyna pojęła, co właśnie się stało. Dorosłaś, dziewczynko, pomyślała Sara, próbując uśmiechnąć się do Białej Czarodziejki. Nie wyszło, pokrwawione usta wygięły się tylko w brzydkim grymasie.

– Brawo, Romanie – mruknęła zde gustowana Lidia. – Brawo. Wszystko popsuleś.

– Romanie Wawrzyniec! – wrzasnęła Sara, próbując przekrzyczeć kłócących się mężczyzn. Gdyby była w stanie wstać, mogłoby to wypaść bardziej imponująco, ale bała się choćby poruszyć nogą. – Zaatakowałeś mnie w moim domu. Przełałeś moją krew. Domagam się satysfakcji.

Krystiana jakby trafił piorun z jasnego nieba. Roman to otwierał, to zamykał usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Biała Czarodziejka przypatrywała się Sarze z drwiącym uśmiechem.

– obrażałaś mnie – warknął w końcu Wawrzyniec. – Podważałaś moje kompetencje, odmówiłaś wykonania rozkazu...

– Nie bądź idiotą – ucięła Lidia ostro, ściągając tym samym na siebie spojrzenia trzech par oczu, pełnych zaskoczenia. – Ani razu nie obraziła cię wprost. Podważanie kompetencji nigdy stanowiło wystarczającego powodu do walki. I, choć mówię to niechętnie, muszę stwierdzić, że nie musiała wykonywać twojego polecenia.

– Po której jesteś stronie? – spytał cicho Roman. Lidia jednak zignorowała go, zwracając się bezpośrednio do Sary, wciąż skulonej na ziemi. Biała Czarodziejka niecierpliwie machnęła ręką, odganiając

kogoś, kto zbliżał się ku nim, najwyraźniej zainteresowany tym, dlaczego na zamku ludzie fruwały w powietrzu. Z bladych palców spływały kolorowe iskry.

– Domyślam się, że zrezygnujesz z pojedynku, jeśli pozostawiamy Księżycowe Zwierciadło pod twoją wyłączną pieczęcią?

– Brawo – pochwaliła ją Sara, uznając, że chyba nie doceniała Lidii Skibińskiej. W pamięci wciąż miała jej obraz sprzed paru lat, białej, niegroźnej ptaszyny, zbyt ufnej we własną potęgę. Teraz ta krucha istotka zdążyła wyrosnąć i stała się niebezpiecznym przeciwnikiem. Może nawet bardziej niebezpiecznym niż Krystian Chmielewski.

– Nie ma mowy – zaprotestował Roman. – To zbyt cenny artefakt, żeby zostawiać go Piekielnicy.

– Cenniejszy niż twoja reputacja? – zapytała Lidia, obdarzając go zimnym spojrzeniem. – Ma prawo domagać się walki. Jeśli przegrasz, to nie utrzymasz swojej pozycji.

– Sama z nią przegrałaś – przypomniał niezbyt rozważnie Wawrzyniec. Krystian aż gwizdnął, a Sara zachichotała, co nie było zbyt dobrym pomysłem, bo żebra natychmiast stanowczo zaprotestowały. Niebieskie oczy Lidii zwęziły się.

– Byłam młoda, niedoświadczona, świeżo po studiach, bez pozycji, którą mogłabym stracić. Nikogo nie obchodziła przegrana dziewczyny, dopiero odbierającej dyplom. Oczywiście, jeśli porównujesz osobę, którą wtedy byłam, do siebie samego obecnie, może Pierwsza Czarownica Polanii miała sporo racji. Zmarnowałam tutaj dosyć czasu.

Odwróciła się na pięcie, a biała spódnica zatańczyła wokół jej zgrabnych nóg. Wawrzyniec wahał się jeszcze przez chwilę, najwyraźniej rozważając wszystkie za i przeciw. W końcu jednak podążył za Lidią. Sara przymknęła oczy, hamując westchnienie ulgi. To był taniec nad przepaścią.

– Powiesz mi, co naprawdę się tam stało?

Uniosła powieki. Krystian nie pospieszył za towarzyszami, przykucnął tuż przy czarownicy.

– Wymyślę jakieś przekonujące kłamstwo – mruknęła. – Powiedz mi lepiej, co stało się tutaj.

– Otruto Smoka Wawelskiego – westchnął Krystian. Sara przypatrywała mu się przez chwilę z niedowierzaniem. Spróbowała zmienić pozycję, natychmiast jednak przed oczyma wybuchła jej

czerwień. Wypuściła z rąk lustro i zwinęła się z bólu. Dopiero po chwili dotarło do niej znaczenie słów, wymówionych przez Chmielewskiego.

– On żyje! Żyje, rozumiesz? Przeżył. Nie ruszaj się, do licha! Już idą ci pomóc... Ty jesteś jednak kompletnie szalona, Piekielnico. Powinnaś oddać Zwierciadło Łoży.

– Jeśli ja tak łatwo zagrałam na jego słabościach, lustro zjadłoby go na śniadanie – wyjęczała, podpierając się łokciem. Sylwetka Krystiana znikła jej z zasięgu wzroku, a zamiast niego pojawił się ktoś z pracowników zamku. – Poślijcie uzdrowicieli do smoka. Na Morgane, nie bądźcie idiotami i poślijcie mu uzdrowicieli...

Na ślepo sięgnęła po lustro, przyciągając je do piersi. Nie miała sił, by dalej walczyć z napływającą ciemnością.

Trudno było stwierdzić, które z nich było bardziej wściekłe: Biała Czarodziejka czy wystrychnięty na dudka przewodniczący Łoży. Krystian musiał biec, aby ich dogonić – Lidia szła szybko, wysokie obcasy stukwały o płyty chodnika. Otrucie Smoka Wawelskiego miało być tym potknięciem, które podważy kompetencje Sokolskiej. Tymczasem nic nie poszło po ich myśli. Czarownica miała doskonale usprawiedliwienie. Mogli jeszcze przekuć tę porażkę w zwycięstwo, zdobyć lustro Mistrza, lecz Roman zepsuł wszystko, dając się ponieść emocjom.

Może to i dobrze, uznał Krystian po chwili namysłu. Słyszał legendy o zwierciadle, w którym zamknięto diabelskie moce, wpędzającym magów w szaleństwo. Jeśli Wawrzyniec tak łatwo dał się sprowokować Piekielnicy, która zawsze lubiła wystawiać cudzą cierpliwość na próbę, powierzenie mu Księżycowego Zwierciadła nie byłoby mądrym posunięciem.

– Stan Smoka jest ciężki, ale stabilny, przynajmniej chwilowo – mruknął Krystian, gdy się zatrzymali, a Lidia zaczęła tworzyć portal. – Musimy jak najszybciej przysłać najlepszych uzdrowicieli.

– Niczego nie musimy – odparła kobieta, wodząc ręką w powietrzu. Portal, który tworzyła, był równie jasny jak jej zwiewna suknia.

– Co? – zdziwił się Chmielewski. – Żartujesz? On potrzebuje pomocy.

– Niech więc pomoże mu Sara Piekielnica – oznajmiła Lidia. Brama nabrała kształtów. Przez biały, zdobiony łuk mogli spojrzeć na lekko

zamglony ogród przed rezydencją Romana. – Wyraźnie dała do zrozumienia, że nie życzy sobie naszej pomocy.

– To jednak Smok Wawelski – przypomniał Wawrzyniec, który najwidoczniej zdążył ochłonąć. – Nie możemy...

– Możemy – warknęła kobieta, cofając rękę. – W Krakowie ostatnio sporo się dzieje. Sara już nie daje sobie z tym rady. Widzieliście, jak wyglądała dzisiaj. Nie uniesie tego. Będzie musiała się poddać.

– A co z miastem? – zaprotestował Krystian. – To nie jest zabawa!

– Miasto sobie poradzi. Czasem trzeba coś poświęcić – parsknęła Lidia i znikła w portalu.

Rozdział czwarty

Bez światła gwiazd

- Nie czułem się tak źle od tej nieszczęsnej historii z Dratewką.
- On z pewnością czuł się gorzej. Jeśli dobrze pamiętam, to odgryzłeś mu głowę.
- Pewnie nawet nie zauważył, a mnie żołądek palił tygodniami po jego ekscesach! Poza tym jestem pewien, że zrobiłabyś dokładnie to samo na moim miejscu.

Smok Wawelski leżał zwinięty w legowisku, niezdolny do poruszenia choćby koniuszkiem ogona. Jego błyszczące zielone łuski zmatowiały, złociste ślepia wciąż były zamglone, a bandaż na łapie pokrywała zaschnięta krew. Tuż po wystąpieniu objawów zatrucia miotał się po jaskini, drapał pazurami ściany i uderzał łbem o sufit w nadziei na utratę przytomności. Leon, nadworny uzdrowiciel, nafaszerował Smoka antidotum i środkami uspokajającymi, przez co kilka kolejnych godzin gad spędził w niespokojnym półśnie, zawieszony między życiem a śmiercią. Gdy z Poznania przybyła Aleksandra Markowska, jedna z najbardziej utalentowanych uzdrowicielek Polanii, ze złością oznajmiła, że Leon prawdopodobnie ocalił Smoka przed zgonem wywołanym trucizną i jednocześnie omal nie wykończył go nadmiarem innych, niebezpiecznych specyfików. Szczęśliwie zdołała oczyścić smoczy organizm z toksyn i zajęła się ranami, które bestia sobie zadała.

– Nie – powiedziała Sara po chwili namysłu. Wyglądała niewiele lepiej niż Smok. Chcąc nie chcąc również musiała oddać się w ręce uzdrowicieli, którzy połatali jej nogę i pokryli rany jakimś zielonym specyfikiem, jednak wciąż nie odzyskała pełni sił. – Nie potrafiłabym otworzyć ust dość szeroko.

– Nie ma bardziej tchórzliwej broni niż trucizna – wysyczał Smok. Czarownica zamknęła oczy i oparła czoło o przyjemnie chłodną skałę. Ciemność, cisza i zimno panujące w jaskiniach uspokajały. Tutaj nie

wyczuwało się obecności dziesiątek osób przewijających się przez Wawel i parnego powietrza zwiastującego burzę. Tutaj nie sięgała moc Księżycowego Zwierciadła, które wiedźma umieściła w swojej komnacie. Magia, która strzegła pokoi nadwornej czarownicy, mogła je uchronić przynajmniej przez jakiś czas, lecz kto miał chronić ją samą przed lustrem?

– Nie ruszasz w pogoń, Saniko? – zapytał Smok.

– Obecnie doścignęłabym tylko żółwia i to pod warunkiem, że nie poruszałyby się zbyt szybko – odparła, wyciągając przed siebie obolałą nogę. Nie miała siły, by ścigać kogokolwiek. I nie była pewna, czy chce to robić. Owszem, stanowisko Pierwszej zapewniało wygody, regularne przelewy z dużą liczbą zer oraz okazje do rozrywki i denerwowania ludzi. Ale czy to było warte aż tak wiele? – Zbyt długo mieszkam w tym mieście.

– Oni też byli tu długo. Wydarto im moc. Odebrano chwałę i ziemię. Wyparto. Odrzucono. Lecz nigdy się nie poddali. Nigdy nie odeszli do końca.

Tym razem chłód, który przeszył Sarę, nie miał nic wspólnego z temperaturą w jaskini. Czarne oczy błyszczące niczym dwa agaty. Błysk zapalniczki. Płatki śniegu padające na twarz. Kruki krążące na tle szarego nieba. Wilgotne lochy, kajdany pokryte rdzą, ciemność, z której wyłania się Wiele Pieśni, cień w zaułku. Stukot obcasów, rąbek jasnej sukni, złociste ślepie, barwne pióra, roziskrzony klejnoty.

– Jestem Pierwszą Polanii – przypomniawszy, odganiając niechciane wizje i obrazy wciskające się pod powieki. – Nie wpuszczam ich z powrotem.

– Wybrała cię, bo odmówiłaś im swojego serca.

Sara wstała gwałtownie, jednak niesprawna noga nie utrzymała jej ciężaru i czarownica zatoczyła się na ścianę, zaciskając zęby z bólu. Smok warknął. Nie zabrzmiało to groźnie, jednak mało kto chciałby usłyszeć taki dźwięk gdzieś w ciemnościach.

– Nie powinnaś tak szybko okazywać słabości.

– Jak dużo ci powiedziała? – spytała, zaciskając pięści. Dławiła ją wściekłość. Miała wrażenie, że w mroku dostrzega połysk rudozłotych włosów Czerwonej Iskry. Czy nigdy nie zdoła uwolnić się od jej cienia? Gdy Kalina zniknęła i, choć nie udowodniono jej śmierci, stało się w końcu jasne, że nikt nie zdoła sprowadzić Pierwszej Czarodziejki z

powrotem, Sara poczuła jedynie ulgę. Czerwona Iskra naprawdę była najpotężniejszą – i najniebezpieczniejszą – czarodziejką Polanii. Zbyt wiele wiedziała. Zbyt mocno zaplotła swe sieci. Sokolska sądziła, że wraz ze śmiercią samozwańczej opiekunki stanie się wolna. Więzy, splecione przez Kalinę, sięgały jednak głęboko. Co gorsza, stara czarodziejka podzieliła się swą wiedzą ze Smokiem... i nie wiadomo, z kim jeszcze.

– Dość, bym wiedział, że nie robisz tego z dobroci serca.

Osunęła się na podłoże. Noga promieniowała bólem. Chyba przesadziła z prowokowaniem Romana. Najwidoczniej plotki o jego rzekomej powolnej utracie mocy były przesadzone – albo mikstury, które przyjmował, były naprawdę doskonałe.

– Takich stanowisk nie przyjmuje się z idealistycznych powodów – syknęła. – Zawsze chodzi o pieniądze, władzę, ambicje, sławę, możliwości. Zawsze. Nawet jeśli ktoś przypadkiem jest porządnym człowiekiem, ma w tym jakiś interes.

Jak Kalina, która lubiła władzę i pieniądze, a jednocześnie była dość silna i sprytna, aby nie pozwolić wykorzystać tego przeciwko sobie. O, tak. Czarownica nie wierzyła, że Czerwona Iskra może czegoś ją nauczyć. A jednak mogłaby – chociażby stawiania pułapek. Szkoda tylko, że Sara odmówiła pobierania lekcji.

Pieniądze. Władza. Wpływy. Lub dług, przyrzeczenie zbyt silne, by je złamać, geas, przysięga krwi. Zapłata za życie, za duszę. Przyrzeknij, że się nim zajmiesz, Saro. Przyrzeknij.

– Jestem stary – wymruczał Smok Wawelski. – Bardzo stary. Pamiętam czasy, gdy ci, którzy są utkani z mocy i pragnień, władali światem. A gdy ich stąd odegnano, postawiono mnie na straży. Nie mnie jednego.

Uniosła głowę tak gwałtownie, że uderzyła o skałę i jęknęła z bólu.

– Kamień. Nóż Dwóch Braci.

– Byli tacy potężni – westchnął Smok Wawelski z żalem. – Tacy utalentowani. Odważni. Błyskotliwi. Wy, ludzie, żyjecie tak krótko. Jesteście pyłem na wietrze. Nie warto się do was przywiązywać. Ale oni łatwo zdobywali cudze serca, tak ludzkie, jak i smocze.

Sarę przeszedł zimny dreszcz. Smok rzadko opuszczał podziemia, miał niewiele kontaktu ze światem zewnętrznym. Nie sądziła, że mógł znać braci z legendy. Jeśli jednak tak było, jeśli poznał ich na tyle

dobrze, aby zyskali sobie jego przyjaźń, jeden z nich musiał...

– Pierwszy Polanii.

– Młodszy – przyznał. – Jego magia była jasna jak słońce. Chyba jako jedyna nie polubiłabyś go.

– Słońce oślepia – odparła, gdy kolejny nieproszony obraz zatańczył pod powiekami. Płowe włosy, złociste oczy, łagodny uśmiech. Kłamstwo. Słońce oślepia. Słońce utkano z ognia, a ten wypala bez reszty. Pamiętaj o płomieniach, Saro. Nie wolno ci zapomnieć. Dym i ogień, tylko one były prawdziwe.

– Starszy brat był zazdrosny. Nie rozumiał, że właśnie przez tę zazdrość, przez pychę, nie mógł zostać Pierwszym, nawet jeśli był potężniejszy. Że Pierwszy musiał strzec nie tylko swego serca, że są rzeczy ważniejsze niż magia. Młodszy miał w sobie zbyt wiele światła, by ciemność mogła po niego sięgnąć.

– Zbyt dobrze poznałam cienie, by zdołały mnie pochłonąć – powiedziała cicho Sara.

– Różnie wybierano Pierwszych – przyznał Smok. – Liczyło się to, by strzegli drzwi, które niegdyś zamknięto, i aby to, co przychodzi wraz z nocą, nie budziło w nich lęku. Lecz nie zawsze można znaleźć takich jak młodszy z braci, jak Kalina, jak ty. Przez lata zaczęto zapominać, jakie jest ich prawdziwe zadanie. Z czym naprawdę mają się mierzyć.

Nie z polityką, pomyślała czarownica, odczuwając nagły przypływ irytacji. Pierwszych z czasem zaczęto utożsamiać z prywatnymi magami i czarodziejkami Jego Królewskiej Mości. Stali się... oficjalni. Kazano im używać magii na królewskie życzenie, dbać o porządek w mieście, pełnić funkcje reprezentacyjne, rzucać błahe zaklęcia, bawić się w dyplomację. Nie tak powinno to wyglądać. Mieli przecież pozostawać w cieniu. Strzec. Zabijać to, co przychodziło wraz z nocą. Zamykać wszystkie drzwi, przez które mogłyby spróbować przejść ci, których niegdyś odrzucono. I dlatego Sara odmówiła Krystianowi, który widział w Pierwszym kogoś innego. Być może Kalina była ostatnią, która jeszcze to pamiętała.

– Dlatego miasto, w którym kiedyś spętano tak wiele mocy, otrzymało innych strażników. Wiedzano, że przyjdą tacy, jak Jeremiasz, niezdolni do pełnienia służby. I tak za swą zbrodnię, za pozbawienie grodu tego, który miał go ochraniać, starszego brata skazano na wieczną straż. W pewnym sensie dostał to, czego pragnął. Nas,

powiązanych z magią, najłatwiej usidlić, spełniając nasze życzenia.

– Nóż znikł. Kamień skradziono – wyszeptała Sara. – A... Księżycowe Zwierciadło...

...stwór unosi łapę do ciosu. On nie chciał go ukraść. Chciał je zniszczyć.

– Tak – przyznał Smok. – Ono również utrzymuje ich wszystkich z dala.

– Jest przecież złe – zaprotestowała czarownica. – Mami. Odbiera zmysły. Poza tym nie jest aż tak stare!

– Nie jest ani dobre, ani złe, a strażnicy dawniej nie byli potrzebni. Zmieniali się przez lata. Twardowski postawił lustro na straży. Tak jak strzegłem Krakowa ja, a także dusza maga, kamień i moc dawno zburzonej świątyni. Nie mówiłbym ci o tym, Saro Weroniko Sokolska, lecz te bariery znikają jedna po drugiej. I jeśli szybko tego nie powstrzymasz, miasto będzie zgubione.

Zwykle wezwania zdarzały się raz, góra dwa razy w tygodniu i najczęściej chodziło o drobne problemy. Tej nocy jednak było ich już pięć, skutkiem czego o piątej nad ranem drużyna Wolfiego wbrew regulaminowi i zasadom BHP musiała wyjść na swoją drugą akcję, choć ledwo zdążyli wrócić z pierwszej.

– Jesteście najlepsi – stwierdził krótko szef jednostki, kiedy Wolfi uświadomił go, że całą noc byli na nogach, Pszczoła leci na rezerwach mocy, a byle jak połatana ręka Marka może odmówić posłuszeństwa w każdej chwili. – Oddział drugi pozbywa się zombie z cmentarza na Rakowicach, Stas z trójki wylądował w szpitalu, Tomek wciąż nie odzyskał przytomności, piątkę musiałem posłać do pomocy przy pożarze. Kogo innego mam wysłać?

Czy to cholerny koniec świata? – zastanawiał się Wolfi, kiedy dojeżdżali do placu budowy, przy którym dwie strzygi zaatakowały przechodniów. Jednostka specjalna przez znakomitą większość czasu zajmowała się nadzorowaniem poczynań magicznej menażerii i zgarnianiem osób nadużywających swoich talentów. Rzadko musieli likwidować niebezpieczne stworzenia – czasem nawinął się dokuczliwy poltergeist albo pomniejszy demon, uwolniony przez zbyt ambitnego maga. Od kilkunastu dni jednak w Krakowie działy się złe rzeczy.

Topielice, żywiołaki, zombie, a nawet jeden zmiennokształtny demon. Dwa dni wcześniej grupa Stasa wykończyła istotę, której wciąż nie potrafili zidentyfikować. Wszyscy pracownicy jednostki chodzili podenerwowani, przemęczeni i nafaszerowani taką ilością mikstur wzmacniających, że groziło im przedawkowanie. Nawet podwładni Wolfiego zaczęli odczuwać zniechęcenie. Marek, zawsze ponury i milczący, w ogóle przestał się odzywać. Pszczoła znosiła to całe zamieszanie najgorzej: czarownica nie była wojowniczką z krwi i kości, miała zajmować się przede wszystkim ochroną tyłów i wykrywaniem zakłęb. Nie była przygotowana do walki w pierwszym szeregu. Tak naprawdę w jednostce zawsze brakowało wykwalifikowanych czarodziejów. Tych kilkunastu naprawdę potężnych nie marnowałyoby w ten sposób swoich talentów. Ci, którzy niewiele im ustępowali, bez problemów znajdowali bardziej intratne stanowiska. Oddziały specjalne mogły liczyć co najwyżej na pomoc tych, których szef uparcie nazywał posiadającymi trzeci stopień mocy. Pszczoła prawie się na ten trzeci stopień łapała. Prawie.

– Nie rozdzielamy się – przypomniał Wolfi, kiedy wyskoczyli z auta. Pszczoła, Chudy, prawdziwy wirtuoz strzelectwa, niepozorny Marek, którego talent do władania ogniem nie był może potężny, ale bardzo przydatny. Wreszcie zastępca Wolfiego, Jacek, marny wróżbita, potrafiący spojrzeć w przyszłość na trzy minuty do przodu. Nieważne jednak, co brać magiczna myślała o tak mizernych mocach, w tej robocie te trzy minuty potrafiły uratować wszystkim tyłki. – Nie ryzykujemy bez potrzeby. Chudy, mówię do ciebie.

Chudy uśmiechnął się promiennie i wyciągnął z kabury pistolet. Przynajmniej nie rzucił żadnego głupiego dowcipu, jak to miał w zwyczaju – może dlatego, że Pszczoła godzinę wcześniej zapowiedziała, że po kolejnym zamieni go w żabę. Prawdopodobnie przekraczało to jej umiejętności, ale była w takim stanie, że woleli jej nie denerwować.

– Czujesz coś? – spytał Wolfi, kiedy stanęli przed nieukończoną konstrukcją. To miał być biurowiec, wysoki, okazały, przeszklony, a każdy dzień przerwy w budowie wprawilby bardzo bogatych ludzi w irytację. Jeśli zaś faktycznie schroniły się w nim strzygi, wpuszczenie z powrotem budowlańców nie wchodziło w grę.

– Tak – mruknęła Pszczoła po chwili namysłu. – Siedzą tam.

Objęła się ramionami, jakby było jej zimno. Wolfi wiedział jednak, że

powodował nią strach, nie chłód. Szara konstrukcja nie sprawiała przyjemnego wrażenia nawet za dnia. Teraz, gdy na niebie błyszczał księżyc, miejsce wyglądało jak rodem z koszmarów.

– Jacek i ja przodem, Marek osłania Pszczołą, Chudy osłania tyły.

Kobieta przysunęła się do Marka. Wolfi z trudem powstrzymał gniewne słowa, cisnące mu się na usta. Pszczoła była im potrzebna, wiele razy wyciągała ich z tarapatów i nie powinien wściekać się na nią o brak odwagi. Czarownica, Jacek i Marek włączyli latarki. Chudy i Wolfi musieli mieć wolne ręce. Strzygi nie kwapiły się do zademonstrowania swojej obecności – posiadały jednak instynkt drapieżcy i mogły czekać, aż zdobycz znajdzie się w potrzasku. Wolfi miał nadzieję, że Pszczoła i Jacek wyczują maskarę, zanim ta wyskoczy na nich gdzieś z ukrycia.

Jacek nie zdążył wystrzelić, ubiegł go Chudy. Padły dwa strzały, strzyga przeraźliwie wrzasnęła i upadła. Była naga, mała, niewiele większa od dziesięcioletniego dziecka, włosy miała ciemne, brudne i poplątane, a jej skóra przypominała pergamin.

– Martwa – oznajmiła Pszczoła, odwracając wzrok. Chudy wpakował kule w serce i pomiędzy oczy.

Coś wystrzeliło z ciemności prosto na Pszczołą. Tym razem Jacek nie wyczuł niczego. Wolfi również skoczył, unosząc miecz do ciosu, i omal nie wpadł w ogień, przyzwany przez Marka. Włosy strzygi zapłonęły, a Wolfi zamachnął się, ścinając poczwarcze głowę. Pszczoła, która wylądowała na ziemi, krzyknęła, kiedy płonąca głowa z wyszczerzonymi, ostrymi jak igielki zębami potoczyła się w jej stronę. Czarownica odczołgała się pod ścianę.

– Sprawdźmy inne pomieszczenia – zarządził Wolfi, z obrzydzeniem spoglądając na gęstą, czarną krew, która poplamiała ostrze. – Może ich być więcej.

Rozległ się trzask, zgasło jedno światło. Wolfi odwrócił się gwałtownie, a Chudy uniósł pistolet, ale okazało się, że to tylko Jacek upuścił swoją latarkę. Stał teraz wyprostowany. Marek skierował na niego strumień światła i Wolfi od razu zorientował się, że coś jest nie tak – twarz jego zastępcy była wykrzywiona strachem.

– Co jest?

– Spieprzamy! – wrzasnął Jacek. Nikt nie zadawał dalszych pytań. Chudy wystartował pierwszy, Jacek pomknął za nim. Wolfi również

rzucił się ku wyjściu, zaraz jednak się zatrzymał, szukając wzrokiem Pszczoły. Czarownica wciąż siedziała pod ścianą, nawet nie próbując się podnieść.

– Wstawaj, idiotko! – wrzasnął zniecierpliwiony Wolfi. Pszczoła spojrzała na niego i wzdrygnęła się. Marek dopadł do niej i, nie siląc się na delikatność, złapał czarownicę za ramię, postawił ją na nogi i popchnął ku Wolfiemu. Pszczoła zatoczyła się – i było za późno.

Trzy strzygi zeskoczyły gdzieś z góry, lądując między Wolfim a Pszczołą. Tym razem wiedźma nie straciła głowy, machnęła ręką i jedna z nich przeleciała przez całe pomieszczenie. Drugi potwór zdołał jednak zaatakować. Kobieta krzyknęła, gdy szpony przeorały jej twarz. Wolfi przebił mieczem trzecią strzygę, zaś Marek cisnął ogniem w dwa kolejne stwory, które spadły z wyższego piętra. Jacek zawrócił, chwycił pojękującą, zakrwawioną Pszczołę i zaczął ciągnąć ją do wyjścia. Kolejne potwory padały od kul, jednak w ich miejscu natychmiast pojawiały się nowe.

Pazury rozharatały ramię Wolfiego, ostre kły wbiły się mu w rękę. Wokół Marka szalały płomienie, choć musiał być u kresu wytrzymałości. Jacek zdążył wywlec Pszczołę na zewnątrz, a potem stanął w wejściu i również zaczął strzelać. Wolfi i Marek zdołali wreszcie do nich dołączyć i już zdawało się, że wyjdą z tego cało, kiedy jedna ze strzyg wylądowała tuż za Chudym. Wolfi rzucił się naprzód, chociaż wiedział, że nie zdąży.

Zabrakło mu ułamka sekundy.

– Każę zamknąć cię w lochu.

– Będę zachwycona – zapewniła Sara, zakładając skórzane rękawiczki bez palców. Zadrapania na dłoniach i twarzy zdążyły zniknąć, a noga odzyskała sprawność na tyle, by umożliwić normalne chodzenie. Julian krążył po komnacie i zachodziła obawa, że za chwilę wydepcze dziurę w podłodze.

– Posyłałem po ciebie trzy razy – warknął, z trudem panując nad gniewem. – Trzy razy. Jestem królem. Król nie fatyguje się osobiście do poddanych, kiedy chce ich widzieć.

– Nie bądź snobem – skarciła go czarownica. Julian odwrócił się do niej, otworzył usta, ale zamknął je, nim zdołał coś powiedzieć. Sara

wrzuciła do kieszeni zapalniczkę pokrytą runami, do paska przymocowała sztylet, następnie zaś, ku królewskiej zgrozie, do ud przypięła kilka noży. Oczy Juliana stały się jeszcze większe, kiedy kolejny nóż został ukryty w bucie. To jednak nie był koniec.

– Zaraz, czy to szabla?

– Brawo za spostrzegawczość – pochwaliła. – Brałeś lekcje posługiwania się szablą przez sześć lat i już jesteś w stanie ją rozpoznać. Jestem z ciebie dumna.

Julian zacisnął zęby. Sara była w szczególnie zgryźliwym nastroju. W takich momentach wołał dla świętego spokoju machnąć ręką i wrócić do rozmowy w bardziej sprzyjających okolicznościach. Dziś jednak sytuacja przedstawiała się inaczej, a on, do cholery, był królem.

– Czyżbyś nie była pewna swojej magii, Saniko?

– Nie można polegać tylko na magii – westchnęła i tym razem w jej głosie zabrzmiało zmęczenie. – Bywa zdrażliwa.

– Wiem. Nie jestem ignorantem – burknął, a czarownica w odpowiedzi obdarzyła go krzywym uśmiechem. Julian chrząknął, zakłopotany. Miał dwanaście lat, kiedy Kalina Krukowiecka po raz pierwszy zostawiła go pod opieką Sary, a ta, niezbyt chętnie, ale za to skutecznie, zaczęła wtłaczać mu do głowy wiedzę o magii. Uświadomiła mu, że istnieje podział na magów, posiadających talenty w jednej, wąskiej dziedzinie, jak na przykład iluzja, czarodziei, którzy używali słów i gestów oraz byli najbardziej wszechstronni, a wreszcie czarowników, posiadających dziką moc, łatwo wyrrywającą się spod kontroli. Julian nie był ignorantem, ale swoją wiedzę na temat magii zawdzięczał właśnie jej².

– Mamy problem.

– Tylko jeden? – zdziwiła się.

– Mamy cholernie dużo problemów – ustąpił. – Ale jeden jest ważniejszy niż inne. Na placu budowy wieżowca strzygi uwiły sobie gniazdo. Może ich być ze sto. W nocy zginął tam członek jednostki specjalnej.

– Rodzina dostanie odszkodowanie – stwierdziła Sara beztrąsko. – Ryzyko jest wpisane w tę pracę. Chyba nie oczekujesz, że pójdę na pogrzeb?

– Chcę, żebyś zajęła się tymi strzygami! W tej chwili oddziały specjalne mają tylko dwudziestu pięciu pracowników, mogących brać

udział w bezpośredniej akcji. Nie dadzą rady. Nie bez strat, na które nie możemy sobie teraz pozwolić.

– Wyślij Remigiusza i Pawła albo swoich gwardzistów.

– Mam zamiar posłać tych dwóch, ale sama zawsze powtarzasz, że do niczego się nie nadają.

– Na mięso armatnie nadają się świetnie.

– Dość żartów – warknął Julian. Ostatnio problemy mnożyły się niczym króliki, a humory nadwornej czarownicy z każdym dniem coraz bardziej irytowały króla.

– Wyglądam, jakbym żartowała?

Musiał niechętnie przyznać, że nie. Raczej jakby szykowała się na wojnę lub przynajmniej pojedynkę. Cokolwiek jednak planowała, na pewno nie było to ważniejsze niż stado strzyg, biegających nocą po mieście.

– Akcja zaczyna się za dwie godziny. Musisz tam być – zarządził kategorycznie.

– Będę zajęta.

– Nie będziesz – zaprotestował król tak ostrym tonem, że Sara zerknęła na niego ze zdziwieniem. Mimowolnie wspomniał drwiący uśmiech Lidii i mało przyjemną wizytę reprezentantów Łoży, wypytujących o stan zdrowia Smoka Wawelskiego. Julian musiał wielokrotnie bronić swojej Pierwszej, czarownica zaś zdawała się mieć w poważaniu wszystkie jego rozkazy. – Zajmiesz się tym, Saro Sokolska, albo jeszcze dziś dostaniesz wypowiedzenie, a ja poślę do Łoży prośbę o wskazanie kandydatów na nowego Pierwszego lub Pierwszą.

Czarownica szerzej otworzyła oczy. Julian nie czekał na odpowiedź, szybko wyszedł z komnaty. Sara jeszcze przez moment wpatrywała się w drzwi, zanim powoli podeszła do okna, by spojrzeć na bezchmurne niebo. Słowa króla wstrząsnęły nią bardziej, niż byłaby skłonna przyznać nawet sama przed sobą. A to, że poczuła się zdradzona, rozżłościło czarownicę jeszcze bardziej niż groźba zwolnienia. Może tak właśnie będzie najlepiej? Znow mogłaby troszczyć się wyłącznie o siebie, iść tam, gdzie oczy poniosą. Chrzanić Juliana. Niech sam sobie radzi z następną klątwą.

Z drugiej strony... kiedy Sara wyobraziła sobie, jak Łoża zareaguje na prośbę o listę kandydatów na rezydentów Wawelu, poczuła, że robi się

jej niedobrze. Nie potrafiłaby spojrzeć w oczy Białej Czarodziejce, Chmielewskiemu i całej reszcie tych nadętych bufonów. Musiałaby natychmiast wynieść się z Polanii gdzieś bardzo, bardzo daleko, gdzie nikt o niej nie słyszał. I zmienić imię oraz nazwisko. Myśl o upokorzeniu, jakiego by doznała, gdyby została zwolniona ze stanowiska, była niezbyt przyjemna. Inne skutki uboczne, jak utrata wygód i szans na irytowanie ważnych ludzi, miały mniejsze znaczenie.

Zrobić to, o co prosił Smok Wawelski, czy to, czego żądał Julian? A może po prostu odejść?

– Sorry, Smoku – mruknęła Sara. – Nie dam Lidii tej satysfakcji.

Odmówili pomocy.

Bardzo grzecznie, oczywiście. Profesorowie z Wydziału Magicznego wierzą, że jednostka specjalna zatrudnia wielu utalentowanych pracowników, którzy sami podolają zadaniu. Nie sądzą, by oni również byli potrzebni. Odpowiadają za bezpieczeństwo studentów i nie mogą w żaden sposób ich narażać. Przypominają, że obrona miasta nie jest ich rolą. Ich rolą pozostaje nauczanie. Gdyby natomiast pracownicy jednostki specjalnej życzyli sobie uczestnictwa w jakichś kursach dokształcających...

Odmówili pomocy.

Tylko dlaczego? Cholerni tchórze, powtarzał raz za razem Jacek, a Marek zaciskał zęby ze złości. Ale ile odwagi wymaga utkanie paru zaklęć, kiedy stoi się bezpiecznie poza budynkiem, w świetle słońca? Wolfiemu nie chciało się wierzyć, że wszyscy są zbyt przestraszeni, aby udzielić pomocy. Poza tym przedstawiciele magicznych profesji zawsze starannie dbali o swój publiczny wizerunek, a uczestnictwo w takiej akcji mogło uciszyć dyskusje, które odbywały się po ostatniej, mrocznej paradzie. Dlaczego więc prośba oddziału specjalnego została odrzucona?

Mag i czarodziej przysłani przez króla nie stanowili dla Wolfiego wielkiej pociechy. Wedle słów Stasa, mag był niezły, znacznie silniejszy od Marka, ale nie wyglądał na kogoś, kto nadaje się do walki. Drugi, chociaż prezentował się lepiej, ponoć nie posiadał jakichś szczególnie widowiskowych umiejętności (teoretyk, burknął Stas lekceważąco). I to wszystko. Całe posiłki, jakby cholerny budynek, pełen cholernych

strzyg, stanowił problem wyłącznie jednostki specjalnej, nie całego cholernego miasta. Zostali sami – jak zwykle.

Wolfi zacisnął zęby, wpatrując się w niedokończoną konstrukcję. Przed oczyma wciąż miał ten sam obraz: szponiasta łapa, rozrywająca gardło Chudego i kolejna strzyga, rzucająca się na jego ciało. Miecz przecina ciało potwora, kula ognia sięga celu, ale Chudy już leży na betonowej podłodze, a gdzieś z tyłu słychać krzyk. Za późno. Za późno o ułamek sekundy.

Jesteście najlepsi. Dacie radę.

I nie ma specja od broni, nie ma wiedźmy, która leży w szpitalu potwornie zniekształconą twarzą, bo na pazurach strzygi było coś, co spowodowało zakażenie. Marek odwiedził Pszczolę tuż przed wyjściem na akcję, ale Wolfi się na to nie zdobył. To jej strach, jej głupota, jej zbyt wolna reakcja sprawiły, że nie zdołali uciec. Nie przyjąłby wiedźmy z otwartymi ramionami, nawet jeśli mogłaby i chciała wrócić. A wątpił, czy będzie chciała.

– Wchodzimy – powiedział krótko dowódca i wkroczył pierwszy, motywując podwładnych. Może czuł się winny, że uległ naciskom i wysłał zmęczony oddział na akcję bez sprawdzenia terenu. I słusznie, cholera jasna, pomyślał Wolfi, zaciskając palce na rękojeści miecza. Niepokój, który go prześladował, łączył się nie tylko ze śmiercią Chudego. Członkowie jednostki nie przywykli do działania w tak dużej grupie ani do walki w ograniczonej przestrzeni. Każdy oddział składał się z pięciu, sześciu osób o bardzo różnych uzdolnieniach. Wypracowywali własne metody działania i posyłano ich do odmiennych zleceń. Istniały procedury na takie okoliczności, ćwiczyli, wiedzieli, jak się podzielić, znali swoje role, ale nie do tego byli przeszkoleni, nie do tego stworzeni.

Wchodzimy.

Ilu wyjdzie?, zastanowił się jeszcze Wolfi, a potem nie było już czasu na przemyślenia, serce waliło w piersi, adrenalina tętniła w żyłach, świat ograniczył się do jednego budynku. Nie trwało to długo: później dowiedział się, że nie minęło nawet pięć minut. Nie zapamiętał wiele. Zdawało mu się, że nagle gdzieś w pobliżu wybuchła bomba – ogłuszony wylądował pod ścianą, a kiedy odzyskał świadomość, w budynku szalał huragan. Ludzie umykali do wyjścia, strzygi wirowały w powietrzu, gdzieś z hukiem spadł kawał betonu. Przy boku

ogłuszonego Wolfiego znaleźli się Stas i Jacek, pomogli mu wstać i wyciągnęli na zewnątrz. Jakaś strzyga uderzyła o ścianę, upadła tuż koło nich, w nienaturalnej pozycji, poskręcana. Z tyłu dobiegały źle wróżące dźwięki, świadczące o tym, że nieważne, jak bardzo budowlańcy przykładali się do pracy, bo konstrukcja i tak może lada moment się zawalić.

– Co to było?!

– Pewnie Pierwsza – parsknął Stas, padając na ziemię. Ciężko dyszał, miał rozcięte ramię i posiniaczoną twarz. Wokół biegali ludzie, sanitariusze udzielali pierwszej pomocy rannym. – Cholera jedna, mogła pojawić się wcześniej, to byśmy się tam nie pchali. Ale nie, małpa musi mieć swoje wielkie wejście. Zresztą, równie dobrze mogliśmy od razu wywalić to wszystko w powietrze...

– Sama? – zdumiał się Wolfi, spoglądając na budynek. Mógłby przysiąc, że szaleje tam teraz stado słońi.

– Najwyższa półka mocy, bracie – westchnął Stas, obmacując sobie twarz, jakby chciał się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu. – Ale oberwałem. I to od niej, psiakrew, strzygi prawie mnie nie ruszyły. Musi być wkurzona jak jasny szlag. Normalnie pewnie nie dałaby rady.

– Co?

– Matko, ależ z ciebie ignorant. Jest cholerną czarownicą. Przecież służyłeś z Pszczolą, nie? Moc czarodziei jest stała i... no, subtelna, wszechstronna. Mają zaklęcia od wszystkiego. Z wiedźmami i czarownicami jest inaczej. Nie idzie im z iluzją, zaklinaniem przedmiotów i tak dalej. U nich to jest dzikie, zwłaszcza że są mocno związani z magią żywiołów. I skokowe. Jak się taka wścieknie albo przestraszy...

Wolfi przypomniał sobie Pszczolę, ciskającą mocą w strzygę. Wcześniej nie widział, żeby użyła tak silnej magii. Przerazenie musiało dodać jej sił.

– Ta musi być strasznie przestraszona – mruknął, kiedy za nimi rozległ się kolejny huk.

– Raczej cholernie wściekła – sprostował Stas. – Czuję to. Nie panuje nad sobą, wszystko wymyka jej się spod kontroli. Zaraz tu kamień na kamieniu nie zostanie. Sugeruję żebyśmy... Jacek? Co ci?

Wolfi dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że Jacek nie uczestniczy w rozmowie. Stał, wpatrując się w niebo, sztywno wyprostowany, z

mocno zaciśniętymi pięściami. W jego postawie widać było napięcie.

– Jacek? – spytał niepewnie.

– Patrzcie. Po prostu patrzcie.

Wolfi zadarł więc głowę i patrzył. Z początku nie rozumiał, co Jacek ma na myśli, na co czeka. A potem błękitne, jasne niebo zaczęło szybko ciemnieć. Chmury napływały gęstą masą, błyskawicznie przysłaniając słońce, po chwili już zakryły niebo aż po horyzont. Zrobiło się ciemno i nieprzyjemnie.

– Pogoda się zepsuła?

– Wolfi – syknął zaniepokojony Stas. – Serio, nie widzisz nic dziwnego w tych chmurach? Gdzie wiatr? I dlaczego napływały z kilku stron? Co tu się dzieje, do cholery?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Pochłonięci obserwacją nieba, nie zauważyli, że zamieszanie w budynku dobiegło końca. Młoda kobieta opadła ciężko na ziemię tuż obok Stasa. Była drobna, bardzo blada i wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć. Wolfi widział ją niedawno w powtórce relacji z wydarzeń na Floriańskiej i gdyby nie ciskała mocą na prawo i lewo, nie uznałby jej za groźną. Z bliska wydawała się jeszcze młodsza, bardziej krucha i... zmęczona. Pod oczami miała sińce.

– Chcę – odpowiedział za Stasa. Pierwsza Polanii nie spojrzała na niego, położyła się na zimnym, betonowym podłożu, patrząc w niebo.

– Miasto przepadło. A ja mogłam to powstrzymać, ale ktoś uznał, że moim pieprzonym obowiązkiem jest ratowanie wam tyłków. I teraz nie mam już niczego, co mogłabym rzucić przeciwko temu. Już za późno. Spieprzajcie stąd. Jak najdalej. I jak najszybciej.

– Co masz na myśli? – warknął Wolfi, ale czarownica milczała. Drgnął i mrugnął kilka razy, bo jej obraz rozmył mu się na chwilę przed oczyma. Przez chwilę miał wrażenie, że patrzy na kogoś zupełnie innego – ale nie, to wciąż była ta sama dziewczyna, ciemnowłosa, blada jak sama śmierć, z ustami pokąsanymi do krwi, z fioletowymi, podkrążonymi oczami.

– Co...

– Zostaw. – Jacek szturchnął go w ramię, pokręcił głową. – Zostaw.

Czarownica w końcu wstała, powoli, niezgrabnie. Odgoniła sanitariusza, który chciał jej pomóc i ruszyła przed siebie, chociaż szła tak, jakby w każdej chwili mogła upaść. Mimo że było dość ciepło,

Wolfi poczuł, że przeszywa go zimny dreszcz.

Nie wróciła na zamek ani nie popędziła tam, gdzie niegdyś znajdowało się źródło mocy, później świątynia, wreszcie zaś jedna z barier chroniących miasto. To już nie miało sensu. Wsiadła do pierwszego z brzegu tramwaju i zajęła miejsce, nie zważając na pełne oburzenia sapnięcie kobiety, która ledwo przekroczyła pięćdziesiątkę i z pewnością miała obecnie więcej siły. Sara oparła czoło o chłodną szybę, przymknęła oczy i nie poruszyła się przez następne dwanaście przystanków, dopóki mechaniczny głos nie oznajmił końca trasy. Dopiero wtedy wyskoczyła na popękany chodnik, wciąż zmęczona i zamroczona.

– Masz parasolkę? Zaraz pewnie zacznie lać – mruknęła jakaś wysiadająca dziewczyna do swojej koleżanki. Nie, nie zacznie, mogłaby jej odpowiedzieć czarownica. Deszcz więcej nie spadnie nad Krakowem. Nie będzie ani deszczu, ani śniegu, ani wiatru, ani słońca, nie będzie światła gwiazd ani księżyca, tylko chmury spowijające niebo. A kiedy nadejdzie noc...

Spadajcie stąd. Jak najdalej. I jak najszybciej.

Ona też powinna to zrobić. Spakować plecak i ruszyć przed siebie, gdzie oczy poniosą. Przywykła do wygod, pieniędzy, smacznego jedzenia i wygodnego łóżka, ale tak naprawdę nie potrzebowała tego wszystkiego.

Przecież próbowała. Nikt nie mógł powiedzieć, że się nie starała. Ale teraz nie było noża ani kamienia, smok wciąż walczył ze skutkami trucizny, źródło mocy zniszczono, a ocalałe lustro nie wystarczało. Sara nie miała ochoty ryzykować życia w walce z mrokiem i mężczyzną o białych włosach.

Pora pożegnać się z tym miastem. Pora odejść.

Ta myśl nieoczekiwanie wywołała ból. Nie chciała ruszać w nieznanie i nie chodziło tylko o dumę czarownicy, o niechęć do uciezek, o przywiązanie do wygod. To było coś więcej, coś, co nakazywało ludziom odbudowywać domy po kolejnych powodziach, pozostawać w miasteczkach, w których nie było pracy, powracać tam, gdzie pozostały tylko ruiny. To zabawne, jak mocno wrosło w nią to miasto, jak głęboko zapuściła w nim korzenie. Wystarczyło zamknąć oczy, żeby

przywołać obraz mapy, rozdzielonej błękitną linią Vistuli, plataniny ulic, placów, parków, mostów. Zawsze wiedziała, do którego tramwaju wsiąść, w jaką uliczkę skręcić. Lubiła swoje małe, przytulne mieszkanie. Miała swoją ławkę w Parku Jordana i ulubione drzewo na Plantach, kawiarnię na Brackiej, do której chodziła, gdy padał deszcz, by pić mocną kawę i oblizywać palce z kremu po napoleonce. Obsługa już ją rozpoznawała. Kupowała chrupiące zapiekanki w ulubionej budce, a jeśli wpadła w dobry humor, wrzucała drobne do miseczki ulicznego grajka, od dziesięciu lat wygrywającego te same melodie pod tym samym murem.

Kraków stał się miastem Sary. Nie pokochała go, bo nie kochała nikogo ani niczego, po prostu pewnego ranka obudziła się i odkryła, że stał się jej częścią, że umie żyć zgodnie z jego rytmem, umie tańczyć do melodii, w której skrzypienie schodów w kamienicach, szum wind w nowoczesnych, przeszklonych wieżowcach, hejnał mariacki i ryk tramwajów sunących po szynach wyznaczały takt.

Przestała być obca, a wspomnienia innych miejsc – domku w lesie, sennej, nadmorskiej miejscowości, ożywającej wyłącznie latem, ośnieżonych szczytów i jasnych, strzelistych wież – zacierały się w pamięci. Do tej pory nie sądziła jednak, że te wieży są tak mocne. Teraz zaś całą sobą czuła, że coś jest nie tak – nie potrzebowała do tego nawet gęstych chmur nad głową. Mrowienie pod skórą, uczucie, jakby ktoś szedł tuż za jej plecami, fałszywa nuta w niesłyszalnej melodii, nieuchwytna zmiana w atmosferze. Gdy próbowała sięgnąć ku aurze miasta, nieprzyjemne doznania atakowały jej zmysły. Czuła metaliczny posmak na języku, szum w uszach, chłód i zapach siarki. Serce Sary gubiło właściwy rytm, jakby znajdowała się w niebezpieczeństwie, choć przecież szła ulicą w spokojne, czerwcowe popołudnie. Gdzieś czaiła się jednak groza, gotowa ranić.

Moje miasto, pomyślała oszołomiona Sara, podpierając się o szorstką ścianę budynku, wyczuwając pod palcami znacznie więcej niż tylko nierówności i rysy. Woda w pęknięciu chodnika, pozostałość po porannym deszczu, odbiła skurczoną twarz czarownicy. Starsza pani z jamnikiem na smyczy obeszła ją szerokim łukiem, ona jednak nawet tego nie zauważyła. Wpatrywała się w swoje zamazane odbicie, powoli uświadamiając sobie, jak wielki błąd popełniła. Sądziła, że jest wolna, bezpieczna, strzeżona przed tymi, którzy potrafią wykorzystać ludzkie

pragnienia, obrócić je w nieszczęście. Więzy oplotły ją powoli, niezauważalnie, trzymając na miejscu, nie pozwalając ruszyć dalej, jak robiła po wielokroć.

Nie będzie złocistych zapiekaneek z podwójną warstwą sera, smutnej piosenki wygrywanej na fujarce, czarnej, gorzkiej kawy, podawanej w fioletowych filizankach, ani drzewa, na którego pniu ktoś dawno temu wyrzył inicjały w serduszkach. Są inne miasta, powiedziała sobie Sara, przywierając do ściany plecami, przymykając oczy. Wszędzie mogę kupić zapiekankę, wszędzie są drzewa.

Lecz bułka nie byłaby tak chrupiąca, kawa miałaby inny smak, a nikt poza Julianem i Smokiem Wawelskim nie nazywał jej Saniką. Było jednak również coś więcej, coś, co ją pętało, wcześniej nie do końca uświadomione, silniejsze niż zwykłe przywiązanie. Jej magia dopasowała się do aury miasta, płynęła w rytm jego pulsu. Przysięga Pierwszej wiązała znacznie mocniej, niż Sara podejrzewała, gdy ją złożyła. Czy jeśli odejdzie, to wszystko po prostu minie? Czy wciąż będzie czuć, że dzieje się coś niewłaściwego?

Długie godziny krążyła po mieście, nieświadoma upływu czasu. Szła nierównymi chodnikami wzdłuż ruchliwych ulic, skręcała w osiedlowe zaułki, w gąszcze drzew i krzewów na niezabudowanych fragmentach Krakowa, mijała dobrze znane budynki. Przebyła most obwieszony kłódkami, symbolami wiecznej miłości. Zastanowiła się mimowolnie, jak wiele par, które je tu zawiesiły, rozstało się od tego czasu. Wieczna miłość jest wieczna tylko z nazwy.

Wreszcie opadła na chodnik i oparła o mur pokryty grafitti, zbyt zmęczona, by iść dalej. Stare wyznania miłosne i obelgi pod adresem konkurencyjnych klubów piłkarskich znikły pod ogromnym napisem wykonanym fosforyzującą farbą. Niech żyje Król. Latarnie rozbłysły już dawno, w wielu oknach zapłonęły światła: noc dopiero nadchodziła, lecz mrok spowijał miasto, z każdą minutą stawał się gęściejszy. Cienie przy zamurowanej bramie poruszyły się, zmieniły kształt, a do Sary podeszła postać szczelnie owinięta ciemnymi, zniszczonymi ubraniami.

– Nie powinnaś tu być – powiedziała Wiele Pieśni. – Nie jesteś już bezpieczna po zmroku.

Czarownica zadarła głowę. Chusta i szalik ukrywały twarz Wiele Pieśni, widać było tylko przekrwione oczy, z których niczego nie dało

się odczytać.

– Czego chcesz? – spytała cicho. – Czego ode mnie chcesz, pieśniarko?

Sara niewiele wiedziała o tej dziwnej kobiecie, kryjącej się przed światłem. Zawsze traktowała Wiele Pieśni jako jeszcze jeden element aury miasta, cień mocy, któremu nie należy ufać, ale którego nie da się zwalczyć do końca. Nieszkodliwą. Mało ważną. A jednak ona wiedziała, że zostanie skradziony klejnot, że ktoś spróbuje odwrócić uwagę Pierwszej Czarownicy. I wiedziała wiele, stanowczo zbyt wiele o samej Sarze.

Wiele Pieśni długo milczała. Bardzo długo.

– Chcę, byś zachowała swe serce – odparła w końcu.

– Nikt go nie sięgnie – wysyczała Sara, magia zawrzała jej w żyłach pod wpływem gniewu. – Potrafię sama o siebie zadbać.

– Noc śpiewa. Zamknij oczy, czarownico, posłuchaj głosu swojego miasta. To już nie twoja pieśń. Wróć na zamek, a o świcie odejdz, umykaj stąd jak najdalej.

Czarownica gwałtownie zacisnęła i rozprostowała palce, walcząc ze wściekłością. Powietrze wokół stało się ciężkie, duszne, ale Wiele Pieśni nie potrzebowała go, by oddychać. Smok Wawelski miał rację. Wiedźma zbyt łatwo okazywała słabość. Sara przymknęła oczy, uspokoiła oddech. I posłuchała. Skupiła się na nieprzyjemnych odczuciach, które wcześniej próbowała zepchnąć gdzieś na bok, pozwoliła, by bodźce, odbierane przez podstawowe zmysły, zeszyły na dalszy plan. Sięgnęła dalej, ku aurze miasta, pociemniałej, nagle kleistej, brudnej... obcej. Gniew znów zapłonął, tym razem ze zdwojoną siłą.

To moje miasto. Moje.

– Teraz ty jesteś jego celem – wyszeptała Wiele Pieśni. Sara otworzyła oczy i wstała z zamiarem wydarcia z kobiety wszystkich informacji, ale jej już nie było. Wiedźma pozostała sama w mrocznej uliczce. A ze wszystkich kątów, z każdej piwnicy, kanału, załomu muru, z każdego zaułka napływała ciemność.

Rozdział piąty

Moc potężniejsza niż moja

Julian nie mógł zasnąć. Złe przeczucia nie chciały go opuścić, a zwykle był nieskory do ufania czemuś innemu niż rozumowi. Obejrzał wieczorne wydanie wiadomości, zawierające relację z oczyszczania placu budowy. Materiał kręcono z daleka, więc postać opuszczającej budynek Sary była niewyraźna i zamazana, lecz w jej kroku, w sposobie, w jaki opadła na ziemię, dało się dostrzec zmęczenie. Później znikła. Nie wróciła na zamek i Julian zaczął zastanawiać się, czy nie potraktował jej zbyt ostro (choć zdążył już otrzymać skargę na zniszczenia, jakich narobiła). Co gorsza, pojawiły się te gęste chmury. Remigiusz z niepokojem stwierdził, że niemal na pewno są wynikiem czarów, i popędził na uniwersytet. Julian z niepokojem krążył po gabinecie, co jakiś czas odsuwając zasłony, by spojrzeć w niebo. Nie zdołał jednak dostrzec księżyca ani gwiazd. Mijały kolejne godziny, a Sanika wciąż nie wracała.

Co ta Piekielnica sobie myśli, denerwował się król. Było już około drugiej nad ranem. Znowu włóczy się po podłych klubach? Chce go ukarać za to, że pokrzyżował jej plany? Niedoczekanie. To on tutaj rządzi, nie żadne złośliwe wiedźmy.

Może coś się stało, przyszło mu do głowy o trzeciej. Nie wyglądała dobrze na tym nagraniu. Nie, do licha, Sanice? Złego diabli nie biorą. Baliby się, że przejmie władzę w piekle.

Albo, pomyślał po kolejnej godzinie przewracania się z boku na bok, rzeczywiście przesadziłem i postanowiła odejść. Ta konkluzja sprawiła, że Julianowi zrobiło się niedobrze. Nigdy na serio nie zastanawiał się nad pozbawieniem Sary stanowiska. Kalina wpoila mu przed wielu laty nieufność wobec czarodziejów i król nie miał ochoty wpuszczać na dwór kogoś takiego jak błękitnooka Lidia bądź Chmielewski-Jestem-Taki-Nieszkodliwy. Ponadto Sanika była w pobliżu, odkąd Julian

skończył dwanaście lat i nie mógł sobie wyobrazić, że nagle zniknie. A jeśli naprawdę nie wróci?

Nie, niemożliwe, uznał, wstając z łóżka. Nie zrobiłaby tego. Wróciłaby przynajmniej po swoje rzeczy, prawda? Nie odeszłaby bez słowa. W głębi duszy nie był tego jednak pewien. Czasem odnosił wrażenie, że Sanika wie o nim wszystko – podczas gdy on nie wiedział o niej nic. Nie miał pojęcia, skąd przyszła ani gdzie się udawała, ilekroć zniknęła z zamku. Próbował dowiedzieć się czegoś o jej przeszłości, ale detektyw, który wcześniej nigdy nie zawiódł, tylko bezradnie rozłożył ręce. Nie traktowała też Juliana jako swojego władcy, nawet nie jak przyjaciela. Kiedy miał dwanaście lat, przyszło mu raz do głowy, że dziwna, błada wiedźma patrzy na niego jak na szczeniaka, którego czasem można skarcić, czasem poklepać po łbie i pozwolić poganiać za sznurówkami, ale nie traktować go poważnie. Ślady takiego lekceważenia widział w jej postawie do dziś. Dlaczego więc Sara nie miałaby zniknąć równie nagle, jak się pojawiła?

O siódmej rano niewyspany władca znów siedział w swoim gabinecie, a niebo za oknem wciąż było ciemne, przysłonięte gęstą warstwą burzowych chmur. Deszcz jednak jakoś nie chciał się rozpadać, nie grzmiało, nie wiał nawet wiatr. W dodatku zdenerwowany sekretarz poinformował Juliana, że incydenty, do których doszło wieczorem, to był zaledwie początek. Akty wandalizmu zdarzały się na terenie całego miasta, w dodatku jednostka specjalna nie nadążała z reagowaniem na zgłoszenia. Trzeba będzie zwiększyć im budżet, mruczał do siebie król, przeglądając papiery. Obetnie się dotacje dla tych cholernych magów i czarodziejów, po co dawać im całą fortunę, skoro, gdy przychodzi co do czego, odmawiają pomocy?

Drzwi uchyliły się i na progu stanęła Sara. Julian nie zdołał powstrzymać westchnienia pełnego ulgi. Zaraz jednak przybrał groźną minę.

– Gdzieś ty była?

Wiedźma nie odpowiedziała, przeszła przez pomieszczenie, opadła na fotel naprzeciw króla. Dopiero gdy znalazła się tak blisko, w świetle lampki rozpraszającej półmrok chmurnego poranka, Julian zobaczył ciemne plamy na jej kraciatej koszuli – błoto i zaschniętą krew.

– Co się stało?

– Byłam w mieście – powiedziała Sara wolno, przeciągając sylaby. –

Nie lubię uciekać. Nie lubię uciekać, ale tej nocy polowano na mnie na ulicach mojego miasta. Bo zamiast zrobić to, co powinnam, bawiłam się ze strzygami. Rozumiesz, Julianie?

Podparła dłonie na biurku, jasne, pokaleczone, z brudem pod paznokciami. Na prawym policzku czarownicy odznaczał się siniak. Julian nerwowo zastukał palcami o blat.

– Wściekasz się o to, że kazałem ci pomóc oddziałom specjalnym? Na wszystkich świętych, Sanika, to twój cholerny obowiązek!

– Wyglądałeś ostatnio przez okno? – spytała Sara ostrym tonem. – Nie dziwią cię te chmury? Wiszą tylko nad Krakowem i są nieruchome. Wiesz, co działo się w mieście tej nocy? Jeśli do kostnic nie trafią dziś dziesiątki ciał, to wyłącznie dlatego, że polowali na mnie.

– O czym ty mówisz, do licha? – zdenerwował się Julian. – Kto na ciebie polował? Co tu się dzieje?

Jeden rzut oka na minę Sary wystarczył, aby Julian upewnił się, że nie uzyska odpowiedzi na żadne z tych pytań. Miał ochotę walnąć pięścią o blat, ale siniak na twarzy czarownicy rozlewał się na pół policzka, krew plamiła jej koszulę, a chmury wiszące nad miastem były nieruchome i ciemne.

– Nie powinnam była cię słuchać – powiedziała w końcu Sara. – Chciałam to powstrzymać. Nie lubię, kiedy ktoś ze mną pogrywa. Nie lubię uciekać. Miałam zamiar spróbować. Ale jestem egoistką i jeszcze bardziej nie lubię, gdy ktoś mnie upokarza, więc zrobiłam, co kazałeś.

– Mogłaś mi powiedzieć, że dzieje się coś złego – odparł, walcząc z chęcią podniesienia głosu. – Nigdy niczego nie wyjaśniasz. Nawet teraz nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje.

– Nie dałeś mi dojść do słowa. Zresztą – czy nie widziałeś, jak wyglądałam? Naprawdę trudno było domyślić się, że nie idę do klubu? Że szykuję się do walki i to takiej, w której magia czarownic może nie wystarczyć? Dokąd mogłam się wybierać, co? Na wieczorek poetycki?

Julian już chciał się odgryźć, ale przełknął cisnące się na usta gniewne słowa. Zdziwiło go, że Sara obwiesiła się bronią od stóp do głów, jednak nie zapytał, dlaczego zabiera ze sobą noże i szablę, z którą widział ją zaledwie parę razy i to lata temu, gdy sam pobierał lekcje. Jej protest przyjął jako zwykły pokaz uporczywości i lekceważenia.

– Dobrze, do cholery. Przepraszam. Przepraszam! Jesteś zadowolona? Dostaniesz to na piśmie, jeśli chcesz. Dostaniesz

podwyżkę. Tylko zrób coś... z tym wszystkim.

Sara jakby zapadła się w sobie. Opuściła ręce, odchyliła głowę do tyłu, wtulając się w oparcie, podciągnęła nogi na fotel. W tym momencie wyglądała jak bezbronna ofiara przemocy domowej.

– Kiedyś opowiadałam ci baśnie – wyszeptła w końcu, nie patrząc na Juliana. Przytaknął niepewnie, nie wiedząc, do czego zmierza czarownica. Była pierwszą i ostatnią osobą, która opowiadała mu historie. Nawet jako małe dziecko nie wysłuchiwał żadnych bajek na dobranoc. Poznał je dopiero, gdy sam nauczył się czytać, te wszystkie nieskomplikowane historyjki z tym samym zakończeniem, „Czerwonego Kapturka”, „Jasia i Małgosię”, „Śpiącą Królową”. Opowieści Saniki różniły się od nich. Fascynowały, sprawiając jednocześnie, że dwunastoletni Julian bał się zasypiać w ciemnościach.

– Dawno, dawno temu żyła wiedźma, najpotężniejsza ze wszystkich wiedźm. Rozpętywała burze ruchem dłoni, rozkazywała krukowi, w lustrach widziała przeszłość, przyszłość i teraźniejszość. Była równie piękna, jak silna, i równie silna, jak okrutna. Mężczyźni ruszali na koniec świata, byleby obdarzyła ich jednym uśmiechem, a wrogowie drżeli na dźwięk jej głosu. Lecz ona wciąż pragnęła więcej. Wypowiedziała więc imiona, które powinny być zapomniane, wezwała tych, których przekłeto po tysiackroć. A oni przybyli.

Mówiła beznamiętnym, monotonnym tonem, wpatrzona w swoje pokaleczone dłonie, podparte na kolanach. Przez jej twarz przemknął grymas, gdy powiedziała:

– Zawsze przybywają.

Julian milczał. Nie wydawało się, aby to był odpowiedni moment na snucie baśni, ale coś – może ten pozbawiony emocji głos, może postawa Sary – sprawiło, że wolał nie przerywać. Musiało chodzić o coś więcej niż tylko o baśń.

– Obdarowali ją córką. Wiedźma wychowywała dziecko z troską, bo kiedy ono rosło, rosły też jego moce. I gdy dziewczynka dorastała, gdy jej magia stawała się naprawdę potężna, ta, która nie miała sobie równych, postanowiła odebrać dziecku moc wraz z życiem. Gdyby zdołała to uczynić, nikt nie mógłby jej pokonać, cały świat należałby do niej. Nie przewidziała jednak jednego... – Sara uniosła wreszcie głowę, spojrzała wprost na Juliana. – Że czekała zbyt długo. Jej córka była już od niej znacznie potężniejsza.

Czekał jeszcze przez chwilę, pewien, że nastąpi ciąg dalszy. Sanika najwyraźniej jednak nie zamierzała kontynuować, za to na jej ustach pojawił się ironiczny uśmieszek. Króla korciło, by zapytać, co było dalej, czy córka wiedźmy pokonała swoją matkę. Ale w opowieściach Saniki nigdy nie było miejsca na szczęśliwe zakończenia i gdy Julian miał dwanaście lat, wielokrotnie żałował, że chciał je poznać, że nie pozwolił Sarze pozostawić historii niedokończonej. Ona opowiadała tylko złe baśnie.

– Co to ma wspólnego z nami?

– Nie jestem wiedźmą z baśni. Wiem, że są moce potężniejsze niż moja. I są inni, którzy przeszli tę samą drogę. Być może nie zdołam ocalić twojego miasta. Chociaż wcześniej czuł niepokój, słysząc doniesienia na temat tego, co działo się na ulicach, chociaż zdumiał się widokiem krwi na ubraniu Saniki, dopiero teraz Julian zaczął się bać. Przez głowę przeszło mu, że tym razem naprawdę może mieć powód, aby lękać się zasypiania w ciemności.

– Co się dzieje? – zapytał. – Jestem królem, do cholery! To mój kraj i moja stolica. Mam chyba prawo wiedzieć, dlaczego na ulicach pojawiły się rogate stwory. Nie traktuj mnie jak smarkacza, Saniko!

Sara skrzywiła się lekko, wyraźnie niezadowolona z pytania. Znała jednak Juliana na tyle, by wiedzieć, że tym razem nie odpuści.

– Nie opowiem ci całej historii. Sama nie wiem wszystkiego, a ty byś nie zrozumiał. Bardzo dawno temu, jeszcze zanim powstała Polania, stoczono tutaj walkę z tymi, którzy władali czymś, co możesz nazwać czarną magią, choć tak naprawdę nią nie było. Wielu spośród nich zginęło, wielu zostało odepchniętych. Świat się zmieniał, a ci, którzy przetrwali, nie nadążali za tymi zmianami. Tylko kilku zdołało się dostosować. Teraz próbują wrócić... a coś otworzyło im drzwi.

Julian wstał, zaczął krążyć po gabinecie, jak zawsze w chwilach zdenerwowania. Chyba sam nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wiele jego nawyki mówią o stanie emocjonalnym. Zmęczona Sara przymknęła oczy, zaczęła masować skronie. Głowa pękała jej z bólu.

– Co radzisz? – zapytał w końcu król. Czarownica siedziała zwrócona do niego plecami, usłyszała jednak, jak zatrzymuje się przy oknie i mogłaby przysiąc, że spoglądał na zachmurzone niebo.

– Odwołaj zajęcia na uczelniach.

– Odwołać zajęcia? A co to ma do rzeczy? Poza tym został jeszcze

miesiąc do końca roku akademickiego. O czym ty mówisz?

– O pozbyciu się z miasta dwudziestu tysięcy młodych ludzi, którzy po zmroku włóczą się ulicami – odparła Sara. – Jeśli choćby połowa wyjedzie do domów albo na wcześniejsze wakacje, to warto. Daj spokój, Julianie, sam wiesz, że połowa zajęć na uczelni do bzdury. W ten sposób przynajmniej zmniejszymy liczbę ludzi, którym grozi niebezpieczeństwo i którzy blokowałiby ulice, gdybyśmy nie zdołali opanować sytuacji i musieli ogłosić ewakuację. Najlepiej odwołać też wszystkie imprezy masowe. Niech ludzie nie wychodzą w nocy i nie przyjeżdżają tu z innych miast szukać rozrywki.

– Ewakuację?! – przeraził się król. Wcześniej nie wyobrażał sobie, że jest aż tak źle. – Żartujesz sobie ze mnie?

– Wyglądam, jakbym była w nastroju do żartów? Powinieneś też zmusić cały nieszczęsny Wydział Magiczny, żeby nam pomógł. Zaklęcia ochronne, amulety, wszystko, co tylko mogą wymyślić...

– Odmówią. Nie chcieli nawet pomóc ze strzygami – mruknął Julian, niechętnie przyznając, że nie zdołał wyegzekwować niczego od upartych akademików. – Przy czym odmówili na tyle dyplomatycznie, że nie mogłem nic zrobić.

– Czy naprawdę muszę cię uczyć polityki?! – jęknęła Sara, wstając z fotela. Teatralnie rozłożyła ręce, przewróciła oczami. – Zwołaj konferencję prasową.

– Wybuchnie panika – zaprotestował. Obawiał się publicznie ogłosić, że władze nie są w stanie obronić stolicy.

– Nie – parsknęła wiedźma, spoglądając na swojego króla z wyraźnym politowaniem. – Powiesz, że dzieją się złe rzeczy, ale wraz z dzielną jednostką specjalną podejmujesz kroki, aby zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Opowiesz o strzygach i o tym, że krakowscy przedstawiciele magicznych profesji odmówili pomocy. Jednostce udzieliła wsparcia nadworna czarownica, ale straciła zbyt wiele sił, by móc nocą chronić obywateli...

Julian zamyślił się. Oczywiście, natychmiast zaczną się protesty, ale jednostka specjalna zwróciła się z oficjalną prośbą o pomoc w sprawie strzyg i Wydział ani Loża nie mogą temu zaprzeczyć. Media zaś relacjonowały całe wydarzenie i tysiące ludzi widziało, jak z budynku wychodzi słaniająca się na nogach Sara.

– Poinformuję też, że poprosiłem przedstawicieli Wydziału wsparcie i

pomoc w obronie niewinnych mieszkańców miasta, ci jednak uznali, że nie mają na to czasu – dokończył. – A raczej powiem dziekanowi, że tak zrobię.

Zadowolona wiedźma przytaknęła. Była pewna, że jeśli Julian postawi sprawę na ostrzu noża, instrukcje, jakich Loża udzieliła dziekanowi, nagle ulegną zmianie. Dla członków magicznego światka opinia w oczach społeczeństwa miała zbyt duże znaczenie.

– A ty? Co zamierzasz zrobić?

Sara wzruszyła ramionami.

– Wezwę kawalerię.

Jedna z najstarszych kamienic przy ulicy Szczepańskiego stanowiła prywatną własność Juliana, a urządzona w niej elegancka Restauracja Królewska przynosiła niebagatelne zyski – choćby dlatego, że sam władca bywał w niej wprawdzie niezbyt często, lecz regularnie, a wielu turystów chciało ujrzeć króla na własne oczy. Sara nie miała więc problemów z dostaniem się do środka, wystarczyło okazanie odpowiedniego dokumentu, by bez dalszych dyskusji zaprowadzono ją do piwnicy.

Pierwszy i jedyny raz odwiedziła to miejsce przed niemal dziewiętnastu laty. Była ciepła, letnia noc, zbliżała się piąta rano, na zewnątrz wstawał świt. Chodnikami snuło się zaledwie kilka osób o zmęczonych twarzach i nieprzytomnych spojrzeniach. Nastoletnia Sara, ubrana w luźną bluzę, ziewała szeroko i przecierała zaspane oczy. Idąca przed nią kobieta wyglądała za to świeżo niczym skowronek i mogłaby bez żadnego makijażu czy zmiany fryzury natychmiast trafić na wybieg dowolnego pokazu mody. Odziana w długą, jasną suknię, stylizowaną na koniec dziewiętnastego wieku, z wysoko upiętymi, kasztanowymi włosami, z kremową parasolką w ręku, ściągała spojrzenia nielicznych przechodniów nie tylko z uwagi na niekonwencjonalny strój.

– Żartujesz soooobie, Kal – oznajmiła Sara, ziewając, gdy stanęły pod szyldem restauracji. – Wyciągnęłaś mnie z łóżka o tej porze, żeby uczyć manier przy stole, czy co?

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie nazywała mnie Kal? – spytała kobieta, raczej znużona niż zirytowana. – Królewska jest o tej porze

zamknięta. Ale owszem, moim życzeniem jest nauczenie cię czegoś, choć akurat nie manier. Obawiam się, że próba wpojenia ci reguł przyzwoitego zachowania byłaby z góry skazana na porażkę.

Sara zrobiła minę, jakby usłyszała komplement. Wyraz chudej buzi zaraz jednak uległ zmianie, stał się chytry, mało przyjemny.

– Dobrze wiesz, Kal, że niewielu rzeczy możesz mnie nauczyć. Nie potrzebuję mistrzyni.

– Niewykluczone – powiedziała spokojnie kobieta. Z jakiejś przemyślnie ukrytej kieszonki wydobyla duży klucz i zaczęła otwierać zamki. – Potrzebujesz jednak wiedzy o tym mieście, o jego sekretach.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, demonstrując pogardę wobec wszelkich tajemnic Krakowa. Jej towarzyszka udała, że tego nie dostrzegła. Wkroczyła do pomieszczenia, którego ściany pokryto malowidłami, przedstawiającymi Rynek Główny. Gdy przechodziły między stolikami, Sara mimowolnie rozglądała się dookoła: los rzadko zanosił ją w takie miejsca. Mieszkała w podłej dzielnicy i jadła głównie w budkach lub barach mlecznych, konsekwentnie odrzucając propozycje wprowadzenia się do samozwańczej opiekunki.

– Pod miastem ciągnie się system korytarzy – objaśniała tymczasem Kal. Przeszły na tyły restauracji, kobieta otworzyła ciężkie, stare drzwi, w jej szczupłej, opalonej dłoni rozbłysnął płomień. Sara ruszyła za nią po schodach w dół, do piwnic. – Tutaj znajduje się wejście do podziemi. Pragnęłabym, byś poznała ich rezydenta. Ta znajomość może okazać się przydatna w przyszłości, lecz pamiętaj: nigdy mu nie ufaj i strzeż się, bo...

– Nie jestem studentką – wtrąciła Sara ze zniecierpliwieniem. – Mnie nie musisz przestrzegać i jesteś głupia, jeśli tego nie wiesz, Kalino Sapieho, Pierwsza Czarodziejka Polanii!

Kalina obróciła się w miejscu, płomień wystrzelił w górę, na ścianach piwnicy zatańczyły cienie. Tym razem czarodziejka wyglądała na wściekłą. Niewielu ośmielało się obrażać jedną z najpotężniejszych adeptek magii w kraju i na świecie. Zaraz jednak zdołała opanować gniew, a gdy przemówiła, jej głos brzmiał spokojnie.

– Chyba rzeczywiście nie muszę – przyznała. Czasem łatwo było się zapomnieć, patrząc na tę wciąż dziecięcą, delikatną buzię, na poszarpane ubrania. Nie pamiętać, że to dziecko zdążyło dobrze poznać nadnaturalne byty i cenę, jaką przychodziło zapłacić za

targowanie się z nimi. Uznać ją za dziewczynkę, niewinną, niedoświadczoną i zagubioną.

Sara nie była niewinna ani niedoświadczona. Nie była też uczennicą Kaliny. Nie potrzebowała mistrzyni. Rzecz w tym, że Pierwsza Czarodziejka potrzebowała następczyni, potrzebowała kogoś, kto potrafi patrzeć w twarze starych bogów. Tak naprawdę nie pomagała małej Sokolskiej, która już urodziła się czarownicą. Nie działała wiedzioną altruizmem i tylko pozornie dawała, niczego nie oczekując w zamian. Oczekiwała wiele, bardzo wiele, całego życia Sary, małej Sary, która nie ufała bogom, demonom, magom ani ludziom, lecz jakoś nie dostrzegła, że Kalina też pęta ją na swój sposób, powoli, ale konsekwentnie. Mimo wszystko mała czarownica chodziła po tym skąpanym w blasku neonów świecie dopiero od piętnastu lat. A Kalina miała już na karku szósty krzyżyk i od dawna grywała wyłącznie o wysokie stawki, zawsze z jednego powodu, zawsze mając jeden cel. Pracując i walcząc dla miasta, dla jego pana i dla tego, któremu pisane jest nosić królewską koronę.

Szczupła, śniada dłoń dotknęła brudnej ściany. W tym samym miejscu, ale w innym czasie, blada ręka Sary spoczęła na chłodnej powierzchni i czarownica wyszeptała te same słowa, które niegdyś wypowiedziała Kalina. Niech się szlag, Kal, pomyślała, gdy przejście stanęło przed nią otworem, a z mroku wyłoniły się schody prowadzące w dół.

– Dopięłaś swego – mruknęła do cienia czarodziejki. Był ktoś znający sekret przejścia, ktoś gotów wejść w mroczne tunele, dla tego miasta i jego władcy.

I ta myśl sprawiła, że Sara się zawahała.

Stała bez ruchu, patrząc w ciemność. Nie lękała się mroku ani tego, co w nim czekało. To widmo pajęczyny utkanej przez Kalinę wzbudzało niepokój. Niewidzialnych nitek oplatających czarownicę, wiążących w miejscu. Tyle razy wyrywała się z cudzych sieci, umykała z pułapek, a to przejście było wejściem w kolejną. Nie pozwalała, by ktoś ją zatrzymał, dobrowolnie zrywała wszystkie więzy, których ludzie pragną, szukają i które podtrzymują przez całe życie. A jednak teraz szła drogą wskazaną przez Kalinę, czarodziejkę o kasztanowych włosach.

– Mój wybór – warknęła z wściekłością i rzuciła się w mrok,

przeskakując wysoko nad zakurzonymi stopniami. Rzucono jej wyzwanie, jej, czarownicy tego miasta, śląc urok w pudełeczku z wiśniowego drewna, wciągając do gry, okradając zamek, a żadna czarownica nie będzie uciekać ani kryć się niby mysz pod miotłą.

Sara nie przyzywała magicznego ognia, jak niegdyś Kalina, nie tylko dlatego, że przynależała do niespokojnych wichrów, nie zaś palących płomieni, lecz i dlatego, że nie potrzebowała światła w ciemności, doskonale jej znanej. Wkroczyła w płataninę podziemnych korytarzy, kierowana magią i ulotnym wspomnieniem stukotu obcasów mentorki.

W murach wciąż dało się wyczuć echa dawno rzuconych zaklęć, niemal pozbawionych już mocy – i świeższy czar Kaliny, dopiero tracący swą siłę. Wszystkie splecione, by odstraszyć postronnych, chronić tę część podziemi i tajemnicę, jaką skrywała.

– Któż mnie odwiedza? – rozległ się skrzekliwy, nieprzyjemny dla ucha głos. Sara zatrzymała się. Oczy, nawykłe do mroku, dostrzegły ruchomy kształt, żółtawe ślepia, czerwień piór wspaniałego ogona, pomarańczowe, pojedyncze piórka pośród czerni skrzydeł.

– Mała, słodka czarowniczka od Kaliny. Zapragnęłaś wreszcie skarbów, słodziutka? Złota jasnego jak słońce, szmaragdów zielonych jak trawa i rubinów czerwonych jak krew? A może wolisz moce? Mam ich wiele, tyle, ile gwiazd zdążysz naliczyć na niebie podczas bezchmurnej nocy...

– Nie, dzięki – rzuciła Sara. – Za to chętnie zjadłabym rosół.

Zapłonęły umocowane przy ścianach pochodnie. Ogromny kogut, sięgający czarownicy do kolan, zaniósł się ochrypłym śmiechem. W świetle rozblęły klejnoty, porozrzucane po pomieszczeniu niczym śmieci: diamenty, szafiry, szmaragdy, turkusy, rubiny, perły i złoto, niewielka część skarbów zgromadzonych w podziemiach.

– Pewnaś, dziewczko? Mogę dać ci bogactwa, jakich nie ma król, zasiadający na orlim tronie, i moce, o których śnią najpotężniejsi magowie. Może pragniesz chwały? Posłuchu tych, co tobą gardzą?

– Jeśli zechcę, sama rzucę ich na kolana, diable – parsknęła czarownica. Nie była zaskoczona tym, że kogut wie, jak nisko cenią ją magiczne sławy Polanii. Czytał w duszach i szukał tego, czym najłatwiej skusić śmiertelnika, lecz jej nic nie miał do zaofiarowania. – Tylko tyle mi proponujesz?

Kogut przechadzał się po lochu, strosząc wspaniałe, barwne pióra.

Żółte oczy błyszcząły złośliwą uciechą. Przy ostatniej wizycie również próbował zwieść Sarę, początkowo pewien, że młoda, niedoświadczona czarownica będzie łatwym łupem. Składał jej coraz to bardziej oszalamiające oferty, a gdy kolejne propozycje były odrzucane w niewybrednych słowach, zdawał się nie tyle zły, co zachwycony wyzwaniem, jakie stanowiła Sara.

– Nie przyszłaś tu bez powodu, mała czarownico – odpowiedział. – Chcesz czegoś ode mnie, a pod tym niebem za wszystko trzeba płacić.

– Bądź przychodzi nam wziąć siłą to, czego pragniemy – odparowała Sara. Nie sądziła, że jeszcze kiedyś przyjdzie jej targować się z nadnaturalnymi bytami. Za dobrze wiedziała, że nie wolno im ufać, a cena, jakiej żądają, zawsze jest zbyt wysoka.

– Śmiała jesteś! – stwierdził kogut i roześmiał się. – Sądzisz, że możesz mnie pokonać?

– Nie wiem, diable. Lecz mogę zasypać wszystkie korytarze, które wiodą do twojej kryjówki, zapieczętować wejścia i uwięzić cię tu na wieki.

Żółte oczy rozbłysły. Raczej trudno było odczytać kogucie emocje, które odbijały się jedynie w ślepiach, jednak Sara nie umiała powiedzieć, czy to, co w nich widzi, jest prawdziwym odczuciem, czy rezultatem doskonałej gry aktorskiej.

– Masz nadzieję wymusić na mnie podarek?

– Nie potrzebuję twoich podarków. Chcę wiedzieć, czy masz coś wspólnego z tymi, którzy wychodzą na ulice nocą, czy podburzasz biesy i siejesz zamęt. Czy pomogłeś wpleść klątwę w dar dla króla i złamać zaklęcia, które rzucono na zamek. I nade wszystko, komu zdradziłeś, że Nóż Dwóch Braci, kamień z kaplicy i lustro Twardowskiego chronią Kraków.

Kogut milczał długo, chodząc dookoła Sary, niewzruszonej, stojącej w miejscu. Złoto i klejnoty migotały, odbijając światło pochodni. Nieprzyjemny zapach podziemi drażnił nos czarownicy.

– Dlaczego zadajesz takie pytania, dziewczynko? – spytał kogut i po raz pierwszy w jego skrzekliwym głosie zabrzmiała powaga.

– Jesteś najpotężniejszym demonem w Krakowie. Kto jak nie ty może maczać palce w tym, co dzieje się w mieście?

– A co takiego dzieje się w mieście, mała czarowniczko?

– O nie – prychnęła, kręcąc głową. – Skoro nie wiesz, ja ci nie

powiem. Na tym świecie nie ma przecież nic za darmo, prawda?

Mierzyli się wzrokiem, póki Sara, znudzona tym milczącym pojedynkiem, nie zrobiła nagle zeza, jednocześnie pokazując język. Rezydenta podziemi najpierw prawdopodobnie zatkało, później zaś wybuchnął ochryplym, nieprzyjemnym śmiechem.

– Dobrze pojęłaś naukę. Jeśli powiem, że nie mam nic wspólnego z tym, co dzieje się nad tymi korytarzami, uwierzysz tak po prostu, dziecińco?

– Nie wolno ci kłamać – wzruszyła ramionami Sara. – Możesz zwodzić i manipulować prawdą, ale nie potrafisz skłamać wprost.

Jej nie wiązały takie ograniczenia. Schodząc w płataninę podmiejskich korytarzy, wiedziała, że ten, który je zamieszkuje, nie ma nic wspólnego z ostatnimi wydarzeniami w Krakowie. Jeśli jednak to, co o nim wiedziała, było prawdą, wzmianka o nożu, lustrze i kamieniu powinna przyciągnąć jego uwagę.

– Nic za darmo, czarowniczo. Odpowiem na twoje pytanie, jeśli ty odpowiesz na moje.

Udała, że zastanawia się nad tą propozycją. Gdy przemówiła, starannie dobierała słowa, nie chcąc przedwcześnie spłoszyć koguta.

– Pytanie za pytanie. Prawda, cała prawda i tylko prawda, żadnych wykrętów, żadnych zabaw słowem czy dwuznaczności. Odpowiedź musi być satysfakcjonująca dla pytającego.

– Umowa stoi.

– Przysięgasz?

– Aleś ty nieufna – mruknął kogut z urazą. Sara z trudem powstrzymała uśmiech satysfakcji. Jeszcze za wcześnie. Niech wierzy we własny spryt, niech będzie zbyt pewny siebie, jak wszyscy jemu podobni, często niedoceniający śmiertelników. Czarownica dobrze знаła tę historię. Świadomi swej potęgi i doświadczenia, zdobytego przez stulecia wciągania ludzi w pułapki, stawali się nieostrożni. – Przrzekam szczerze odpowiedzieć na twoje pytanie, jeśli ty odpowiesz na moje.

– Świetnie – odparła Sara, wciąż z niewzruszoną miną. – Pytaj więc.

– Co takiego dzieje się na powierzchni, że zmusiło cię do wizyty u mnie?

Przepadłeś!

– Spod ziemi wypęła robactwo. Inkuby, topielice, żywiołaki i inne

cholerstwo.

– Tylko tyle? – burknął demon, wyraźnie rozczarowany. – Kraków zawsze ściągał to tałatajstwo!

– Tałatajstwo? – zdumiała się. – Myślałam, że to twoi pobratymcy...

– Pobratymcy?! – Kogut zatchnął się z oburzenia. – Zapamiętaj sobie, czarownico, że nigdy nie byłem i nie będę jednym z nich!

– Jest ich zbyt wielu, bym mogła to powstrzymać. Ściągają całą chmarą, bo skradziono kamień, znikł Nóż Dwóch Braci, zbezczeszczono dawną świątynię, otruto smoka, a lustro próbowano zniszczyć. Nad Krakowem wiszą ciemne chmury i nie jest to żadna przenośnia!

Milczał długo. Czy naprawdę nie wiedział? To zdawało się nieprawdopodobne. Dlaczego więc zgadzał się wymienić pytanie za pytanie? Bo on nie daje niczego za darmo, uznała natychmiast Sara. To część jego więzów, tych samych, które nie pozwalają mu opuścić podziemi ani skłamać.

– Zwierciadło Mistrza ocalało? – spytał. Być może wiadomość o nieudanej próbie kradzieży była dla niego nowością. Jediną nowością.

– Walczyłam o nie. I wygrałam.

– Zaskakujesz mnie – powiedział diabeł i w jego głosie zabrzmiało coś zbliżonego do szacunku. Och, jeszcze nie wiesz, jak cię zaskoczę, pomyślała czarownica, obdarzając koguta uśmiechem. Chętnie złapałaby go za kark i wyskubała mu wszystkie pióra z ogona za to, co zrobił, do czego doprowadził. Chociaż prawdopodobnie, gdyby dostał wybór, wolałby zostać całkowicie oskubany niż zgodzić się na to, co planowała.

– Jestem usatysfakcjonowany twoją odpowiedzią i gotów do udzielenia własnej. Pytaj, moja zimowa dziewczynko. Zapytaj o tego, który niesie w sobie ciemność podobną twojej, który również przyszedł tu bez lęku w sercu. I jak ty udzielił stosownej zapłaty za jedną odpowiedź.

Tak. Bardzo chcesz mi powiedzieć, upewniła się wiedźma. Dlaczego? Czyżby demonowi nie podobał się ten człowiek? To, co planował? Nieważne. Pora rzucić kości.

– O nie, to nie jest moje pytanie. Odpowiedź za odpowiedź, powiedziałaś. Nie ustaliliśmy, o co spytam.

Gdzieś daleko kapiała woda. Kogut drgnął, zaskrzeczał ze złości. Zrozumiał, że wpadł w pułapkę, ale chyba jeszcze nie dotarło do niego, w jak paskudną. Sara cofnęła się, wokół jej palców zatańczyły sine nitki. Żółte oczy demona rozbliły.

– Jak masz naprawdę na imię?

Kogut zapiał przeraźliwie, podłoga zadrżała się pod stopami wiedźmy. Skarby zgromadzone w pomieszczeniu znikły, wygasły wszystkie pochodnie. Sara przyłgnęła plecami do ściany, wyciągnęła ręce, osłaniając się mocą niczym tarczą.

– Przysiągłeś! – krzyknęła. – Dotrzymaj słowa albo odpłyn w niebyt!

Ziemia przestała drżeć, umilkło pianie. Pochodnie nie zapłonęły z powrotem i oczy wiedźmy, nawykłe do światła, nie odróżniały kształtów. Opuściła więc powieki, zdając się na inne zmysły.

– Wolałabyś, abym przywrócił światło? – spytał demon. Jego głos brzmiał teraz inaczej, bardziej chrapliwie i nieprzyjemnie, tak, że z trudem rozróżniała poszczególne słowa. Chciał ją przestraszyć, przypomnieć, z czym naprawdę ma do czynienia. Jakby kiedykolwiek mogła o tym zapomnieć!

– Wolałabym, abyś zdradził swoje imię.

– Zapłacisz mi za to, zimowa czarownico – odparł. I wypowiedział je.

Zamykało się w nim wszystko, czym był i czego doświadczył przez wieki swojej egzystencji. Wspomnienia, emocje, cała jego moc, całe jestestwo. Imię należało teraz do Sary, a wraz z nim zyskiwała samego diabła. Ta myśl wcale nie była przyjemna. Co gorsza, wiedziała, że nie kłamał. Przyjdzie jej za to zapłacić.

– Chcesz zobaczyć, jak wyglądam naprawdę?

– Wiem, jak wyglądasz. Patrzyłam już w twarze tobie podobnych. Nie przerazisz mnie. Zrobisz to, czego zażądam i niczego nie dostaniesz w zamian.

Syknął, nie próbował jednak protestować. Sara uniosła powieki, strzepnęła z palców sine nitki. Serce powoli odzyskiwało właściwy rytm. Znów wygrała. To było satysfakcjonujące, prawie tak bardzo jak świadomość, że Kalina, dowiedziawszy się o poczynaniach następczyni, zabiłaby ją gołymi rękoma. Albo przynajmniej spróbowałaby to zrobić.

– Nie pokonam go dla ciebie, lelkowa panno. Nie zdołam odebrać mu życia i nie wolno mi opuścić podziemi.

Gdyby zechciała, mogłaby teraz sięgnąć do umysłu demona, do jego

czarnej duszy i dowiedzieć się, jakie moce spętały go w tunelach wydrążonych pod miastem i przykuły do tego miejsca. A strzępki jego wspomnień, jego jestestwa, jego sił, ciemne jak chmury nad Krakowem, przylgnęłyby do niej, drobne, z początku niezauważone. Powoli, powolutku, wnikałyby w jej sny, zamieniły się w głosy szepczące w głowie, wpływałyby na uczucia, na magię. Zapłacisz za to, czarownico. Zapłacisz...

– Nie chcę, żebyś walczył dla mnie z nocnym królem – powiedziała. – Zajmę się nim sama, ale potrzebuję kogoś, kto stawi czoła tym, którzy podążają jego śladem.

– Wiedziałaś.

Wzruszyła ramionami i schowała dłonie w kieszeniach kurtki. Tak naprawdę nie była pewna odpowiedzi na to pytanie, którego nie zadała: o tożsamość osoby, która weszła tu do podziemi, by dowiedzieć się, jak osłabić ochronę miasta. Nie do tej chwili, potwierdzenia udzielił jej dopiero demon. Może zbyt wiele dni spędził w zamknięciu, gdy grono ludzi znających jego sekret wciąż się zmniejszało. Kiedyś w tych korytarzach znacznie częściej słychać było echo kroków. Lecz tygodnie, jakie niegdyś mijały między składanymi mu wizytami, stopniowo przechodziły w miesiące, a potem niepostrzeżenie przemieniały się w lata. Skończyły się pielgrzymki, gry, intrygi, nie było skradzionych uczuć, wspomnień, dusz. I najpotężniejszy z krakowskich demonów, pozostawiony sam sobie w ciemności, zapomniał, że śmiertelnicy też mogą być podstępni.

– Przyzwiesz dla mnie kogoś – stwierdziła i nie była to prośba. – Stamtąd.

– Dlaczego nie poprosisz mnie o gwiazdkę z nieba? – parsknął kogut. – Sądysz, że moje słowo wystarczy, by przejść poza śmierć?

– Nie chcę niczyjego powrotu. Chodzi o krótką wizytę. Sądysz, że jestem tak głupia jak Twardowski? – zirytowała się Sara. Jeszcze tego brakowało, żeby zaczynać kolejną aferę à la Barbara Radziwiłłówna. Od niektórych rodzajów magii należało trzymać się z daleka. Martwi powinni pozostać martwymi... poza paroma bardzo szczególnymi przypadkami.

– Nie obrażaj Mistrza! – warknął, a w jego głosie zabrzmiała czysta złość. Intrygujące, uznała czarownica. Dlaczego demon tak nazywał Twardowskiego? Skąd ten szacunek u istoty, która wszystkich

śmiertelników powinna uważać za gorszych od swoich współpracowników, tego – jak stwierdził wcześniej – tałatajstwa? A może to też gra, nowa pułapka?

– Zajmijmy się tym, po co tu przyszedłam – zdecydowała.

Kiedy opuściła podziemia, nad Krakowem wstawał ranek, niewiele jaśniejszy od nocy. Na niebie nie było widać żadnego ruchu, a jednak Sara mogłaby przysiąc, że chmury zgęstniały i pociemniały. Miniona noc pozostawiła po sobie ślady – na podłodze Królewskiej błyszczały odłamki szkła, pospiesznie zbierane przez młodą kelnerkę, podczas gdy ktoś inny ostrożnie usuwał z okna pozostałości wybitej szyby. Dostrzegłszy czarownicę i jej towarzysza, przerwali pracę, chłopak otworzył nawet usta ze zdumienia. Sara, choć w głębi duszy daleka od rozbawienia, mrugnęła do niego, posłała mu pocałunek i wyprowadziła swojego gościa na zewnątrz. Pomimo wczesnej godziny na chodnikach już kręcili się ludzie – studenci spieszący na zajęcia, wyjątkowo gorliwi turyści z aparatami, pracownicy, otwierający okoliczne sklepy. Tłum był jednak jakby mniejszy niż jeszcze kilka tygodni temu – do mieszkańców Krakowa zaczynało powoli docierać, że lepiej nie przebywać na ulicy przed wschodem słońca.

Chociaż w okolicy często widywało się przebierańców, towarzysz Sary przyciągał spojrzenia niczym magnes i powodem z pewnością nie była oszałamiająca uroda. Miał wprawdzie złociste, lekko kręcone włosy i niebieskie oczy, ale jasna skóra nosiła brzydkie ślady po ospie. Był drobnej postury, niewiele wyższy od czarownicy. Ciekawość zapewne w równym stopniu wzbudzał jego strój, jak fakt, że chwilami nieco prześwitywał – i nawet nie próbował wymijać ławeczek oraz koszy na śmieci. Szedł za wiedźmą, poruszając się niezdarne, z sennym wyrazem twarzy spoglądał na kolorowe kamienice, ludzi, sklepowe witryny. Nie mógł bądź nie chciał mówić, jego umysł pozostawał nie do końca sprawny i Sarze ten stan rzeczy bardzo odpowiadał. Potrzebowała wyłącznie jego obecności, nie irytujących pytań.

Na fasadach przybyło napisów wychwalających Króla, ściany zostały pokryte runicznymi znakami. Sara stanęła, by uważnie przyjrzeć się szkarłatnym literom, umieszczonym na szybie wciąż zamkniętego sklepu odzieżowego i przez jej ciało przeszedł nieprzyjemny dreszcz.

Umarł król, niech żyje król. To nie była czerwień farby, lecz czarownicę bardziej niepokoiło znaczenie napisu.

Skinęła ręką na mężczyznę, ruszyła w stronę Rynku. Gołębie, które obsiadły chodnik dookoła nich, poderwały się do lotu z furkotem skrzydeł. Wciąż nadlatywały nowe, siadały na parapetach, krążyły w górze, jeden szczególnie bezczelny nawet spróbował usiąść Sarze na ramieniu. Zniecierpliwiona czarownica przegoniła go ruchem dłoni.

Wedle legendy, opowiadanej turystom, gołębie były w rzeczywistości rycerzami jednego z dawnych władców Polanii, zaklętymi przez potężną czarodziejkę. Pod ptasią postacią wydziobały kamyczki z kościelnych wież, a te, opadając na ziemię, zamieniały się w złoto. W ten sposób ówczesny książę zdobył pieniądze, aby zapełnić pusty skarbiec. Świeżo zdobyty majątek wydał jednak na podróże, zabawy i uczy, nigdy też nie powrócił do swej drużyny, a zakłęci rycerze wciąż czekali na powrót pana. Jedynie to mogło przywrócić im ludzką postać.

Oczywiście to była bzdura. Ówczesny następca tronu był po prostu niereformowalnym idiotą, który sądził, że jeśli dziewczyna mówi „nie”, stanowi to jedynie zachętę do przekonania jej do „jednak tak”. Gdyby chodziło o zwykłą kobietę, z pewnością nikt nie wyprowadziłby go z błędu. Rzec w tym, że postanowił zaciągnąć do alkowy Elżbietę³, córkę Pierwszego Czarodzieja, która, choć młodziutka, daleko przerastała swojego ojca zarówno pod względem talentu, jak i temperamentu. W ramach zemsty sprowadziła na miasto mgłę, a gdy ta opadła, cała drużyna młodego księcia znikła – pozostały tylko gołębie, tłukące skrzydłami o zamkowe mury. Nikt nie wiedział, jak dziewczyna tego dokonała. Niektórzy sądzili, że zaprzedała duszę diabłu. Córka czarodzieja zapowiedziała, że wojowie mogą zostać odczarowani dopiero wtedy, gdy książę padnie na kolana na krakowskim Rynku, posypie głowę popiołem, poprosi o pomoc do Pierwszego i nigdy więcej nie zbliży się do żadnej kobiety. Warunki, rzecz jasna, były nieakceptowalne. Młodą Elżbietę natychmiast skazano na śmierć, zdołała jednak umknąć z kraju. Niedługo potem książę został otruty, co wszyscy, włącznie z jego ojcem, młodszym rodzeństwem i pannami służebnymi przyjęli ze źle skrywanym zadowoleniem. Pierwszy Czarodziej znikł. Cała afera została starannie zatuszowana, w czym interes mieli zarówno krakowscy magowie, jak i rodzina królewska, stratę drużyny księcia zaś szybko zdołano

przeboleć.

– Na kolana – zażądała Sara, gdy dotarli do Sukiennic. Mężczyzna spojrzał na nią. Na nieładnej, pokrytej strupami twarzy pierwszy raz pojawił się ślad emocji. Złość. Czarownica wskazała ręką bruk. – Na kolana, śmieciu.

Drgnął, poruszył ustami, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. W końcu opadł na płytę chodnikową, powoli i niezgrabnie. Sara wyciągnęła z kieszeni kurtki woreczek, otworzyła go i bezceremonialnie wysypała zawartość na głowę mężczyzny. Popiół pokrył jasne włosy, osiadł na ramionach, oblepił policzki. Gołębie utworzyły krąg wokół wiedźmy i klęczącego. Siedziały teraz nieruchomo niczym małe rzeźby.

– Sądzę, że skoro tak grzecznie przede mną klęczysz, można uznać to za prośbę o pomoc. I jestem wściekle pewna, że nigdy nie będziesz miał okazji zbliżyć się do żadnej kobiety.

Książę z głową posypaną popiołem, padający na kolana przed Pierwszą. Choć Sara nie dawała tego po sobie poznać, dręczył ją niepokój, czy to wystarczy, czy naprawdę spełniła warunki, wpisane w zakęcie Elżbiety. Każdą klątwę można odwrócić, tak brzmiało jedno z prawideł magii. Tylko czy nie było za późno? Diabeł nie mógł szukać czarownicy wprost, lecz wiedziała, że jeśli miał okazję coś zataić, z pewnością z niej skorzystał. Odetchnęła i zamknęła oczy, przyzywając magię, szepcząc słowa przekazane przez demona – a kiedy uniosła powieki, stała otoczona przez mężczyzn o pustych oczach i nieruchomych twarzach. Po tylu latach uwięzienia w ich umysłach niewiele pozostało, może parę wyblakłych wspomnień, cień myśli. Bardziej przynależeli już do świata duchów niż żywych. Ale do pierwszego nie mogli wejść, a drugiego opuścić, trwając w ciągłym zawieszaniu, jeszcze nie umarli, lecz już nie żywi ludzie-upiory. Dopiero teraz do czarownicy w pełni dotarło, jak okrutna była młodziutka Elżbieta. Nie bez powodów później nazwano ją Czarną Lilią. Brutalny książę zasługiwał na karę, lecz ona odarła z człowieczeństwa jego towarzyszy i skazała ich na całe wieki niewoli. To tacy jak ona, porywcy, potężni, skrzywdzeni, byli iskrami, które wywoływały pożary i rozpalały stosy.

– Ciemność chodzi ulicami miasta – powiedziała Sara. – Stawcie jej czoła, rycerze, a zostaniecie uwolnieni. Pękną trzymające was więzy i

odejdziecie do Wyraju.

Pewnie nawet nie zrozumieli słów, ale wspomogła je magią i ta podziałała. Krąg ofiar Czarnej Lilii rozbił się, mężczyźni ruszyli w różne strony, z początku niezbornie, powłócząc nogami, potem sprawniej, jakby przypominali sobie, na czym polega chodzenie. Sara po raz kolejny zapytała samą siebie, czy to na pewno dobry pomysł. Julian prawdopodobnie się wścieknie: widmowi rycerze wzbudzający panikę na ulicach. Lecz upiorni wojownicy nie mogli umrzeć ani odnieść ran, nie byli już zdolni do odczuwania strachu, a narażeni na działanie magii przez tak długi czas, będą do niej lgnąć. Czarownica zaś potrzebowała czasu. Zwłaszcza że wciąż i wciąż powracały do niej ostatnie słowa wypowiedziane przez demona, tuż przed tym, jak wyszła z podziemi, zapewne po to, by zasiać w jej duszy ziarno niepokoju. Poprosił mnie o coś jeszcze, czego nie miałem prawa mu oddać, choć był gotów zapłacić wysoką cenę.

Poprosił o ciebie, czarownico.

Rozdział szósty

Złudny blask księżyca

Lidia Skibińska kazała czekać na siebie kwadrans. Było to i tak krócej, niż Sara się spodziewała – Biała Czarodziejka musiała przecież pokazać, że nie jest na zawołanie, nawet jeśli rozmowa miała się odbyć za pomocą komunikatora internetowego. Użycie czarów do nawiązania kontaktu byłoby bardziej efektywne, ale Sara nie przepadała za tym rodzajem magii, właściwym raczej czarodziejom niż czarownikom.

– Czemu zawdzięczam tę przyjemność? – spytała Lidia, gdy program zasygnalizował nawiązanie połączenia. Jej ton nie pozostawiał wątpliwości co do tego, że ta przyjemność była mocno wątpliwa.

Jak zawsze wyglądała nieskazitelnie. Jasne warkocze upięła w koronę dookoła głowy, a na powieki nałożyła srebrzyste cienie. Na ekranie widać było dekolt sukienki, oczywiście białej, odsłaniającej kształtne ramiona. Szyję ozdabiał skromny naszyjnik z pojedynczą perłą. Sara przypatrywała się Lidii krytycznie i tak uważnie, jak nigdy wcześniej. Trochę zbyt teatralna, uznała, ale przynajmniej ma niezły gust i nie przesadza. Nieco napuszona. Silna. Sprytna. Trochę za młoda, za mało doświadczona, jednak nie zdobyłaby sobie tak wysokiej pozycji w Łoży, gdyby nie umiała blefować i spiskować. Za bardzo lubi władzę, pragnie uznania, ale też nie jest głupia, dwa razy przemyśli każdą propozycję. Zresztą... nie było nikogo innego. Sokolska dopiero teraz zaczęła rozumieć postępowanie Kaliny, która rozsnuwała wokół niej sieć.

– Jeśli chciałaś po prostu podziwiać moją urodę, mogłaś poprosić o zdjęcie – powiedziała wyraźnie zniecierpliwiona Lidia. Sara obdarzyła ją ironicznym uśmiechem.

– Nie jesteś w moim typie, Lidko – zapewniła, z radością zauważając, że kącik ust Białej Czarodziejki drgnął. Nie lubiła, kiedy ktoś zdrabniał jej imię. – Chciałam złożyć ci propozycję.

Lidia zmrużyła oczy ze złośliwą uciechą. Zapewne sądziła, że za chwilę

usłyszy prośbę o pomoc w opanowaniu sytuacji w Krakowie. I już układała sobie w myślach odmowę.

– Co masz mi do zaoferowania, Pierwsza Czarownico Polanii?

– Moje stanowisko – odparła Sara. – Jeśli zginę... lub zniknę w najbliższym czasie.

Biała Czarodziejka dobrze nad sobą panowała. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, jedynie oczy zdradziły zaskoczenie i szok.

– Dlaczego? – spytała w końcu. Sara na jej miejscu wolałaby raczej wiedzieć, gdzie tkwi haczyk.

– Nie ma nikogo innego – wyjaśniła czarownica zgodnie z prawdą. – Nie jesteś idealną kandydatką, ale musisz wystarczyć. Wiem, że tego właśnie chcesz. Chociaż jeżeli rzeczywiście mnie zastąpisz, dowiesz się, że to właśnie ten przypadek, kiedy trzeba uważać z życzeniami.

Jeden z bardzo wielu, uzupełniła w myślach. Tak łatwo manipulować tymi, którzy pragną. Nawet Białą Czarodziejką, piękną zmijką o błękitnych oczach.

– Co ty planujesz, Piekielnico? – Lidia pokręciła głową, porzucając fałszywą uprzejmość. – To nie ty dokonujesz wyboru.

– Mam prawo wyznaczyć następcę, a Julian nie będzie się sprzeciwiał mojej decyzji. Teraz nie ma czasu na spory, konkursy i intrygi. Pierwszy musi zostać wyznaczony natychmiast. I nie może nim być ktoś, kto nie rozumie, co oznacza ta funkcja.

– Czego chcesz w zamian?

– W zamian dasz wiele, dziewczynko – powiedziała Sara, świadoma, jak bardzo zirytuje Lidie tym określeniem. – Ale nie mnie. Ceną za zostanie Pierwszą jest bycie Pierwszą.

Nie rozumiała, oczywiście, że nie rozumiała. Sara kiedyś też nie pojmowała, nie do końca, choć jej życie było już wcześniej stawką w cudzych grach, pomimo tego, że rudowłosa czarodziejka o chytrym uśmiechu próbowała prowadzić ją za rękę. Wiedziała więcej i nie pisała się na to, ale były długi, które należało spłacić i obietnice, których trzeba było dotrzymać. Kalina schwytała ją w pułapkę, zażądała zapłaty za życie. Skibińska zaś zgodzi się, wiedzona pragnieniami. Głupiutka dziewczynka. Ale to nic. Dorośnie. Nauczy się... Jeśli będzie musiała.

– A co oznacza bycie Pierwszą? – spytała Biała Czarodziejka drwiącym tonem, raczej wymuszonym. W rzeczywistości Lidia czuła się zagubiona. Zachowywała jednak ostrożność, była podejrzliwa, i za

to czarownica dała dziewczynie plusa.

– Rozpoznałaś biesy w pochodzie na Floriańskiej? Istot im podobnych, lecz znacznie groźniejszych, jest więcej, Liduś. I pragną wrócić. Pragną tego, co im odebrano. Będziesz musiała je odpychać. Tymi zadbanymi rączkami wyrywać ich serca, jeśli zajdzie taka potrzeba. I chronić własne, bo na pewno zapragną je zdobyć.

– Wiedziałaś – parsknęła Lidia. Najwidoczniej uznała, że Sara stroi sobie z niej żarty i odprężyła się. Ta nagła możliwość spełnienia życzenia, o którym nie ośmielała się powiedzieć nikomu, do którego niechętnie przyznawała się nawet przed samą sobą, wywołała w niej niepokój. To zaś dowodziło, że Sara wybrała dobrze. – Czego tak naprawdę chcesz?

– W razie czego porozmawiaj ze Smokiem Wawelskim – odparła Sara, ignorując pytanie. – Powinien wyjaśnić ci kilka rzeczy. Może wyciągniesz z niego więcej niż ja.

– A ty? Dlaczego szykujesz się na śmierć? – zapytała Lidia z niedowierzaniem.

Sara milczała. Czy naprawdę szykowała się na śmierć? Musiała uczciwie przyznać, że nie. Została nie dla Juliana, nie dla mieszkańców miasta, nie dla ducha Kaliny, nie z powodu dawnych obietnic. Trzymały ją tu magia i duma. Była gotowa wiele zaryzykować, ale wiedziała, że jeśli naprawdę przyjdzie jej wybierać między śmiercią a ucieczką i pozostawieniem Krakowa własnemu losowi, wybierze to drugie. Złożone przyrzeczenie dotyczyło przecież jedynie Juliana, a jego można wywlec z miasta siłą.

– Zamierzam spojrzeć w Księżycowe Zwierciadło.

Lidia niespodziewanie straciła panowanie nad sobą, jej twarz najpierw stężała, a potem gniewnie się wykrzywiła.

– Nie bądź idiotką! – krzyknęła i natychmiast uniosła dłoń do ust, zakłopotana swoim wybuchem. Odetchnęła, a kiedy znów się odezwała, głos miała już spokojny. – Pozwoliłam ci je zatrzymać, bo sądziłam, że nie będziesz na tyle głupia, żeby w nie patrzeć. Roman nie dałby rady się powstrzymać.

– No, no, dziecino, jestem pod wrażeniem – parsknęła Sara. Na białych policzkach Białej Czarodziejki pojawił się rumieniec, gdy zacisnęła zęby ze złości. Najwyraźniej sądziła, że Sara z niej kpi. – Mówię serio, Lidko. Uwierz, nie mam na to ochoty, ale lustro to

ostatnie ogniwo, jedyna ochrona Krakowa, jaka ocalała. A ja jestem czarownicą tego miasta, jak kiedyś jego czarodziejem był Twardowski, i nie mam życzeń, które Zwierciadło mogłoby rzucić przeciwko mnie.

– To nic nie da. Lustro jest przeklęte – syknęła Lidia.

– Do widzenia, Lidko – powiedziała Sara, uśmiechnęła się lekko i przerwała połączenie.

Zamknęła drzwi i zabarykadowała je łóżkiem, a potem aktywowała wszystkie czary ochronne. Zaciągnęła kotary, bo wieczorne niebo przysłonięte chmurami nie wyglądało przyjaźnie, a zbyt wiele istot mogłoby zajrzeć przez szyby. Twarz i ramiona pokryła spiralami z sinej farby, choć była to mizerna ochrona przeciwko magii lustra Mistrza Twardowskiego. W końcu pokój pograżył się w ciemności. Mimo to Sara wciąż nie sięgała po zasłonę, którą szczelnie owinęła Księżycowe Zwierciadło. Bawiła się zapalniczką, zapalając ją raz za razem. Błękitny płomyk rozbłyskiwał w półmroku, by zaraz zgasnąć.

Chyba nie tchórzysz, Saro? Naprawdę chcesz odgrodzić się od ciemności ogniem?

– Niczego nie pragnę – powiedziała cicho, rzucając zapalniczkę na komodę. – Niczego się nie lękam.

Naprawdę niczego nie pragnęła, ale czy na pewno nie znała lęku? Lustro wywoływało w niej niepokój równie duży jak chmury spowijające krakowskie niebo. Czy to już był strach? To nie przypominało na wpół zapomnianego uczucia przerażenia, zwierzęcej paniki wyrrywającej krzyk z ust, odbierającej oddech, zmuszającej ciało do szaleńczego biegu. Ale lęk przecież też miał różne odcienie, tak jak gniew, który znała aż za dobrze. Zamiast smutku i strachu przychodziła do niej zawsze złość, niczym do Małej Mi, która umiała być tylko wesoła bądź zła. Lekka irytacja, wściekłość, nakazująca obracać wszystko wokół w zgliszcza, zimny gniew rozrastający się gdzieś wewnątrz, na zewnątrz pozwalający zachować lodowaty spokój. Wiele rodzajów złości.

Wiele rodzajów strachu?

Teraz ty jesteś jego celem.

Poprosił o ciebie, czarownico.

Sara szarpnęła zasłonę i tkanina opadła na podłogę. Klęczała przed

zwierciadłem, a srebrzysta tafla odbijała jej twarz, szyję, ramiona i dekolt, pokryte fioletowymi spiralami, szary podkoszulek, wojskowe spodnie, sekretarzyk i ścianę z tyłu – nic więcej. Jakby miała do czynienia ze zwykłym lustrem. Nie pozwoliła sobie jednak na odprężenie, wiedząc, że jeden moment nieuwagi może spowodować, że pochłonie ją magia artefaktu. Wpatrywała się intensywnie w odbicie, a to w końcu zaczęło się zmieniać: ciemne włosy opadły na ramiona ciężkimi falami, rysunki znikły ze skóry, w rysach zaszła niewielka, ale znacząca przemiana, ubranie zostało zastąpione przez białą suknię. Dziewczyna z lustra miała delikatniejszą, bardziej dziecinną twarz i wyglądała jak młodsza, ładniejsza siostra Sary. Wiedźma nawet nie drgnęła, mając w pamięci słowa Smoka Wawelskiego. Nie powinna się odsłaniać, nie powinna pozwalać uderzać w swój jedyny słaby punkt.

Drzwi trzasnęły, a Sara gwałtownie odwróciła ku nim głowę. Komnatę zalało światło padające z wąskich, wysokich okien. Złociste warkocze młodej służącej, która weszła do pomieszczenia, zabłyśły w słońcu. Dziewczyna spojrzała ze zdziwieniem na klęczącą Sarę, zaraz jednak spuściła wzrok i lekko dygnęła. Czarownica rozejrzała się dookoła, oszołomiona. Ściany były przysłonięte gobelinami, a niemal połowę pomieszczenia zajmowało ogromne łóżko.

– Gdzie jest... lustro?

– Lustro? – zdziwiła się służąca. – Kazaliście je wynieść dawno temu. Dobrze się czujecie, pani?

Nie, ale jestem wściekle pewna, że nie występuję w liczbie mnogiej, chciała odpowiedzieć, wydało się to jej jednak niewłaściwe. Powoli wstała z podłogi, przeczesła loki palcami – i jej ręka zatrzymała się w pół ruchu. Włosy opadały niemal do pasa, choć mogłaby przysiąc, że powinny kończyć się tuż nad ramionami.

– Chyba boli mnie głowa – powiedziała po chwili. – Chcę... Nie wiem.

– Czy mogę zająć się fryzurą, pani? Jego książęca mość już czeka.

Jego książęca mość.

Wygląda tak spokojnie, tak poważnie, kiedy na jego skroniach spoczywa korona: ale gdy odnajduje ją spojrzeniem, w brązowych oczach widać panikę. Już nie książę. Król.

– Julian – mruknęła, czując zawroty głowy.

– Julian? – powtórzyła dziewczynka. – Nie. Nikolas, panienko. Nikolas.

Nikolas.

– Jasny szlag! – warknęła Sara i ruszyła do wyjścia, odpychając dziewczynę. Czarownica chwyciła fałdy długiej, niewygodnej sukni, unosząc je wysoko, niemal do kolan. Niedopuszczalne. Niestosowne. Wypadła na korytarz, biegiem rzuciła się ku spiralnym schodom, ignorując ludzi, próbujących ją zatrzymać. Gnała, jakby ścigała ją banda demonów, póki, zadyszana, nie wypadła na dziedziniec. Zamek w niczym nie przypominał Wawelu. To był raczej pałac z baśni, o jasnych murach, strzelistych wieżach i spadzistych dachach. Był też martwy i niemy, pozbawiony choćby śladowej aury.

– Sara – powiedziała cicho, zadzierając głowę. Niebo miało błękitną barwę, żadnych chmur – ani białych, puchatych obłoczków, ani ciemnych, szarych i nienaturalnie nieruchomych. – Sara Weronika Sokolska. Czarownica.

Ktoś krzyknął za jej plecami, znajomy głos, znajome słowo – jej imię. Najpierw poczuła skurcz w klatce piersiowej, zaraz potem zaś gniew, z którego zawsze czerpała siły. Przez chwilę miała ochotę się odwrócić, przyzwać wichry, zabijać i niszczyć, obrócić zamek w perzynę, zostawić tylko zgliszcza, choćby musiała w tym celu poświęcić własne życie. Lecz złość opadła równie szybko, jak przyszła, wrócił rozsądek. To był przecież tylko podstęp, sztuczka, może test, a ona ani nie kochała, ani nie nienawidziła i nie pozwalała chwytąć się w pułapki.

Nie spojrzała więc do tyłu, zamknęła tylko oczy, a gdy je otworzyła, na dziedzińcu płonął stos. Sara ruszyła prosto ku niemu, wyprostowana, szybkim krokiem, z uniesioną głową. Był piękny, wiosenny dzień, dym niósł się wysoko, wysoko, ku niebieskiemu niebu, a kobieta przywiązana do okopconego, drewnianego pała miała prostą, jasną sukienkę, oczy, usta i twarz Sary. Czarownica patrzyła, jak płomień zaczyna ogarniać drobną postać, która zawisała na sznurach, nieprzytomna, jak spopiela sukienkę, pochłania włosy i ciało.

Strach, nienawiść, miłość, na tym żerowało Księżycowe Zwierciadło. Ale ogień wypala bez reszty i nie zostaje nic prócz mocy i pamięci.

– Spalić wiedźmę – wyszeptała. – Nie lękam się płomienia.

I weszła prosto w...

...ogień pochłaniał polana, iskry leciały na bok. Po salonie tańczyły niespokojne cienie, za oknem poruszały się gałęzie wiśni, co jakiś czas postukując w szybę.

– Nika, ratunku! – krzyknął ktoś z piętra, a po chwili na schodach rozległ się głośny tupot nóg. Sara poruszyła się i rozmasowała zdrewniały kark. Sięgnęła po szczypcę, przesunęła kawałek drewna, który w każdej chwili mógł wypaść z kominka i potoczyć się po dywanie. Nie przejęła się wołaniem. Zresztą osoba nawołująca chwilę później wpadła do pomieszczenia. Nie wyglądała, jakby potrzebowała natychmiastowej pomocy medycznej.

– Nie mam w co się ubrać – obwieściła nastolatka. Była mniej więcej wzrostu Sary, chuda, rudowłosa i piegowata. – Kamil właśnie zaprosił mnie do kina. Na jutro! Nie zdążę niczego kupić. Błagam, pożycz mi coś...

– Ja? – zdumiała się szczerze Sara. – Chcesz nosić ciuchy ciotki?

Nastolatka runęła przy niej na kolana i chwyciła ją za rękę.

– Ty, ty! – potwierdziła, potrząsając trzymaną dłonią z taką energią, że poruszyło się całe ciało Sary. – Kolorowe koszule są teraz modne. Nie założę spódnicy, bo nie chcę, żeby pomyślał, że mi za bardzo zależy, jeszcze czego, to on ma za mną latać, a nie ja się starać o niego. Chcę, żeby było swobodnie, ale świetnie, a ta zielona koszula... No proszę, bądź człowiekiem. Brr, co ty robisz z tymi łapami, że zawsze masz takie zimne?

– Bierz tę koszulę i sio stąd – zarządziła Sara. Bratanica wydała z siebie nieartykułowany pisk, uściskała ją i pognęła schodami na górę, zapewne aby natychmiast zbadać zawartość szafy ciotki.

– Huragan energii. Odziedziczyła to pewnie jakimś dziwnym sposobem po mnie, bo po Miśku i Ance na pewno nie.

Z przedpokoju do salonu wkroczyła szczupła, wysoka kobieta, bez butów, w dżinsach, z mokrym parasolem i wypchaną torbą w dłoniach. Łokciem włączyła światło. Lampka zapłonęła, wypełniając pokój rażącym blaskiem.

– Znowu siedzisz po ciemku, niedługo zamienisz się w nietoperza. Brr, leje, wieje, co za pogoda, w dodatku buty mi przemokły. Tamci jeszcze nie wrócili?

Postawiła torbę pod ścianą, opadła na fotel i zabrała się do ściągania mokrych, fioletowych skarpetek. Kasztanowe włosy skręciły się od wilgoci, opaska, która je przytrzymała, zsunęła się na czoło. Nogawki dżinsów były poplamione błotem. Delikatna twarz o cerze koloru porcelany (jedyna cecha, która je łączyła), nie nosiła choćby

śladu makijażu. Sara przypatrywała się kobiecie, wciąż klęcząc koło kominka, nieruchoma i cicha, rejestrując każdy szczegół.

– Co za dzień, co za próba, wszystko dziś idzie źle, wszystko, mówię ci. Rozchorował się mój partner, w ciągu dwóch dni pewnie nie wyzdrowieje i na premierze będę grać z jego dublerem, a przecież go nie znoszę! W dodatku dzwoniła Karola i, wyobraź sobie, wymyśliła, że podrzuci nam dzieci na dwa tygodnie. Dwa tygodnie! Bo niby ma prawo, rodzinny dom i w ogóle. Matko, pewnie, może tu wracać, kiedy chce, ale my jesteśmy jej rodzeństwem, a nie zespołem darmowych nianiek! Werka? Co tak milczysz?

– Malwa? – spytała Sara i zdziwiła się na dźwięk swojego głosu, który zabrzmiał obco, łamliwie. Malwina zerknęła na nią szarozielonymi oczyma. Sara w ostrym świetle dostrzegła w ich kącikach ślady pierwszych zmarszczek. I chociaż tuż za nią płonął ogień, trzaskały szczapy, czuła, jak powoli wypełnia ją zimno, jak od serca płynie wraz z krwią do każdej części ciała.

– Hm? Co jest?

– Nic – odparła po chwili, wstając z podłogi, nie patrząc na Malwinę, bo to bolało, chociaż nie powinno. – Już nic.

Ruszyła do przedpokoju, minęła wieszaki z płaszcami i szafkę na buty, szarpnęła za klamkę. Wyszła na deszcz i wiatr bosa, ubrana tylko w dres.

– Dokąd idziesz, ty wariatko?! Bez parasola? Bez butów!?! – krzyknęła za nią Malwina, stając na progu. – Wracaj tu!

Sara nie spojrzała za siebie, przeszła przez podwórko, minęła klomby i starannie wytyczone rabaty z kwiatami, przecięła zadbane trawnik. Furtka wciąż się zacinała, trzeba było odrobinę ją unieść i dopiero wtedy mocno szarpnąć, żeby zamek zaskoczył. Malwina jeszcze coś krzyczała, ale wiatr zagłuszał jej słowa. Ubranie i włosy lepiły się do skóry, drobne kamyczki raniły stopy. Przyspieszyła kroku, pobiegła w stronę lasu, a deszcz stawał się coraz zimniejszy. W końcu zamiast niego zaczął padać śnieg. Płatki osiadały na gałęziach drzew i na włosach Sary, pokrywały ziemię. Nie minęła chwila, a cały świat utonął w bieli. Niebo nie było już czarne, poszarzało, a na tle siwych chmur krążyły kruki – wszystko było bielą, czernią i szarością. Ciernie martwego krzewu przecięły rękę Sary, na śnieg padły trzy krople krwi. Gdzieś daleko zawył wilk.

Umrzesz tutaj. Nikt nie wyjdzie żywy z tego lasu. Kruki wydziobią ci oczy, wilki rozszarpią ciało.

Strach narastał, ślepa panika pchnęła ją do szaleńczego pędu, spychając na dalszy plan zmęczenie, pragnienie i mróz przenikający aż do kości. Gałęzie chlastały ją po twarzy, wplątywały się we włosy, korzenie nakryte czapami śniegu utrudniały bieg, kolczaste krzaki chwytaly brzeg sukni i poły długiego płaszcza. Sara potknęła się, stoczyła ze zbocza i wpadła prosto w zaspę. Rozkaszała się, wypluła śnieg, dopiero teraz w pełni poczuła zimno: dłonie miała już sine od mrozu. Gdy uniosła głowę, zobaczyła dziwną konstrukcję, drewniany dom połączony ze skałą, jakby z niej wyrastający. W oknach tańczył zachęcający blask ognia.

Wycie wilka rozległo się ponownie, tym razem bliżej, kruki zaś obsiadły pobliskie drzewa i utkwily w Sarze spojrzenia paciorkowatych, ciemnych oczu. Lodowaty powiew wiatru sypnął jej śniegiem prosto w twarz. Omal nie zerwała się, aby podbiec do domku i zacząć tłuc w drzwi.

– Nie umrę – szepnęła zamiast tego, spoglądając na swoje krwawiące, przemarzniete dłonie. Czego się boisz, Saro? Zimnego wiatru, wiejącego i milknącego na twoje żądanie? Kruków przynależących do powietrza, które uczyni to, czego zażadasz? Zimy, twojej pory roku? Stada wygłodniałych wilków? Zabijesz je jednym ruchem ręki!

Mogłaby odwrócić się i odejść w las, odrzucić swoją rolę, zniszczyć tę wizję, tak samo jak dwie poprzednie, ale wtedy przeszłaby tylko do kolejnego snu, kolejnej pułapki. Wpatrywała się więc intensywnie we własną skórę, aż fioletowe linie powróciły i zaczęły piąć się w górę, po nadgarstkach, ku ramionom. Kruki rzuciły się na nią z ochrypłym krakaniem, po czym spadły na ziemię, jakby w locie podcięto im skrzydła.

– Sara Weronika Sokolska – powiedziała głośno. – Pierwsza Czarownica Polanii. Jestem. Żyję. Nie lękam się. Nie pragnę.

Nie czuła już chłodu, znów miała na sobie wojskowe spodnie i szary podkoszulek, a jej bladą twarz znaczyły fioletowe spirale, zaklęcia ochronne wypisane na ciele. Zamknęła oczy, uniosła się w powietrze, ponad zalegające wokół czapy śniegu. Kłamstwo. Oszustwo. Pułapka. Nierówne chodniki, stare kamienice, linie tramwajowe przecinające miasto, podświetlone symbole supermarketów, dźwięk hejnału,

wiekowe mury Wawelu, wielojęzyczny tłum, zieleń Plant, to wszystko było prawdziwe.

Grube podeszwy glanów uderzyły o bruk. Sara otworzyła oczy. Stała na krakowskim Rynku, nie był to jednak ten Rynek, który знаła, którego obraz w każdej chwili mogła odtworzyć w wyobraźni. Znikły restauracje i sklepy, nigdzie nie było posągu Mickiewicza, Sukiennice wyglądały zupełnie inaczej. Wieża ratuszowa nie wznosiła się samotna i wąska, przylegały do niej inne gmachy, na płycie Rynku stały kramy i ławy. Sara dostrzegła także nieznane sobie budynki.

– To Wielka Waga – przemówił ktoś z tyłu. Czarownica odwróciła się. Mężczyzna stał w odległości kilku kroków od niej. Był średniego wzrostu, potężnie zbudowany, raczej umięśniony niż gruby. Oczy miał okrągłe, ciemne, nos wydatny, usta prawie ginęły pod bujnymi, posiwiałymi wąsami. Kciuki zatknął za pas, poły czerwonego kaftana opadały mu do połowy łydek. – Takim zapamiętałem mój Kraków.

– Ale takim nie pozostał – odparła. Budynki zafalowały, niektóre znikły, inne zaczęły się zmieniać, zmaterializowały się stoliki, krzesła i parasole, szyldy sklepów, banków, księgarni. Ta przemiana wymagała znacznie mniej wysiłku, niż Sara oczekiwała, jakby to miejsce czekało tylko na odpowiedni impuls. Mężczyzna rozejrzał się wokół, na jego twarzy pojawił się smutek. Powoli pokręcił głową.

– Żałuję tego.

– Kwestia gustu – burknęła Sara, marszcząc brwi. – Jak ja tego w was nie znoszę, kurczowego trzymania się minionego. Świat idzie na przód. Nie będzie czekał i nie można go zatrzymać, Janie Twardowski.

– Za moich czasów niewiasty były mniej bezczelne.

– Za twoich czasów wierzono, że Księżyc zrobiono z sera.

Najpotężniejszy ze wszystkich zapamiętanych czarowników Polanii, ten, który zwodził diabły i pokonał śmierć. Twórca artefaktów, władający magią, po jaką nikt później nie odważył się sięgnąć. Prawdopodobnie co najmniej dwukrotnie potężniejszy od Sary, w dodatku znajdujący się na własnym terenie, dzięki lustru zapewne wiedzący o niej znacznie więcej, niż chciałaby zdradzić. Mimo to był taki...

– ...żałosny – dokończyła na głos. Jeśli Twardowski poczuł się obrażony, nie dał tego po sobie poznać. – Niektórzy mówią, że zginąłeś. Inni, że straciłeś duszę. Są też tacy, którzy twierdzą, że skoro

mogłeś pokonać śmierć, to żyjesz gdzieś daleko. I jest legenda...

– O kogucie i Księżycu.

– Wiesz, bo wiedzieli ci, którzy spojrzeli w Księżycowe Zwierciadło – domyśliła się. Nawet mówił zrozumiale, chociaż ostatni raz kroczył po Europie w XVI wieku. Przemiana Rynku mu się nie spodobała, lecz też nie był nią zaskoczony. Jak wiele zdążył dowiedzieć się o samej Sarze? – W tej legendzie kryje się trochę prawdy. Naprawdę zdołałeś uciec diabłu. Na drugą stronę lustra.

Zaś wszyscy ci, którzy w nie spoglądali, którzy mogli odkryć jego sekret, ginęli bądź popadali w szaleństwo. Wszyscy sądzili, że muszą nagiąć do swojej woli potężny i niebezpieczny artefakt. Nie wiedzieli, że zamiast tego powinni stawić czoła najpotężniejszemu czarnoksiężnikowi Polanii.

Twardowski podszedł bliżej i zaoferował Sarze ramię. Czarownica się zawahała, w końcu jednak przyjęła propozycję i pozwoliła czarnoksiężnikowi poprowadzić ku Sukiennicom, świeżo odrestaurowanym, wprost z początku XXI wieku. Milczenie Twardowskiego sprawiało, że narastała w niej irytacja. Kilkakrotnie była bliska rzucenia złośliwego komentarza, za każdym razem jednak gryzła się w język. Weszli do budynku, zatrzymali się tuż pod miejscem, gdzie powinien wisieć Nóż Dwóch Braci, a gdy Sara zadarła głowę, by na niego spojrzeć, zobaczyła czarną dziurę murze, z której wypływała ciemna maź. Odruchowo zrobiła krok do tyłu, w obawie, że to paskudztwo zaraz spadnie prosto na nią.

– Czy nie po to spojrzałaś w moje lustro, Saro Weroniko Sokolska, Pierwsza Czarownico Polanii? – spytał Twardowski. – By poznać swego wroga, wroga mojego miasta, by dowiedzieć się, jak stawić mu czoła?

– Poluje na mnie – przyznała bezwiednie, lecz zaraz zacisnęła usta, zła na samą siebie za to wyznanie. Wściekała się już wcześniej, gdy z nią pogrywał, gdy wystrychnął ją na dudka, ale dopiero ta noc, kiedy była zwierzyną, a nie łowcą, obudziła w niej prawdziwy gniew.

– Ty jedna zostałaś.

– Co?

– Nóż przepadł – wyjaśnił Twardowski, wskazując ciemność kłębiącą się nad nimi. – Zostało puste miejsce, czekające na wypełnienie, na wyznaczenie nowego strażnika. Nie ma kamienia. Nie ma świątyni.

Smok zbyt jest słaby, by pełnić służbę. Jedna już tylko została osłona: ty, ostatnia w długim szeregu. Wszystkie nici zbiegają się do ciebie, wiążą cię i nie pozwalają opuścić miasta. Musisz o nie walczyć i wygrać bądź podzielić jego los, stać się własnością czarnego króla.

Sara przez chwilę w milczeniu trawiła tę informację. Później zaklęła szpetnie i kopnęła w ścianę. Sama przed sobą musiała jednak przyznać, że w głębi duszy o tym wiedziała.

– To się wpakowałam – powiedziała z goryczą. – Tak bardzo nie chciałam... wpaść w kolejną pułapkę.

Oparła czoło o zimny mur i spróbowała sięgnąć ku aurze krakowskiego Rynku, lecz napotkała opór, jak gdyby starała się dotknąć czegoś zbyt dalekiego. Pułapka, przypomniała sobie zaraz. To było tylko odbicie, lustrzany świat, miejsce stworzone przez Twardowskiego. Zmieniła obraz, lecz on nadal pozostawał zaledwie kopią. Tędy nigdy nie chodzili ludzie, nie próbowali tu zarobić na życie, nie było kłótni, wyznań i pocałunków, nie było Hołdu Pruskiego ani emocji towarzyszących obserwacji nocnego nieba, rozświetlonego fajerwerkami, rytuału witającego Nowy Rok. To miejsce pozostawało martwe.

– Przynajmniej nie jestem uwięziona w cholernym lustrze – pocieszyła się, zaraz jednak zerknęła na milczącego Twardowskiego. – Jestem? Bo jeśli tak, to przysięgam, że...

– Nie – zapewnił. – Możesz jednak zostać, jeśli takie jest twoje życzenie. Nie będziesz musiała walczyć. Tu nigdy cię nie znajdzie.

– Wielkie dzięki, nie mam ochoty znów być pochowaną za życia – parsknęła Sara. Wyszła z budynku na zewnątrz. Za sobą słyszała kroki Twardowskiego. Jak zła była alternatywa, skoro postanowił skryć się w sztucznym świetle? Stała na zewnątrz, spojrzała na kościelne wieże, z których nigdy nie popłynęły dźwięki hejnału. – Dlaczego tu jestem?

– Wiesz przecież.

– Wiem, dlaczego spojrzałam w Księżycowe Zwierciadło – sprostowała. – Chociaż uwierz, nie podobał mi się ten pomysł. Nie spodziewałam się niczego miłego.

Twardowski uśmiechnął się, jednak w jego oczach nie było radości. Pozostały ciemne, nieruchome, równie martwe jak odbicie Rynku. Był potężny, przypomniała sobie Sara, ale nikt nigdy nie twierdził, że dobry. Nie bez powodów zapamiętano go jako czarnoksiężnika, nie

czarodzieja.

– Ciebie zwierciadło nie próbowało opętać ni zwieść, skoro wymknęłaś się z sidła dawnych bogów, lecz uwięzić i zniszczyć, boś niebezpieczna. Rzuciło ci w twarz to, co kryje serce.

– Zdaniem twojego lustreczka chciałabym, żeby jakaś nastolatka grzebała mi w szafie? – spytała Sara z niedowierzaniem. – Serio? Nie chcę takiego życia. Nigdy nie chciałam. Twoje potężne Księżycowe Zwierciadło pomyliło się, Mistrzu!

– Pragniesz nie pamiętać.

– Bzdura – ucięła krótko. – To było łatwe, tak głupio łatwe, wyrwanie się stamtąd. Jeśli to wszystko, co twoje lustro ma do pokazania, nie rozumiem, dlaczego uległo mu już tak wielu.

– Nie zachowuj się jak dziecię, więdźmo – skarcił ją Twardowski, w jego głosie po raz pierwszy zabrzmiały ostrzejsze nuty. – To nie przystoi. Możesz skrywać prawdę sama przed sobą, lecz lustra są bezlitosne. Żałujesz, że przeniosłaś przez ogień pamięć ich twarzy i mocy.

Sara zacisnęła zęby. W przeszłości wielokrotnie zarzucano jej, że zachowuje się jak rozwydrzone dziecko – szczególnie często robił to Julian. Nigdy dotąd nie przejmowała się tymi opiniami, jednak w ustach wiekowego czarnoksiężnika zarzut brzmiał jakby poważniej. Patrzył na nią ze spokojem, a jego oczy były równie ciemne i nieruchome jak oczy boginki Mareny. Zapomnieć o czarnych tęczęwkach i fałszywym uśmiechu, o chłodzie, zapomnieć i zostać zapomnianą. Porzucić koszmary, nie strzec się przed pragnieniami i każdą słabością. Gdyby tak się stało, może faktycznie wciąż mieszkałaby na bałtyckim wybrzeżu.

– Nie – stwierdziła w końcu. – To nie byłoby życie dla mnie. Nie chcę tego.

– Sara Weronika Sokolska, Pierwsza Polanii, nie mogłaby tak żyć – przyznał Twardowski. – Za dobrze wiesz, kim jesteś, by można było uwięzić cię w lustrzanym świecie. I umknęłabyś, a lustro uznałoby porażkę, bo nie lękasz się dość mocno, bo nie może sięgnąć do twych pragnień. Lecz jesteś, kim jesteś, ostatnią z mych następców, czarownicą tego miasta, mego miasta, które Księżycowe Zwierciadło ma chronić, a nie zdoła, jeśli inni strażnicy przepadli. Dlatego wezwałem cię do siebie, dlatego lustro nagnie się do twej woli.

Albo dlatego, że inaczej zostałyby zniszczone, a ty wraz z nim, uzupełniła Sara w myślach. Nie wierzyła Twardowskiemu. Zaczynała podejrzewać, że celem stworzenia Księżykowego Zwierciadła nie była ochrona Krakowa, lecz posiadanie potężnego artefaktu. Czarnoksiężnik przygotował dla siebie schronienie, drogę ucieczki. Lustro, broniąc miasta, samo było chronione. Znaleźli się tacy, co zadbali, by nie trafiło w niepowołane ręce. A jeśli ktoś próbował wykorzystać moc lustra, jeśli zachodziła groźba, że odkryje sekret, istniała jeszcze klątwa – i taki nieszczęśnik umierał, był pochłaniany przez Zwierciadło bądź pogrążał się w szaleństwie, a jego moc, jego wiedza, przechodziła na własność czarnoksiężnika. Może naprawdę Twardowski był gotów oddać do jej dyspozycji magię artefaktu, najpierw jednak próbował ją złamać i uwięzić. Gdyby osiągnął cel, to czy Sara zostałaby odesłana jak kukielka, puste naczynie dla mocy, by walczyć z nocnym królem?

– Jesteś naprawdę bardzo sprytnym czarnoksiężnikiem – mruknęła. W odpowiedzi Twardowski złożył przed nią teatralny ukłon.

– Ty zaś silną wiedźmą.

– Moc czasami nie wystarcza.

Kolejne słowa – tobie nie wystarczyła – zawisły między nimi niewypowiedziane.

– Nie myślę tylko o mocy. Idź, czarownico. Zdobądź odpowiedzi.

Chciała zapytać, w jaki sposób, ale się powstrzymała. Twardowski najwyraźniej czekał, aż Sara poprosi o pomoc, jednak czarownica nie dała mu tej satysfakcji. Skoro zdołała zniszczyć wszystkie trzy wizje i bez trudu przemieniła obraz Rynku, nie potrzebowała instrukcji czarnoksiężnika. Przywołała więc wspomnienie niewyraźnego odbicia, białych włosów i uśmiechu, jedyne, co zapamiętała z twarzy nocnego króla. No dalej, pomyślała, pokaż mi. Już przed tobą stanął. Nie było odbicia cienia, a jedynie on. Daj mi coś. Cokolwiek, co pomoże zmasać mu z ust ten głupi uśmieszek.

Pozwoliła, by odnowione Sukiennice, kościelne wieże, kamienice i sylwetka Ratusza rozplynęły się. Powoli wykonała krok w tył, przechodząc z jednego miejsca i czasu do innego, tak samo jak nie do końca świadomie zrobiła to wcześniej. Za sobą słyszała gwar głosów, słońce padało z innej strony, kątem oka mogła złowić jakiś ruch.

– Tamten pałac... – powiedziała jeszcze, kiedy wizerunek Rynku

przed nią stawał się coraz mniej wyraźny, jak akwarela, na którą ktoś wylał wodę. – Może czasem żałuję, że pamiętam, ale tego nigdy bym nie chciała. Lustro popełniło błąd.

– To nie było życzenie, więdźmo – odparł Twardowski, a Rynek znikł całkowicie, a wraz z nim czarnoksiężnik. Sara usłyszała jednak kolejne słowa, ciche, dobiegające z bardzo daleka. – To był strach.

Gwar nasilił się, czarownica stała w wąskiej uliczce, skąd mogła obserwować plac handlowy, na którym roilo się od ludzi. To nie był Kraków: w strzępkach rozmów, docierających jej uszu, rozpoznała niemiecki. Odmienna wymowa, utrudniająca zrozumienie, mogła być spowodowana zarówno lokalnym akcentem, jak i przemianami, jakim język podlegał z biegiem czasu. Stroje ludzi wskazywały na to drugie. Sądząc po nich, lustro pokazywało Sarze wydarzenia, które miały miejsce nie później niż w drugiej połowie XIX wieku. Czyżby jej tajemniczy wróg był aż tak stary?

Czarownica zbliżyła się do wylotu zaułka, poszukując w tłumie charakterystycznych, białych włosów. Co jakiś czas ktoś przechodził tuż obok niej, nie dostrzegając drobnej, bladej kobiety, opartej o mur. Mijały kolejne minuty, a w Sarze wzbierała irytacja. Cierpliwość nigdy nie była jej mocną stroną. Co takiego miało stać się w tym brudnym, hałaśliwym i nieprzyjemnym miejscu, że lustro ją tu ściaęnęło? Mimo rozdrażnienia wciąż obserwowała tłum i wreszcie dostrzegła coś niezwyklego: chłopiec w obszarpanych ubraniach, ze zniszczoną czapką wciśniętą na ciemne, nierówno obcięte włosy, okradał przechodniów, pomagając sobie przy tym magią. Zwinne ręce chłopca znikwały w cudzych kieszeniach, wyławiając z nich skarby, a iluzja skrywała poczynania złodziejaska. Czarodziej, uznała Sara, uważnie śledząc każdy ruch malca. Utalentowany czarodziej. Mógł mieć sześć, może siedem lat, i z pewnością nikt go nie uczył posługiwania się mocą. Odkąd w Europie zapłoneły stosy, magowie dokładali starań, aby wyszukiwać osoby obdarzone talentem i kontrolować je. Gdyby chłopiec miał nauczyciela, nie chodziłby obdarty i na pewno nie kradłby na ulicach.

Czy to był nocny król? Nie mogła wyczuć siły jego magii, nie w martwym świecie lustra. Barwa włosów się nie zgadzała, ale mógł ją zmienić upływ lat. Skoro ten człowiek pochodził z niemieckiego miasta, mogło się wydawać dziwne, że na teren swojego działania

wybrał właśnie Kraków, lecz stolica Polanii należała do tych nielicznych miejsc, w których pewne moce były najsilniejsze, a zasłona między światami najcieńsza.

Chłopiec sięgnął do kieszeni wysokiego, chudego mężczyzny, lecz niespodziewanie koścista ręka zacisnęła się na jego nadgarstku. Złodziejasek zaczął się szarpać, szybko jednak zaprzestał walki i bezwładnie zawisł w uścisku swej niedoszłej ofiary, zapewne potraktowany zaklęciem. Czarodziej okrył dziecko płaszczem i powlókł je ku zaułkowi, u wylotu którego stała Sara. Nikt nie zwrócił uwagi na tę scenę, może za sprawą magii, a może po prostu nikogo nie zainteresował ulicznik, naprzykrzający się czarodziejowi. Wiedźma miała okazję lepiej im się przyjrzeć, gdy ją mijali.

Mężczyzna sprawiał odpychające wrażenie ze swoimi zapadniętymi oczodołami, ziemistą cerą i przeraźliwą chudością. Chłopiec był starszy niż przypuszczała, ale drobny i niedożywiony. Ocknął się, kiedy przechodzili obok Sary i wymierzył kopniaka czarodziejowi, który najwyraźniej nie oczekiwał, że dziecko zdoła tak szybko pokonać zaklęcie. Spanikowany chłopak przyzwał magię, dziką, nieukształtowaną. W powietrzu zabłyśły czerń i czerwień – a oczy chłopca zmieniły barwę. Gdzieś we wnętrzu Sary rozlał się chłód. Nie miała już wątpliwości. To dziecko było nocnym królem i zostało poczęte z demonem. Mieszaniec. Diabelski pomiot. Czarodziej prawdopodobnie rozpoznał jego naturę i chciał zakończyć żywot podrzutka, stworzenia, które nigdy nie powinno było się narodzić i chodzić po świecie. Zbytnią pewność siebie zgubiła tak wielu...

Mężczyzna warknął coś. Sara, mimo akcentu, zrozumiała znaczenie słów. Uspokój się, głupcze. Wąskie palce zacisnęły się mocno na ramieniu chłopca, czarodziej potrząsnął nim, wprawiając w ruch drobne ciało. Pragniesz zmarnować swoje dziedzictwo?

Czarnoksiężnik, zrozumiała Sara. Cholerny czarnoksiężnik. Zabrał chłopca nie po to, by go zabić, ale by uczyć.

I w tym momencie przerażony chłopak, rozglądając się w poszukiwaniu drogi ucieczki, spojrzał wprost na czarownicę. Sara zastygła, patrząc w jego oczy, szkarłat powoli ustępujący czerni. Nie powinien był jej zobaczyć. Lustro przecież nie mogło naprawdę przenieść w przeszłość, pokazywało zaledwie odbicie tego, co już się wydarzyło. A jednak on spoglądał poprzez czas i przestrzeń, przez tafle

przekłętę zwierciadła – ale może nie na nią? Obejrzała się, lecz nim zdążyła sprawdzić, czy ktoś nie nadchodzi uliczką, wszystko utonęło w czerni. Lustro zabierało ją w inne miejsce, inny czas.

Tym razem było to pomieszczenie pozbawione okien, oświetlane przez lampy. Nieliczne meble przesunięto pod ściany. Czarnoksiężnik stał na skraju kręgu czerwonych znaków, nakreślonych na podłodze – Sara natychmiast odgadła, że wymalowano je krwią – i recytował zaklęcie. Pośrodku kręgu, związany i półnagi, otoczony lustrami, ustawionymi tuż poza granicą run, leżał półprzytomny, młody mężczyzna. Na obu przedramionach miał rany, świadczące o tym, że to jego krwi użył czarnoksiężnik.

W niczym nie przypominał chłopca, który kradł na targu jednego z niemieckich miast. Miał długie, ciemne włosy i policzki pokryte kilkudniowym zarostem. Sara sama nie wiedziała, jak go rozpoznała, ale to musiał być on: dziecko z krwi człowieka i demona, uczeń czarnoksiężnika, ofiara dla pobratymców rodzica. Spojrzała na mężczyznę, który przyjął chłopca pod swoją opiekę, pozwolił jego mocy się rozwijać, a teraz składał go w ofierze, używając najmroczniejszej ze sztuk. Czarnoksiężnik zasługiwał na śmierć: gdyby działał w jej czasach i w jej kraju, sama wydałaby i wykonała wyrok na mocy nigdy nieanulowanych zapisów, czyniących Pierwszego sędzią tych, którzy sięgają po czarną magię i przyzywają istoty z innego świata. W XXI wieku po tym mężczyźnie pozostał jednak tylko pył...

...jednak czy aby na pewno? Nocny król zdołał w jakiś sposób przetrwać. Mogła się pomylić. Być może to właśnie on stał przed nią, to w jego zapadnięte oczy patrzyła, to on pochylił się nad młodzieńcem, unosząc nóż, wypowiadając ostatnie słowa inkantacji. W odbitym świetle nie mogła wyczuć magii, była jednak pewna, że otaczała ona obu mężczyzn. Nie odwróciła głowy, zdecydowana patrzeć do samego końca. To już się wydarzyło. Niczego nie mogła zmienić, musiała natomiast zobaczyć wszystko, co się stało. Gdzieś z tyłu dobiegł trzask, wyważone drzwi otworzyły się, zaś na mężczyznę trzymającego nóż z krzykiem skoczył młody, jasnowłosy człowiek. Ostrze, które miało przebić serce związanego chłopaka, wbiło się w obojczyk, rozległ się krzyk, a czarnoksiężnik padł na podłogę z poderżniętym gardłem.

– Klaus!

Blondyn skoczył do kręgu, rozciął więzy i objął rannego. Sara z

zaskoczeniem zauważyła, że włosy niedoszłej ofiary w przeciągu kilku sekund pobielały. Nie myliła się.

– Ole? – wymruczał Klaus, unosząc powieki. Krew spływała po jego nagiej piersi. – Czy ja... umieram?

– Nie! – zaprotestował gwałtownie Ole. Mocniej objął przyjaciela, czarownica zaś wstrzymała oddech, bo uczeń czarnoksiężnika nie patrzył na swojego wybawiciela, spoglądał prosto na nią, do niej kierował swoje pytanie. – Zabiłem go. Jesteś bezpieczny. Jesteśmy bezpieczni.

– Zabiłeś... swojego ojca? – powtórzył z niedowierzaniem Klaus. Sara zerknęła na ciało, które dosłownie obróciło się w proch. Gdy podniosła głowę, świat wokół niej znów uległ przemianie. Znikła pracownia, a czarownica znalazła się pomiędzy drzewami, pod nocnym niebem. Natychmiast rozpoznała to miejsce, choć w ciągu wielu dziesięcioleci uległo zmianom. To były jednak te same klony, nawet jeżeli młodsze, ta sama kamienna fontanna, te same ścieżki. Brakowało pomnika Stanisława Łukomskiego, postawionego pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku, pod drzewami stały ciężkie ławy pozbawione oparcia, a nie drewniane ławeczki, pomalowane na zielono. Kraków. Park Łukomskiego, choć pewnie nie nadano mu jeszcze tej nazwy – wraz z nią pojawił się pomnik.

W ciemnościach dostrzegła jasne włosy – biały kucyk Klause, złociste loki Olego. Postarzeliby się od dnia, w którym zginął czarnoksiężnik, było im bliżej trzydziestki niż dwudziestki. Obaj mieli na sobie identyczne, ciemne ubrania. Dopiero gdy podeszli bliżej, czarownica zobaczyła, że ich płaszcze są podarte i pokryte zakrzepłą krwią. Twarz Klause znaczyła świeża rana, ślad biegł poziomo od połowy lewego policzka przez nos aż do prawego ucha. Utykając, doszedł do jednej z ław i opadł na nią bezsilnie.

– Nie masz już energii – westchnął Ole, stając obok przyjaciela. Miał splątaną brodę, włosy w nieładzie i rozdartą koszulę, mimo to wyglądał lepiej niż Klaus. – Rzuciłeś całą moc.

– Tak – przyznał Klaus, zamknąwszy oczy. – Ale było warto. Zakon nie będzie nas już ścigał.

Najwyraźniej mówił o Zakonie Cienia. Do drugiej połowy XX wieku, kiedy to powstało Stowarzyszenie Europejskie i narodowe Łoże, ogłoszono powszechne rejestry, a magowie zaczęli zwracać uwagę na

konieczność przestrzegania zasad, to właśnie członkowie tego Zakonu polowali na czarnoksiężników⁴.

– Tak, nie będzie – wyszeptał Ole. Jego twarz wykrzywiła się, jakby poczuł nagły ból. Ruchem tak szybkim, że Sara ledwo go zauważyła, wydobył sztylet i...

...zatopił go w piersi Klausa.

Z ust wiedźmy wydobył się mimowolny okrzyk. Klaus otworzył oczy, które zabłyśły szkarłatem. Zanim zdążył spaść z ławki, zamknęły się wokół niego ramiona towarzysza. Ole trzymał go w uścisku, tak samo jak tamtego dnia, kiedy Klaus krwawił, zraniony przez czarnoksiężnika. Po przystojnej, wąskiej twarzy spływały łzy, znikając w jasnej brodzie.

– Przepraszam – powiedział łamiącym się głosem. – Przepraszam. Muszę zakończyć, co przerwałem. Przepraszam.

I wypowiedział słowa tej samej inkantacji, którą kiedyś zakłócił, pochylając się nad związanym chłopakiem. Zabił wtedy czarnoksiężnika, by nie zdążył on dokończyć rytuału. Sara wzdrygnęła się, mogłaby przysiąc, że chociaż nie powinna czuć magii w odbiciu, to moc zdołała musnąć ją przez czas i przestrzeń. Klausa pochłaniała ciemność, Ole jednak wciąż obejmował bezwładne ciało i, nie przestając płakać, kołysał je, jakby był ojcem, trzymającym w ramionach martwe dziecko. Czarownica podeszła bliżej i stanęła tuż przy nich, patrząc na rękonoż wystającą z ciała. Po jej plecach przebiegł dreszcz, bo rozpoznała sztylet: ten sam, który przed trzynastu laty dostała od Kaliny, zdolny do pochłaniania i przenoszenia magii. Ulubione narzędzie czarodziejki.

Klaus jęknął. Tym razem Sara nie była zaskoczona, gdy ponad ramieniem dawnego przyjaciela spojrział prosto na nią.

– Umieram? – wykrztusił. Jego ciało powoli rozpływało się w mroku.

– Tak – odparła. – Ale wrócisz.

Niestety. Rytuał, przerwany i dokończony przez syna czarnoksiężnika, miał oddać Klausa ciemności, ofiarować jego życie demonom. Lecz ponieważ był on tylko po części człowiekiem i już stanowił ich własność, dopełnienie ceremonii nie zniszczyło go, ale dało mu dostęp do demonicznego dziedzictwa. Został przywołany z powrotem i to ona musiała zniszczyć go na dobre.

Umarł. I powrócił. Rozdarło dla niego zasłonę między światami.

Obraz znowu się zmienił. Nie opuściła Parku Łukomskiego, ale teraz nocne niebo było zachmurzone, a ścieżka zmieniła się w chodnik, wzdłuż którego ustawiono drewniane ławki. Na jednej z nich stała ona sama: w spranej koszulce i poszarpanych dżinsach z nierówno uciętymi nogawkami, prawą skróconą tuż nad kolanem, drugą w połowie łydki. Pamiętała tę noc, rok temu, kiedy pozbyła się cieni, zamieszkujących piwnicę kamienicy przeznaczonej do rozbiórki, a potem przysłała w to miejsce, odurzona magią, bo to był czas dobry dla czarownic: wiał wiatr, światło Księżyca czasem przebijało się przez chmury, a Sara spijała jego moc. Nieostrożna, chłonna siłę jak gąbka, nie dostrzegła wtedy tego, co zobaczyła teraz: sylwetki pomiędzy drzewami.

Czarownica weszła pomiędzy krzewy bzu, dbając, by nie być widzianą. Skoro nocny król już trzy razy zdołał ją zobaczyć, mimo że sama była teraz tylko odbiciem w Zwierciadle, mogło mu się to udać ponownie. Tak, to on stał w cieniu kasztana, nie do końca ludzki, utkany z cieni jak stwór, z którym przyszło jej walczyć o lustro, wciąż jednak rozpoznawalny i dziwnie znajomy. Uniósł rękę, w której kłębiła się ciemność. Sara wiedziała, że nie zaatakował, pamiętała, że opuściła park nie niepokojona, by później długo wędrować po mieście, mimo to serce podeszło jej do gardła. Nie zauważyła go. Nie wyczuła niebezpieczeństwa. Patrzyła na swoje przeszłe ja, zrelaksowane, wyciągające ramiona ku niebu, kiedy wróg czaił się tak blisko, i przeklinała własną głupotę i nieostrożność. Tymczasem tamta Sara odwróciła się, z dłońmi pełnymi białego blasku. I wyciągnięta ręka nocnego króla opadła, czarne sploty spłynęły z palców i rozpląnęły się w niebyt, cienie otaczające jego postać znikły, wyglądał teraz zupełnie jak zwykły człowiek. Czarownica przez chwilę wodziła wzrokiem pomiędzy nim a sobą z przeszłości, nim zrozumiała, co się stało. Rozpoznał ją. Rozpoznał twarz, którą widział, umierając, i wytrąciło go to z równowagi do tego stopnia, że zrezygnował z doskonałej okazji do ataku.

Przed oczami Sary zaczęły przesuwać się kolejne obrazy, niewyraźne, szybko odpływające w niebyt. Wygasające światła miasta, gęsty, ruchomy mrok pochłaniający ulice, istoty o jarzących się ślepiach, cienie, budynki błyskawicznie zamieniające się w ruiny. Pękający chodnik, moc sącząca się przez szczelinę. Brama...

Ogień.

Meve⁵.

Już wiem.

Dziękuję.

Świat rozsypał się jak rozbite lustro, w powietrzu zawirowały setki odłamków szkła.

Mogłaby przysiąc, że coś ukłuło ją najpierw w oko, a potem w serce.

W tym krótkim momencie, dzielącym przebudzenie od otwarcia oczu, Sara zdążyła się zorientować, że po pierwsze: leży na łóżku, po drugie: nie powinna na tym łóżku leżeć, po trzecie: ktoś jeszcze przebywał w pomieszczeniu. Głęboko zakorzeniony odruch nakazywał zaatakować intruza, czarownica zmusiła się jednak do zachowania spokoju, próbując najpierw uporządkować myśli. W jej umyśle wciąż wirowały obrazy, niczym odłamki rozbitego szkła, z których każdy odbijał coś innego – białe wieże, ogień w kominku, włosy barwy starego złota, fragment twarzy Twardowskiego, krew plamiącą podłogę pracowni. Chociaż cudza obecność w sypialni drażniła, Sara wyczuwała aurę zamku, teraz wprawdzie zabarwioną niepokojem, lecz znajomą i kojącą po podróży na drugą stronę lustra. Skoro wciąż przebywała na Wawelu, mogła założyć, że ktokolwiek znajdował się w pokoju, nie był groźny.

Czarownica usiadła, a raczej spróbowała to zrobić, lecz zaraz znów opadła na poduszki z cichym jękiem. Była mocno osłabiona, zawroty głowy dopadły ją, gdy tylko zmieniła pozycję. W dodatku na krześle przy oknie siedział Krystian Chmielewski, jak zwykle z książką w ręku, a chociaż wyglądał jak niezdarny, stereotypowy profesor z uniwersytetu, zdecydowanie nie podpadał po kategorię „niegroźny”. Gdy usłyszał jęk, spojrzał na Sarę ze zdumieniem.

– Obudziłaś się!

– Zauważyłam – wychrypiała z trudem. Miała ochotę powiedzieć coś jeszcze, na przykład wygłosić parę obelg i złośliwych uwag, ale nie zdołała. Krystian rzucił książkę na podłogę (co zaszokowało czarownicę, bo wiedziała, że Chmielewski traktuje każdą pozycję w swoim księgozbiorniku z niemal nabożnym szacunkiem), zabrał ze stolika wodę i podszedł do jej łóżka. Sara przyjęła szklanekę, ale omal

nie wypuściła jej z osłabionych rąk. Krystian cierpliwie poczekał, kiedy skończy pić.

– Zaczynaliśmy się poważnie martwić.

– O mnie? Jestem wzruszona – zapewniła, podciągając się na łokciach do pozycji półsiedzącej. Wciąż miała na sobie szarą podkoszulkę i spodnie moro, lecz znaki, którymi pokryła ramiona i dekolt, znikły. Wypaliły się, gdy walczyła z mocą Księżycowego Zwierciadła...

Zwierciadło! Jak Chmielewski dostał się do jej sypialni, zabezpieczonej zaklęciami, i gdzie podziało się lustro?

– Jeśli zabraliście lustro, macie godzinę na jego oddanie. Potem polecą głowy.

– Straszliwa groźba, biorąc pod uwagę, że ledwo się ruszasz, Piekielnico – westchnął czarodziej, ale zaraz wskazał ręką na kształt oparty o ścianę, okryty białym płaszczem. – Jest tutaj. Lidia zakryła je natychmiast, gdy weszliśmy, a na samą wzmiankę o możliwości jego przeniesienia król dostał szału. Zapowiedział, że każdy, kto spróbuje zabrać coś z zamku, może od razu szykować się do wakacji w więziennej celi. Zaczynam wierzyć w pogłoski, głoszące, że to ty go wychowałeś.

Sara przypatrywała się mu z niezrozumieniem. Lidia? Julian, dostający szału, ale nie z powodu tego, co zrobiła lub powiedziała ona?

– Jak się tu dostaliście? I, do licha, co wy w ogóle robicie w Krakowie? Nie powinienesz teraz pisać jakichś poważnych, niezrozumiałych artykułów do czasopism, a ona... no nie wiem, siedzieć u kosmetyczki?

– Zachowujesz się jak dziecko – powiedział Chmielewski z irytacją i przed oczyma Sary natychmiast stanęła postać Twardowskiego, ostre, surowe rysy, tak niepodobne do łagodnej twarzy Krystiana. Ich tęczówki miały jednak tę samą barwę, a rozzłoszczony czarodziej patrzył przez chwilę zupełnie tak, jak Mistrz Jan. To porównanie zmroziło czarownicę. – Naprawdę jesteś tak głupia i do tego stopnia nas nie doceniasz, czy tylko udajesz?

Sara aż za dobrze wiedziała, jak kiepskim pomysłem jest niedocenianie przeciwników i zdawała sobie sprawę z tego, że zarówno Krystian, jak i Lidia są niebezpieczni. W jej zachowaniu było jednak tyle samo starannej kalkulacji – dzięki niemu to oni lekceważyli ją – co

niechęci do członków Łoży oraz wszelkich konwenansów. Wyjaśnianie tego nie wydawało się jednak najlepszym pomysłem, toteż czarownica ograniczyła się do wzruszenia ramionami.

– Co tu robisz? – powtórzyła.

– Czekam, aż Śpiąca Królowna zechce przebudzić się ze snu – burknął. – Gratuluję zabezpieczeń, przez trzy dni próbowaliśmy się przebić. Udało się dopiero parę godzin temu. Kiedy weszliśmy, leżałaś nieprzytomna przed tym przeklętym lustrem.

– Trzy dni? Cholera. Jak wygląda sytuacja w mieście?

– Źle – skwitował krótko Krystian. – Co prawda twoi ptasi rycerze trochę pomogli. Zanim znów zamienili się w ptaki i odeszli, spacyfikowali sporo paskudnych istot. Oddziały specjalne i nasi dwoją się i troją, ale i tak jest coraz gorzej.

– Nasi? – spytała Sara podejrzliwie. Z rosnącym zdumieniem słuchała opowieści czarodzieja, z której wynikało, że Lidia po ich rozmowie natychmiast przyjechała do Krakowa. Miała pecha przybyć do miasta nocą. W drodze na zamek napadnięto ją dwukrotnie, spotkała dwóch widmowych rycerzy, na samym Wawelu zaś zastała komnaty Pierwszej zapieczętowane magią, której nie umiała samodzielnie pokonać. To wszystko zaniepokoiło Białą Czarodziejkę wystarczająco, by ściągnąć do miasta najpierw Krystiana, a kilka godzin i rozmów później – również członków Łoży. Negocjowała między innymi z dziekanem wydziału magicznego, Julianem i Smokiem Wawelskim. Przez ostatnie trzy dni rozdawano amulety, ostrzegano ludność, rzucano czary. Wyznaczono godzinę policyjną, a po zmroku ulice patrolowały większe grupy strażników. Mimo tych działań sytuacja pogarszała się, a część jednego z parków pochłonęła ciemność, nieustępująca nawet za dnia.

– Nie dostałem jeszcze raportu z dzisiejszej nocy – zakończył Krystian, kiwając ręką w stronę zabytkowego zegara, wskazującego godzinę siódmą trzydzieści sześć. – Wczoraj było mnóstwo zniszczeń i straciliśmy troje ludzi. Krakowianie masowo opuszczają miasto.

– I dobrze – westchnęła czarownica. Słuchała Chmielewskiego, wpatrzona w sufit i pochłonięta ponurymi myślami. Trzy dni. Chociaż sama myśl o tym przyprawiała Sarę o mdłości, była winna Lidii podziękowania. Jak wyglądałyby teraz krakowskie ulice, gdyby magowie nie przybyli z pomocą, gdy Pierwsza Polanii błędziła gdzieś

po drugiej stronie lustra? Było też coś jeszcze, coś, co spychała na samo dno świadomości. To się działo nie pierwszy raz. Było inne miasto ogarnięte paniką, inne noce, przynoszące kolejne ofiary, bo żadni ptasi rycerze nie cięli widmowymi mieczami niebezpiecznych stworów, a czarodzieje, nieliczni i niezorganizowani, zamykali się w domach, równie przerażeni jak zwykli ludzie. – Musimy odesłać stąd Juliana.

– Życzę powodzenia. Próbowaliśmy, ale masz bardzo zły wpływ na władcę. W odpowiedzi usłyszeliśmy, cytuję: „To mój cholerny zamek, moja cholerna stolica i moja cholerna wiedźma, więc nigdzie się nie ruszam!”. Bo powinienem chyba dodać, że chcieliśmy cię stąd wynieść, ale nie zdołaliśmy przejść z tobą przez drzwi. Ta magia ochronna to naprawdę kawał dobrej roboty. Nie sądziłem, że czarownica może stworzyć takie osłony.

Julian zazwyczaj pozwalał sobie na przekleństwa w obecności dwóch osób: jej i Kacpra Czartoryskiego. Skoro czynił to w szerszym towarzystwie, musiał być wyjątkowo wyprowadzony z równowagi.

– Wbrew temu, co sądzicie, bycie Pierwszą to nie tylko sprawa polityczna. W zamku moja moc jest największa. Poza miastem nie dałabym rady przygotować nawet połowy tych czarów – przyznała niechętnie. Ten rodzaj magii zastrzeżony był przede wszystkim dla czarodziejów. Wplotła zaklęcia w posłuszną jej aurę Wawelu, ale w żadnym innym miejscu, nawet na terenie Krakowa, nie uzyskałaby takich rezultatów.

Z trudem zwlekła się z łóżka i chwiejnym krokiem podeszła do lustra, ukrytego pod białym płaszczem. Krystian śledził ją niespokojnym spojrzeniem. Otworzył nawet usta, żeby coś powiedzieć, ale Sara, jakby przeczuwając, że zamierza się odezwać, popatrzyła na niego i pokazała mu język. Później uniosła rąbek jasnej tkaniny. Wciąż czuła moc Zwierciadła, ta jednak nie wydawała się już ani groźna, ani obca. Przez sam środek jasnej tafli biegła rysa. Sara mogłaby przysiąc, że brakuje kilku mikroskopijnych kawałków szkła.

– Ściągnij Lidzię i Juliana, dobrze? Mamy niewiele czasu, a musimy omówić parę spraw.

Lidia jak zawsze była odziana w biel, lecz zrezygnowała ze swych ulubionych zwiewnych sukienek i pantofelków na rzecz wąskich

spodni, tuniki oraz długich butów. Włosy, zazwyczaj rozpuszczone bądź zaczesane w kunsztowną fryzurę, zebrała w niedbały kucyk. Julian natomiast pozornie wyglądał jak zwykle, jednak bystre oczy Sary natychmiast zarejestrowały, że niebieska koszula króla jest pomięta, a jego twarz nosi ślady niewyspania. Po wejściu do sypialni czarownicy, która wciąż leżała w łóżku, pochłaniając czekoladowy batonik wyłowiony z szuflady, w milczeniu opadł na krzesło. Żadnych pretensji, tyrad, uszczypliwych uwag czy choćby subtelnych sugestii, że będzie miał coś niemiłego do powiedzenia, gdy tylko zostaną sami. W obecności Lidii i Krystiana wiedźma również darowała sobie komentarze. Nawet ona wiedziała, że na bezceremonialne traktowanie króla może pozwolić sobie jedynie na osobności.

– Nie byliśmy pewni, czy się obudzisz – stwierdziła Biała Czarodziejka, ledwo przekroczywszy próg. Prawdopodobnie miała ochotę powiedzieć coś znacznie mniej miłego, pohamowała się jednak ze względu na Juliana.

– Jestem pewna, że szalejesz z radości z powodu mojego przebudzenia – odparła Sara, wierzchem dłoni ocierając usta umorusane czekoladą. – Nie trać nadziei, mogę jeszcze nie dożyć jutrzejszego ranka.

– Co to ma znaczyć? – spytał Julian tonem, którego używał na ogół podczas bardzo oficjalnych rozmów i wobec osób, których szczególnie nie znosił, a dla których musiał pozostać choć pozornie uprzejmy. – Mówisz o kłątwie lustra Twardowskiego?

– Teraz to właściwie lustra Sokolskiej. Nieważne. Po zmroku wybieram się do Parku Łukomskiego.

– Park Łukomskiego jest odcięty od świata – zaprotestowała Lidia. – Próbowaliśmy się wczoraj przebić, żadnych rezultatów. Rozważaliśmy ponowienie ataku, ale to może być pułapka.

– To jest pułapka. Na mnie.

Zrozumiała to natychmiast, gdy tylko Krystian wspomniał o parku, nazwanym teraz Parkiem Augusta Stefana Łukomskiego na cześć dziadka Juliana, lecz kiedyś noszącym inną nazwę. Będzie tam czekał, w miejscu, w którym go zdradzono, w miejscu, w którym zginął i odrodził się w nowej postaci. Jeśli nocny król chciał zdobyć miasto dla siebie, przejąć nad nim niepodzielną władzę, musiał usunąć nadworną czarownicę. Zaś ona musiała stawić mu czoła: nie było drogi ucieczki.

Nie zdoła opuścić Krakowa, a jeśli spróbuje się ukryć, prędzej czy później zostanie znaleziona.

Chmielewski chciał coś powiedzieć, jednak ubiegł go Julian, który uciszył czarodzieja niecierpliwym gestem.

– Wydaje mi się, że wchodzenie prosto w pułapkę nie stanowi najlepszego rozwiązania.

– Stanowi jedyne możliwe rozwiązanie. Tylko mnie to coś przepuści. I tylko ja mam szansę. Nie patrz tak, Lidio, ile razy mam wyjaśniać, że tu chodzi o coś więcej niż moc? Zresztą, z całym szacunkiem, ciągle jestem silniejsza od ciebie.

Skibińska wyduła pogardliwie wargi, najwyraźniej uznając, że kłótnie o poziom mocy są w obecnej sytuacji niewskazane, a zarazem próbując okazać w jakiś sposób, że nie zgadza się ze stwierdzeniem czarownicy.

– Nie myśl, proszę, że szczególnie zmartwiłaby mnie twoja śmierć, ale uważam to za głupotę.

– To głupota, której ci zakazuję – uzupełnił Julian. Sara z trudem powstrzymała cisnące się na usta gniewne słowa. Ból głowy nasilał się i jedyne, czego chciała, to pozbyć się stąd króla, który niczego nie rozumiał, a wszystko utrudniał. Zaraz jednak przypomniała sobie ich ostatnią rozmowę. Mogłaś mi powiedzieć. Nie traktuj mnie jak małego dziecka, Sanika.

Mój kraj, moja stolica.

Nie był przemądrzałym, napuszonym chłopcem, którego spotkała wiele lat temu w apartamencie Kaliny, ani tym przerażonym nastolatkiem, koronowanym w parę miesięcy po tym, jak włożył do portfela nowiutki dowód osobisty. Może pora przestać traktować go jak dziecko. Tylko jak mu to wyjaśnić? Kto nie nosił w sobie magii, nie mógł pojąć jej prawideł, na pewno nie w pełni. Kto został wychowany na władcę, nie potrafił zrozumieć, że pewne rzeczy leżą poza jego kuratelą.

– Będę musiała prędzej czy później stanąć z nim do walki – powiedziała w końcu, patrząc prosto w oczy Juliana. – Jeśli nie przyjdę do niego, on przyjdzie po mnie. Lepiej, by stało się to teraz, gdy nie zebrał jeszcze wszystkich sił, a ja jestem przygotowana.

– Ma rację – wtrącił Krystian, zanim Julian zdążył znów zaprotestować. Sara spojrzała na niego ze zdumieniem. Chmielewski uśmiechnął się do niej. – Po naszym ostatnim spotkaniu trochę

poszperałem. Niełatwo było coś znaleźć, ale pomogła mi Vega. Wciąż męczą ją sny. Nie zapomniałaś przypadkiem nam o czymś powiedzieć, o czcigodna? O pewnym kamieniu? I nożu, którego ostrze splamiono krwią?

– O czym ty mówisz? – spytała Lidia ostro. – Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Dlaczego ja o tym nie wiem? – zawtórował Julian. Sara jęknęła, opadła na poduszki, przysięgając sobie, że w najbliższym czasie zabije Chmielewskiego gołymi rękami. Przez kilka sekund leżała, zakrywając przedramieniem oczy, ignorując głosy pełne pretensji. Kiedy znów usiadła, jej twarz była niewzruszona, a ton chłodny i spokojny.

– Nie ufam Łoży. Nie mam powodu jej ufać. Żaden prawdziwy Pierwszy nie składał wam autentycznych raportów i nie mieszał was w swoją pracę. Nigdy byście nie zrozumieli, a wasze procedury, zasady, kłótnie i intrygi mogłyby wszystko zniszczyć. Pewne działania trzeba podejmować samemu.

– I tym razem zgadzam się z panną Sokolską – skomentował Krystian i wzruszył ramionami, kiedy został obdarzony trzema zdumionymi spojrzeniami. – Mówiłem. Poszperałem. Podporządkujemy się rozkazom waszej królewskiej mości, błagam jednak o rozwagę. Pierwszy Polanii jest jedynym, który może uratować miasto.

– Pójdę tam po zmroku – oznajmiła Sara stanowczo. – Ale zanim to zrobię, musisz opuścić Kraków, Julianie.

– Muszę? – powtórzył Łukomski, przeciągając sylaby. Wyraz jego twarzy zmienił się i czarownica wiedziała, że król z trudem hamuje wściekłość. Przed wybuchem powstrzymywała go jedynie obecność czarodziei, ważnych osobistości magicznego światka. – Zechcesz mi zdradzić, dlaczego, panno Sokolska?

– Bo jeśli rano chmury dalej będą wisiały na niebie, a ja nie wrócę, o zmierzchu ciemność z parku zacznie pochłaniać kolejne dzielnice miasta. – Przed oczami wciąż miała ten obraz, pokazany jej przez Księżycowe Zwierciadło, widok z koszmarnego snu: światła w Krakowie wygasają, granica zostaje ostatecznie zatarta i na ulicach pojawiają się strachy, demony, diabły, wszyscy, którzy odeszli. – Będziecie mieli dzień... może dwa.... na ewakuację. Sądzę, że Smok Wawelski ruszy do walki i kupi wam jeszcze jedną noc. Potem Kraków przepadnie. A ciebie nie powinno tu być dziś o zmroku. Czy wiesz, co

piszą na murach? Umarł król. Niech żyje król. Zgadnij, którym z tych dwóch królów jesteś? Co, jeśli to pułapka nie tylko na mnie?

Nie mogę z nim walczyć wiedząc, że zostałeś, dokończyła w myślach. Czy osłony zamku i obecność członków Łoży wystarczyłaby, aby ochronić króla, gdyby przyszli po niego tej nocy, kiedy ona pójdzie na spotkanie z nocnym królem? Jak ma skupić się na swoim zadaniu, jeśli wciąż będzie zastanawiać się, czy nie powinna być w zupełnie innym miejscu?

– Ewakuację! – Julian wreszcie stracił panowanie nad sobą, poderwał się z miejsca tak gwałtownie, że zabytkowe krzesło z hukiem uderzyło o podłogę. – Wy wszyscy poszaleliście! Chcecie wywołać panikę?! Co mam zrobić z kilkuset tysiącami mieszkańców?! Mają tu mieszkania! Pracę! A siedziby firm?! Uniwersytety?! Biblioteki?! Mój zamek! Nie mogę tak po prostu zostawić stolicy! To niemożliwe!

– To zdarzało się już wcześniej! – wrzasnęła równie wściekła Sara. – Stolica Avenburgu przepadła w taki sposób! I pozwolę sobie zauważyć, że wraz z nią znikła większość mieszkańców! To dopiero będzie panika, jak ci gdzieś przypadnie milion obywateli!

– Nazwano to Kompleksem Roanoke – wymruczał Chmielewski. Jego spokojny głos jakby otrzeźwił czarownicę i króla, którzy na chwilę zapomnieli, że nie są sami. – W ciągu ostatnich kilkuset lat odnotowano sześć przypadków. Dwa wyjątkowo spektakularne. W tym sprawa Meve, stolicy Avenburgu. Miasta po prostu zniknęły.

Meve. Sara zacisnęła pięści, Lidia wzdrygnęła się mimowolnie. Za to, co stało się z Meve kilka wieków temu, obwiniono czarodziejów. Procesy, masowa histeria, coraz śmielsze poczynania inkwizycji, polowania, krew lejąca się strumieniami, bo władający mocą nie mieli zamiaru dobrowolnie iść na stopy, wykorzystywanie tego, co się stało, do szerzenia jeszcze większej nienawiści i strachu. Roanoke, kolonia w Stanach, była ostatnim znanym przypadkiem podobnego zniknięcia.

– Będę musiał abdykować – westchnął Julian, opadając na łóżko obok Sary, jakby nagle stracił wszystkie siły. – Król, który pozwolił, żeby przepadła jego stolica. Polania zbankrutuje. Zastawię klejnoty koronne. Zamku nie sprzedam, bo on też przypadnie...

– Dzięki za wiarę we mnie. Nie bądź takim pesymistą. – Sara dała mu lekkiego kuksańca w bok. – O pieniądze się nie martw. Lidia pokryje koszty.

– Pokryję? – Biała Czarodziejka zamrugła. Wyglądało na to, że Księżycowe Zwierciadło jednak pomieszało Piekielnicy w głowie. Skibińscy należeli do najbogatszych rodzin Polanii, lecz ich pieniądze z pewnością nie wystarczyłyby na pokrycie choćby części strat związanych z utratą Krakowa. Nie mówiąc już o tym, że nie istniały żadne powody, dla których Lidia miałaby zrezygnować z dostatniego życia. Przejęcie funkcji Pierwszej nie było warte aż tyle. – Przyznaję, jestem bogata, ale chyba przeceniasz mój majątek.

– Jest ktoś, kto posiada nieprzeliczone skarby. A ja zabrałam mu coś, za co odda je wszystkie. Jeżeli nie wrócę, pójdziesz do niego następnego dnia o świcie. Powiem ci, gdzie go znaleźć i co mu powiedzieć. Musisz postąpić dokładnie według moich instrukcji, inaczej wpakujesz się w kłopoty.

– Nie jestem dzieckiem – zniecierpliwiła się Lidia.

– A masz doświadczenie w targach z demonami?

– Demonami – powtórzyła, potem pokręciła lekko głową, co równie dobrze mogło oznaczać zaprzeczenie, jak niedowierzenie. Sara uśmiechnęła się lekko. Szmaragdy, rubiny, diamenty i szafiry, w zamian za swoje imię kogut z podziemi odda wszystkie te skarby. Najdrobniejszy kamyczek z diabelskich bogactw wart był tysiące. Ich sprzedaż nie wystarczy, aby pokryć wszystkie straty, ale zapewni ludziom dach nad głową i jedzenie, pomoże w wypłacie odszkodowań, wznoszeniu nowych osiedli w innych miastach. Oby Lidia nie zaważyła sprawy i nie opuściła podziemi z fortuną, lecz bez duszy.

Coś zacisnęło się w żołądku Sary. Nie chciała brać pod uwagę tego, że przegra, ale, choć niechętnie to przyznawała, istniała taka możliwość. Nocny król był potężniejszy i znacznie starszy od niej.

– Moglibyście zostawić nas same? Musimy omówić parę rzeczy. Ty, Julianie, chyba powinieneś zacząć pakowanie, a na twoim miejscu, Krystianie, kazałabym wywieźć tyle zbiorów z biblioteki Wydziału Magicznego, ile tylko się da.

– Panie Chmielewski, pani Skibińska, będę wdzięczny, jeśli najpierw zechcecie dać nam chwilę na osobności – odparł król i nie zabrzmiało to jak prośba. Lidia zawahała się na ułamek sekundy, zaraz jednak posłusznie wstała i poszła do wyjścia, a Krystian ruszył za nią. Sara spojrzała na Juliana wyzywająco, oczekując lawiny pretensji, żądań i gróźb. Ledwo jednak za Chmielewskim zamknęły się drzwi, król z

westchnieniem opadł obok niej na poduszki.

– Co ty kombinujesz, Sanika? – zapytał z rezygnacją, zaskakując czarownicę do tego stopnia, że w pierwszej chwili nie miała pojęcia, co powiedzieć. Jakiś czas leżeli obok siebie w milczeniu, patrząc na niedawno odnawiany sufit, dopóki Julian znów nie przemówił. – Naprawdę chcesz tam iść?

– Nie chcę, ale nie mam wyjścia – przyznała niechętnie. – Już próbował mnie dostać i nie zrezygnuje, a każda kolejna noc dodaje mu mocy. Nie utrudniaj. Uwierz, nie walczyłabym z nim, gdybym nie musiała.

– Kim on jest?

Pomyślała, że to właściwie nie ma już znaczenia, ile zdradzi Julianowi. Opowiedziała mu więc o chłopcu z czerwienią w oczach, o tym, jak został podwójnie zdradzony i odszedł, by powrócić. O stworzeniach utkanych z ciemności, ściągających do niego jak ćmy do światła. Nie wspomniała jednak o tym, jak daleko sięgnęła moc nocnego króla, o prawdziwej naturze jego sług. O podziemiach, strażnikach miasta ani o tym, że znał jej twarz. Już ta okrojona wersja historii wystarczyła, by król stał się jeszcze bardziej ponury.

– Musisz z nim walczyć, bo jesteś Pierwszą? – upewnił się, kiedy skończyła mówić.

– Taaaa.

Niemal stykali się głowami, na poduszce mieszały się ich włosy, czarne i brązowe. Julian ścisnął dłoń Sary – co było zaskakujące, bo oboje nie znosili czułości.

– To nie musisz być ty. Mogę wyznaczyć kogoś innego.

Rozważała tę propozycję, tak kuszącą, przez minutę czy dwie.

– To nie takie proste – powiedziała w końcu z żalem. – Nie odpuści mi.

Zaszła zbyt daleko, unicestwiła zbyt wielu ze sług nocnego króla, wiedziała zbyt wiele. Gdyby nie spojrzała w Księżycowe Zwierciadło, może przystałaby na ten pomysł: niech ktoś inny zajmie się problemem. Ale teraz, ilekroć opuszczała powieki, widziała, jak białowłose Klaus wpadał w ramiona przyjaciela, widziała krew plamiącą koszulę, rękojeść wąskiego sztyletu pokrytego runami, sterczącą z jego piersi. I oczy, czerwone tęczówki, skierowane prosto na nią. Nie będzie miała dokąd uciekać.

Myślała o Meve, Utraconym Mieście, o obrazie, który kiedyś zobaczyła w jednym z krakowskich muzeów: strzeliste, białe wieże na tle ośnieżonych szczytów. Pochłonięte przez ciemność. Co stało się z mieszkańcami? Z ponad trzydziestoma tysiącami ludzi, którzy postanowili nie opuszczać domów? To nie takie proste. Wszystko zbiegało się ku niej, dziesiątki sznurków, za które pociągał ktoś inny. Może czarodziejka o rudych włosach, ta sama, która zmusiła Sarę do stanięcia przy boku Juliana, która zaprowadziła ją do podziemi i pokazała Księżycowe Zwierciadło, rzuciła zaklęcia na archiwa, wręczyła jej sztylet poznaczony runami. Kalina przygotowała drogę wiele lat wcześniej. A skoro Sara musiała stawić czoła nocnemu królowi, spróbować odesłać go na dobre, niech ma przynajmniej za sobą noszenie tych łańcuchów, nieznośnie ciężących, ale dodających mocy, przywiązujących do miasta, do niespokojnej, wielobarwnej, krakowskiej aury.

– Nie podoba mi się to – oznajmił Julian. – W mieście jest w tej chwili kilkudziesięciu czarodziejów, czarowników i magów. Nie ma sensu, żebyś szła tam sama. Właściwie powinniśmy tam posłać tych okropnych wysłanników Zakonu Cienia.

Uniosła rękę, ciągnąc w górę dłoń Juliana, szczupłą, zadbaną jak u pianisty. Patrzyła przez chwilę na ich splecione palce, na bliznę na własnym nadgarstku, a potem rozluźniła uścisk, pozwoliła, żeby ręka króla opadła, pozbawiona podparcia.

– Poznałam Kalinę, gdy miałam czternaście lat. Zaproponowała, że weźmie mnie pod opiekę, a ja odmówiłam – powiedziała beznamietnym głosem, jakby rozprawiała o czymś tak fascynującym jak cykl rozwojowy ameby. Julian drgnął, sprężyny łóżka zatrzęszczały, gdy gwałtownie zmienił pozycję. Sara nigdy nie rozmawiała z nim o swojej przeszłości ani o Czerwonej Iskrze, czarodziejce, która była mu opiekunką i nauczycielką. Czarownica zawsze podejrzewała, że po zniknięciu Kaliny nastoletni chłopak mimowolnie przeniósł swoje przywiązanie do dawnej Pierwszej na nią. – Jakiś czas później wpakowałam się w kłopoty. Uratowała mi życie.

Odwróciła głowę, wbiła wzrok w ścianę.

– Jeśli jesteś obdarzony mocą i ocalisz kogoś też nią dysponującego przed magią i za pomocą magii, ryzykując przy tym własne bezpieczeństwo, możesz zażądać spłaty długu. Kalina zmusiła mnie do

złożenia przysięgi krwi. Chyba już wtedy przeczuwała, że może spotkać ją coś złego. Musiałam przyrzec, że się tobą zajmę. Dlatego później zostawiała cię pod moją opieką. Chciała, żebyś poznał mnie na tyle dobrze, by po jej zniknięciu przyjąć moją obecność jako coś naturalnego. Dlatego nie odeszłam, kiedy przepadła. Dlatego, gdy później zostałeś królem, przyjąłam stanowisko Pierwszej. Bo jestem winna Kalinie życie. Twoje życie. Inaczej nie byłoby mnie tutaj. Nigdy tego nie chciałam.

Julian bardzo powoli podniósł się z łóżka, bez słowa ruszył do drzwi. Sara milczała, zaskoczona tak samo jak we śnie, kiedy rozpoznała Malwę, dawno porzuconą siostrę – bo to niespodziewanie bolało. Nie był to ból nie do zniesienia, nie taki, który będzie dręczył tygodniami, nie żal, z którym nie można się pogodzić. Mimo wszystko przywiązała się do niego, chociaż przecież nie kłamała. Nie chciała tych dni, spędzanych w apartamencie Czerwonej Iskry z przemądrzałym, napuszonym dzieciakiem. Po zniknięciu Pierwszej Czarodziejki nie przychodziłaby na Wawel nocą, niezatrzymywana przez ochronne zaklęcia rzucone przecież przez Kalinę, żeby spotykać się z załamanym utratą mentorki nastolatkiem. Nie złożyłaby kolejnych przysięg, nie dałaby się skrepować więzami. Nie trwałaby u jego boku tak długo.

– Nie jestem aż tak głupi – powiedział Julian nieoczekiwanie, już stojąc na progu. – Nie musiałaś zostawać moją przyjaciółką. To niepokojące, że tak bardzo chcesz tam iść, ale nie będę więcej protestował. Nie daj się zabić, Sanika.

Rozdział siódmy

Piosenka szczurołapa

Najbardziej lubiła Kraków nocą. Ciemność ukrywała niedoskonałości stolicy Polanii: graffiti, zaniedbane fasady kamienic, śmieci na trawnikach i wszechobecny brud. Nie było widać bezdomnych, za dnia zalegających na ławeczkach, znikły wycieczki, mniej rzucały się w oczy szyldy sklepów i nachalne reklamy. Miasto, skąpane w blasku latarni, było piękniejsze – tajemnicze i magiczne. Po zmroku czasem wyruszała na polowanie, lecz znacznie częściej po prostu wędrowała pieszo ulicami, wałęsała się nad Vistulą, wchodziła do dusznych, hałaśliwych klubów, przemierzała jasno oświetlone Planty lub przeskakiwała ogrodzenia cichych, pogrążonych w ciemności parków. Czasem uciekała w ten sposób przed koszmarami, czasem przed nudą. A niekiedy do wędrówek popychał ją dziwny niepokój, gnieźdzący się gdzieś w ciele, niepozwalający usiedzieć na miejscu. Kiedy Księżyc świecił jasno, kiedy wiał silny wiatr, dzika magia nie chciała ucichnąć, wzywała do ruchu, do biegu, do rzucenia się w noc. A Sara zawsze słuchała jej zewu.

Teraz przez chmury nie przebijał się blask Księżyca, a liśćmi nie poruszał choćby najłżejszy podmuch wiatru. Wszystkie kluby zamknięto, a jedynymi ludźmi, jakich czarownica spotkała, byli magowie i członkowie jednostki specjalnej, upewniający się, że wszyscy pozostali przestrzegają godziny policyjnej. Oni także wracali już do bezpiecznych kryjówek. Sara nie chciała, by tej nocy ktokolwiek przebywał na zewnątrz.

Gdy szła opustoszałymi ulicami, miasto zdawało się jej dziwnie obce i nieprzyjazne. Przechodziły ją dreszcze i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że jest obserwowana: czyjeś oczy patrzyły na nią zza rogów budynków, ktoś podążał kilkanaście kroków z tyłu, cień w bramie był zbyt głęboki. Tym razem jednak nie ruszono za nią w pogoń. Może wydano inne rozkazy. Nocny król domyślił się, że sama do niego przyjdzie.

Gdy zbliżyła się do Parku Łukomskiego, szybko zrozumiała, dlaczego nikt nie mógł przekroczyć jego bramy: moc omal nie zbiła jej z nóg, zmusiła do zatrzymania, podparcia o najbliższą, wygasłą latarnię. Nie mieli szans tego wytrzymać – nawet Lidia, choć jej słodki wygląd skrywał wewnątrz drapieżnika, ani Krystian, tak dobrze zaznajomiony z intrygami. Mimo wszystko byli białymi czarodziejami i pewne rodzaje magii pozostawały im obce. Nie przelewali krwi, by dodać mocy zakłęciu, nie sięgali po cudzy ból i strach, nie wzywali sił spoza granic dobra i zła, nie wypowiadali imion demonów ani nie czerpali energii z ciemności. Ale Sara była zaznajomiona ze złymi czarami, z chłodem dotyku Mareny, z niebem, na którym wygasły gwiazdy, znała zakłęcia, których nie nauczano na uniwersytetach. Nie próbowała bronić się przed ciemną mocą, pozwoliła, by ją ogarnęła, przeniknęła wszystkie osłony i rozpoznała czarownicę jako swoją.

Sara też znała tę energię, z której utkano klątwę, zamkniętą w szkatułce z wiśniowego drewna, energię, którą wzięła dla siebie, zamiast próbować ją unicestwić. Czyżby myliła się wtedy i celem wcale nie miał być Julian? Czy to było wyzwanie dla niej? Czy może zaproszenie?

Zaproszeniem była także muzyka, znajoma, tęskna melodia przepelniona smutkiem. Czarownica zatrzymała się, gdy dobiegły ją pierwsze nuty i przymknęła oczy. Utwór, tyle razy wygrywany wieczorami przez bezimiennego grajka, którego twarzy nigdy nie dostrzegła, siadającego na uliczce tuż przy wyjściu z jej mieszkania. Sieć, niewidzialna i niewyczuwalna, zaciskająca się coraz bardziej i bardziej. Sara zbyt późno ją dostrzegła: dopiero, gdy zaczęła dusić. Jestem taka głupia, pomyślała. Zbyt nieostrożna. Zbyt nieuważna. Może wcale nie zmądrzałam. Może Wiele Pieśni miała rację. Jestem głupia. Jestem zapatrzona w siebie.

– Jesteś pewna, że chcesz tam wchodzić?

Głos zatrzymał ją w pół kroku. Obróciła się gwałtownie, gotowa zaatakować, ale po chwili opuściła dłonie.

Kobieta stała w pobliżu, podpierając się o wygasłą latarnię. W różowym podkoszulku z raniącym oczy anglistów napisem „Lajf is biutiful” na okazałym biuście. Jasne włosy miała krótko ścięte, skórę mocno opaloną. Ale jej twarz pozostawała znajoma: dało się w niej dostrzec odbicie rysów Marzeny. Nie tylko Śmiercietka zmieniła się,

dostosowała do nowych czasów i nowego świata, by nie zniknąć w niebycie.

Sara pomyślała ze zmęczeniem, że właściwie powinna się była tego domyślić dawno temu. Prawo równowagi – skoro gdzieś wciąż egzystowała dawna boginka zimy i śmierci, musiała istnieć też jej druga połowa: pani lata i życia. Nawet jeśli również odarta z większej części mocy i chwały. Nie powinna być zdolna do pojawienia się w mieście, ale teraz jego strażnicy odeszli, otwierając zbyt wiele drzwi.

– Po co tu przyszłaś? – mruknęła Sara, spoglądając znów na park tonący w ciemności. Mogłaby przysiąc, że wionie od niego chłodem.

– Nie denerwuj się tak, mała wiedźmo. Chcę tylko zaoferować pomoc. Przecież wiesz, że nie zdołasz poradzić sobie z tym sama. W Meve nie zdołałaś.

Sara zacisnęła ręce w pięści, mocno, aż paznokcie wbijały się we wnętrze dłoni, raniąc skórę. Ból trochę otrzeźwiał, choć wściekłość i tak narastała, a czarownica marzyła tylko o jednym: o zaciśnięciu palców na szyi jasnowłosej. Nie zdołałaby jednak jej zabić. Nie zabiła nawet Mareny, a jedynie wykorzystała magię dnia i wiary, aby na moment odesłać ją gdzieś dalej. Pozostawała bezradna wobec istot takich jak one, nie mogąc ich pokonać, a jedynie odepchnąć, a i to nie zawsze. Na pewno nie mogła zrobić czegoś takiego tu i teraz, gdy ciemność pożerała Kraków. Nienawidziła bezsilności.

– Pomoc? Wy niczego nie dajecie za darmo – wycedziła, z trudem kontrolując oddech.

– Ty też nie – odparowała kobieta. – Poza tym nie pragnę wyrywać ci duszy i nie potrzebuję twojej śmierci. Wystarczy mi życie. – Pierdol się! – Krzyk Sary rozległ się na opustoszałej ulicy. Przymknęła oczy, zagryzła wargę, ale spokój nie powracał. Chciała zabić tę istotę. Chciała stąd uciec, gdzieś daleko, daleko. Bo w głębi ducha faktycznie się bała, że nie da rady. – Znam was. Znam wasze umowy.

– Och, oczywiście że znasz – przytaknęła siostra Mareny, a w jej głosie dało się słyszeć rozbawienie. – Jak to było? Dawno, dawno temu żyła wiedźma, najpotężniejsza ze wszystkich wiedźm. Rozpętywała burze ruchem dłoni, rozkazywała krukowi, w lustrach widziała przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Była równie piękna, jak silna, i równie silna, jak okrutna. Mężczyźni ruszali na koniec świata, byleby obdarzyła ich jednym uśmiechem, a wrogowie drżeli na dźwięk jej

głosu. Lecz ona wciąż pragnęła więcej. Wypowiedziała więc imiona, które powinny być zapomniane, wezwała tych, których przekłeto po tysiackroć. Pamiętasz ciąg dalszy tej opowieści? Ten prawdziwy? Milczysz? Mam mówić dalej? O tym, jak w zamian za moc przyobiegała oddać córkę? Jak spróbowała ją uśmiercić, pchnąć w ramiona bogini, odebrać duszę, wyciąć serce... Nie możesz powiedzieć, że wtedy ci nie pomogłam, prawda?

Sara milczała. Długą chwilę.

Nigdy nie chodziło tak naprawdę o nią, a zawsze o cudze rozgrywki, w których pozostawała zaledwie pionkiem. Dziecko dla Mareny, przedmiot targu, karta przetargowa w konflikcie dwóch zwalczających się nawzajem sióstr. Wyrwano ją wtedy śmierci, tylko po to, by później mogła spłonąć. Pułapka za pułapką. Zaciskające się coraz bardziej więzy. Czekająca ciemność i muzyka.

Pomyśleć, że przez jakiś czas się łudziła. Sądziła, że tu i teraz, w tym dziwnym świecie nowej magii, będzie inaczej. Naiwnie uwierzyła we własną wolność. Kolejna pomyłka na długiej liście błędów.

– Nie prosiłam o to. I nie zrobiłaś tego dla mnie.

Gniew opadł równie szybko, jak przyszedł. Pozostawiła boginkę za sobą. Ruszyła do przodu, z wzrokiem wbitym w chodnik, z dłońmi ukrytymi w kieszeniach kurtki. Nie chciała widzieć nieruchomych chmur, tęskniła za światłem gwiazd i blaskiem księżyca. Było jej zimno, a moc, tak potężna, że niemal namacalna, przyprawiała o dreszcze. Prześladowało ją przeczucie, że tym razem porywa się z motyką na słońce – a mimo to szła w stronę, z której dobiegała muzyka, niczym szczur podążający za melodią flecisty z Hameln.

Flecista-szczurołap siedział na oparciu ławki, grając na swoim instrumencie. W ciemności widziała jedynie zarys jego sylwetki i białe włosy, luźno opadające na ramiona. Nie przerwał gry, gdy Sara stanęła obok. Musiała ugryźć się w język, aby powstrzymać cisnące się na usta słowo „pozer”. Przez ułamek sekundy kusilo ją, by skorzystać z okazji, zaatakować, ale to on był w tym miejscu najsilniejszy, a ona nie miała punktu zaczepienia. Nie było niczego, co mogłoby wzmocnić jej magię, żadnych otwartych drzwi. Jeszcze nie.

– Sądziłem, że jesteś śmiercią – powiedział, kiedy przebrzmiały ostatnie nuty. Sara stała bez ruchu, obejmując się ramionami. – Błada i czarnowłosa, ze skórą pokrytą znakami, w dziwnych szatach,

niewidzialna dla nikogo prócz mnie.

Omali się nie uśmiechnęła. Śmierć nie miała humanoidalnej postaci. Były tylko istoty, które się pod nią podszywały, karmione ludzką wiarą, jak Marena, zimowa boginka, równie blada i ciemnowłosa jak Sara, lecz poza tym w ogóle jej nieprzypominająca.

– Potem... potem, gdy przyzwano mnie spoza granic, gdy zabrałem życie tego, kto to uczynił, gdy zacząłem budować moje królestwo, pojawiła się czarownica. Mała, denerwująca czarownica, zabijająca mych poddanych, krzyżująca mi plany. – Podniósł się i stanął zaledwie krok od niej. Był na tyle wysoki, że musiałaby zadrzeć głowę, aby spojrzeć mu w oczy. Nie zrobiła tego jednak, patrzyła na własny nadgarstek, na bliznę w miejscu, w którym jako nastolatka przecięła skórę nożem, na pozostałość po geas, swojej obietnicy i przekleństwie, nici wiążącej ją z Julianem. – Poszedłem, by osobiście zakończyć jej żywot. I zobaczyłem śmierć, moją śmierć, z dłońmi pełnymi światła, tę, która przyrzekła mi, że powrócę. Jak, czarownico? Jak to się stało? Jak tam trafiłaś?

Twardowski. Sarze przez chwilę wydało się, że czuje jego obecność, że czarnoksiężnik stoi tuż za nią. Wzdrygnęła się mimowolnie. To niemożliwe. Mistrz Jan tkwił w pułapce, którą sam sobie wybudował. Po drugiej stronie lustra, które zabrało ją w podróż poprzez czas i przestrzeń. Byli tu sami i otaczała ich ciemność.

– To bez znaczenia – powiedziała w końcu. – Bez znaczenia.

– Zatem co ma znaczenie? – Chwycił ją za brodę, zmuszając, aby uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, zwykle, ludzkie oczy, pozbawione śladu szkarłatu, tak ciemne, że tęczy i źrenice niemalże zlewały się barwą. Palce miał tak zimne, że dotknięta skóra wręcz parzyła i Sara przez chwilę chciała zapomnieć, że jest czarownicą, a czarownice nigdy nie uciekają, chciała rzucić się do biegu, umknąć na koniec świata lub dalej. Bo to nie powinno boleć, bo nie można zamarznąć dwukrotnie.

– Ciemność, którą sprowadziłeś na miasto. Cienie ścigające mnie ulicami, moimi ulicami.

Klaus, nocny król, cofnął dłoń i roześmiał się, chociaż Sara nie mogła oprzeć się wrażeniu, że tak naprawdę daleki jest od wesołości.

– Lękasz się ciemności, czarownico, moja czarownico? Nie stworzono cię dla światła. Jesteś kochanką nocy i cieni, a twoja magia nie jest biała. Widziałem, jak wyrywasz serce inkuba, tańczysz pod nocnym

niebem i polujesz w mroku.

Zacisnęła dłoń w pięść, ale nie pozwoliła, by mięśnie twarzy choćby drgnęły, zdradzając emocje. Jak często od tamtej nocy w parku nie zauważała, że cień rzucany przez mur jest zbyt głęboki, że obserwują ją czyjeś oczy? Moc potężniejsza niż moja. Gdy jeszcze żył, może mogłaby się z nim równać, ale nie teraz, gdy oddano go ciemności, gdy powrócił nie jako człowiek, a jedna z istot, które utkano z magii, pragnień, wiary. Te jednak też miały swoje słabości, nocny król zaś wciąż pamiętał, jak to jest być człowiekiem.

– Już nie ma nieba. Nie ma ani dnia, ani nocy. Nie ma wiatru. Nie ma tu niczego dla mnie.

Ręce czarownicy zawsze były chłodne, ale kiedy chwycił je Klaus, zmuszając do rozluźnienia zaciśniętych palców, przeszedł ją chłód. Dłoń nocnego króla była zimniejsza od śniegu i to zimno przeniknęło jej skórę. Zamarzała. To tak naprawdę nie boli, taka śmierć, pomyślała, przemykając oczy. Nie tak, jak wtedy, gdy płoniesz. Przez chwilę czuła ból, ale to było zbyt szybkie, nawet nie miała czasu się bać: upadła, ciało jest ciężkie, bezwładne, brakło jej sił, by wstać, zawołać o pomoc. Dlaczego jest tak zimno, skoro trwa lato, a zima odeszła? Nie czuje już niczego, patrzy na niebo, szare, zasnuwane chmurami, i obraz powoli się zamazuje. Kruki kraczą, słońce gaśnie, przed oczami tylko ciemność. Gdzieś daleko rozległ się chichot, najpierw starczy, skrzekliwy, potem radosny, melodyjny, niczym radosny śmiech młodej dziewczyny, a potem...

Sara z trudem uniosła powieki. Wciąż stała w parku, z rękoma uwięzionymi w uścisku nocnego króla i nie umiała w ciemności zobaczyć niczego oprócz niego.

– Mylisz się – powiedział, a zimno pełzło od dłoni Sary ku łokciom. – Bliżej ci do mnie niż do waszych czarodziei i magów, których moc osłabła, stała się ograniczona i stłamszona. Jesteś jak ja, czarna więdźmo, moje dzikie dziecko. Gdyby było inaczej, nie zniszczyłabyś mego sługi, nie zdołałabyś tu dotrzeć. Przypominasz mnie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odparła. W jej własnych uszach zabrzmiało to dziwnie gorzko. Nieśli w sobie magię sprzed wieków, obcą współczesnym czarodziejom, magię dziką, nieposłuszną, powiązaną z ciemnością, z granicami światów, z pierwotną mocą, która kształtowała byty z wiary i pragnień. Oboje zostali zdradzeni przez tych,

którym ufali najbardziej, i przeszli tę samą ścieżkę, prowadzącą tam, gdzie nie było światła. Lecz ona pozostała człowiekiem. On stał się czymś więcej – i zarazem mniej. Ona wiedziała, że świat się zmienia i pozwalała, by jej własna moc podążała za tym procesem. Nie próbowała zakłócić czasu.

– Wciąż jestem czarownicą tego miasta. Jestem przeszkodą na twojej drodze. Chyba o tym wiesz, skoro posłałeś za mną pościg.

– A ty wiesz, że nie potrzebuję twojej śmierci, skoro przyszłaś dobrowolnie.

Sara niemal nie czuła rąk, palce zdrętwiały jej z zimna. Nie umiałyby już wyzwolić ich z uścisku. Nie wiedziała, pomyślała. Miała nadzieję. Miała nadzieję, że wpadniesz w pułapkę pragnienia i tęsknoty, że wciąż pozostało w tobie dość człowieczeństwa, abys czuł się samotny wśród pobratymców. Miała nadzieję, że się nie mylę i będziesz na tyle głupi, żeby chcieć dowiedzieć się, kim jest kobieta, która stała obok ciebie w najważniejszych momentach twojego życia. Że nie lubisz się cofać, podobnie jak ja, i jesteś zbyt pewny siebie.

Chłód sięgnął już ramion Sary, jak kiedyś, dawno, dawno temu, gdy pierwszy raz próbowano wyrwać jej duszę. Były dwie siostry, opowiadała kiedyś Julianowi, życie i śmierć, i była dziewczynka, o której duszę i los zagrały. Obie oszukiwały w tej grze, walczyły ze wszystkich sił, aż w końcu dziewczynka straciła znaczenie. Nie była warta łamania wszystkich zasad ani poruszania niebem i ziemią, ale żadna z siostrz nie umiała pogodzić się z porażką, żadna nie chciała oddać zwycięstwa drugiej. Śmierć postanowiła, że skoro nie może mieć dziewczynki, zabije ją, i chociaż żadna z nich wtedy nie wygra, ona przegra trochę mniej, bo to z jej woli dziewczynka umrze.

– Śmierć naprawdę nie jest przyjemna, moja czarownico – powiedział Klaus i pochylił się tak, że jego usta znalazły się tuż przy uchu Sary. – Opowiedziałbym ci o niej, gdybym potrafił znaleźć właściwe słowa.

– Opowiedzieć ci, co znaczy płonąć? – spytała, nieruchoma jak lalka, gdy znalazła się w jego objęciach. Patrzyła ponad ramieniem Klausu w nieprzeniknioną ciemność, lecz myślała o błękitnym, letnim niebie, o ciepłych promieniach słońca i żarze płomieni. – O ogniu i duszącym dymie? O bólu i strachu? Nie umiesz znaleźć słów? Ja potrafię.

Spalić wiedźmę. Niech płonie, niech płonie czarownica, niech pochłonie ją ogień, niech spopieli, oczyści. I spłonęła, jak inne przed

nią, jak inne po niej, w Meve, gdy ulice powoli pochłaniała ciemność, gdy szukano winnych. Ale była dzieckiem przyobiecany Marenie, była czarownicą umierającego miasta, była kimś, kogo dusza raz już została wyrwana z ciała, a magia była wtedy inna, dawni bogowie mieli więcej siły i niechętnie się poddawali, gdy w grę wchodziła zdobycz. Nie tylko Radziwiłłówna i nocny król zdołali wrócić. Może zresztą prawda kryła się w dawnych opowieściach, może powracali wszyscy, dusze powracały, porywane przez ptaki, a ona była wyjątkiem jedynie dlatego, że przeniosła przez ogień wspomnienia?

– Odeszłaś i powróciłaś – wyszeptał nocny król, odsunął się trochę, na tyle, by móc spojrzeć jej w twarz. – Nie pojmowałem do końca, dlaczego tak bardzo nie chcę cię zabić. Ale ty naprawdę jesteś jak ja. Chodź ze mną, moja czarownico, i nie będzie już żadnych ograniczeń, żadnych zakazów. Dlaczego masz służyć jednemu królowi, skoro możesz władać wraz z drugim? Nie pragnę zniszczyć tego miasta. Chcę być jego częścią, chcę miejsca dla siebie i chcę, byś była panią przy moim boku.

To przecież takie proste. Zatrać się w nocy, stań u boku nocnego króla, który, podobnie jak ty, oszukał śmierć. Wyciągnij ręce ku ciemności i niech będzie jak kiedyś, gdy twoja magia nie знаła granic. Koniec koszmarów, nudnych obowiązków, gier, intryg. Można upić się mocą, zapomnieć, nie dbać o nic ani o nikogo...

...Twardowski stoi przez lustrem, przed przeklętym zwierciadłem, wykonanym ze szkła, magii i księżycowego blasku. Waha się, ręka zmierzająca ku tafli zamiera w połowie ruchu. Wie, że nie będzie odwrotu. Przez chwilę jest bliski zmiany zdania, ale przecież nie ma dokąd iść, nie ma ucieczki, nie ma już nawet mocy, przelanej w Księżycowe Zwierciadło. Tam, po drugiej stronie, czeka na niego cały świat, jego własny, którego będzie jedynym władcą, w którym nie istnieją żadne ograniczenia ani niebezpieczeństwa. Mistrz Jan Twardowski, najpotężniejszy czarnoksiężnik Polanii, wykonuje krok do przodu. Powierzchnia lustra ustępuje, jakby utkano ją ze światła, nie ze szkła. Po drugiej stronie...

Cisza. Taka cisza.

...jest wszystko, czego mógłby zapragnąć: przestronne sale, ustrojone drogocennymi materiałami, wykwintne potrawy z różnych stron świata, instrumenty wygrywające cudne melodie bez udziału grajków,

posłuszne kobiety o oszłamiającej urodzie, słudzy wypełniający każdy rozkaz.

Taka cisza.

Mija trochę czasu (może tylko dzień, może rok, może tysiąc lat), sale są wielkie, wspaniałe i puste, a melodie wciąż piękne i wciąż te same, zapamiętane za życia. Dziczyna, krewetki, sorbety tracą smak, do łóża przychodzą kolejne kochanki. Jest pośród nich rudowłosa, doświadczona piękność, królewska faworyta, jest szczuplutka, jasnowłosa dziewczynka, ledwo wyrosła z lat dziecińczych, i kobieta o cerze brązowej jak orzech. Wszystkie nieme.

Ktoś spogląda w Księżycowe Zwierciadło i Twardowski zachłannie wyciąga ku niemu ręce.

Sara nie wiedziała, skąd wzięła do tego siłę, ale wyrwała dłonie z uścisku nocnego króla i poleciała do tyłu, niezdolna zachować równowagę. Ciemność i moc, nagromadzone w Parku Łukomskiego, miały na nią większy wpływ, niż początkowo sądziła. Ręce, pozbawione czucia, opadły na chodnik. Czarownica przygryzła wargę, mocno, aż do krwi, próbując odzyskać jasność myślenia.

Nie.

Nic z tego. Nieważne, jak kusząca jest propozycja. To tylko kolejna pułapka, miejsce uwięzione w czasie. Jak Kraków Twardowskiego, zastygły Rynek. Jak Meve, najpiękniejsze z miast, wzniesione dzięki nieludzkiej mocy. Przyrzeczono zapłatę istotom, które je zbudowały, lecz dług nie został spłacony i konstruktorzy sami przyszli po zapłatę, zalali mrokiem ulice, przejęli budynki, uwięzili ludzi. Nie będzie tak, przyrzekła sobie Sara. To nie zdarzy się ponownie. To piosenka szczurołapa, nęcąca, obiecująca spełnienie snów, lecz prowadząca na manowce, odbierająca wolną wolę.

Nie wszystkie sny są dobre.

Klaus ukląkł tuż obok. Kiedy zarzucił płaszcz na jej ramiona, obrazy cisnące się pod powieki znikły, ustąpił ból głowy, nawet zimno stało się znośniejsze. Sara zdążyła już zapomnieć, co to znaczy zmarznąć, niska temperatura nigdy nie stanowiła dla niej przeszkody. Tylko serce wciąż bolało jakby tkwił w nim ostry odłamek.

– Kiedyś – zaczęła, z trudem poruszając sinymi wargami – rozpętywałam burze ruchem dłoni, rozkazywałam krukowi, w lustrach widziałam przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Byłam jednością z

wiatrem i nocnym niebem.

Objął ją i tym razem chłód jego ciała nie był nieprzyjemny. Sara oparła głowę na ramieniu Klausa, wciąż zbyt osłabiona i bezwładna, aby wstać.

– Czego pragniesz?

– Miejsca dla siebie. Chcę być częścią tego miasta. Chcę ciebie u swego boku.

– Niech więc będzie tak znowu – odparł i to była kolejna nuta, kolejny takt zdradliwej melodii szczurołapa. Sara myślała o krakowskim Rynku, zaklętym w lustrze Twardowskim, na zawsze niezmiennym, pozbawionym życia. Magia ewoluowała. Może współcześni magowie zapomnieli zbyt wiele, a ich moc osłabła, lecz świat musiał iść do przodu. Magia Sary nie była taka sama jak kiedyś, nie tylko dlatego, że czarownica utraciła jej część. Przysięgi Pierwszej zbyt mocno związały ją z tym miastem, miastem płonących latarni, neonów, jasnych okien nocą. Magia jest wszędzie, powtórzyła bezgłośnie, poruszając ustami. Jest wszędzie, a to, co nas otacza, zmienia się, więc i magia nie może pozostać taka sama.

Nie będzie, nie może być tak samo.

Kłucie w klatce piersiowej stało się nie do zniesienia, prawe oko zaczęło piec. Ból ogarniał całe ciało, zwalczał bezwład, odsuwał zimno na dalszy plan. A potem moc, pożyczona moc mistrza Twardowskiego, moc przeklętego lustra, zamknięta wcześniej w dwóch odłamkach, popłynęła w żyłach wiedzy. Sara szarpnęła się gwałtownie, spazmatycznie wciągnęła powietrze w płuca.

– Wypowiedziałeś życzenie, Klaus! Niech się spełni, niech będzie, jak zechcesz, bo magia lubi spełniać życzenia!

Rozesłała wezwanie daleko wokół. Pochłonęła blask latarni i wspomnienia wplecione w mury kamienic, sięgnęła po energię wody z fontann, z miejskich wodociągów, z linii elektrycznych, po niespokojne sny i koszmary, wypijała życie miasta – by wszystko to przepuścić przez swoje ciało i rzucić przeciw nocnemu królowi, wciąż trzymającemu ją w ramionach. Sama rozpływała się w strumieniu mocy, pamięci, głosów i zapachów. Jeszcze moment i znikłaby zupełnie – jeszcze jeden cień przemykający nocą. Zdołała dłonią zgrabić z zimna wyciągnąć sztylet i wbić go między żebra mężczyzny. Magia

przepłynęła po palcach czarownicy, przeganiając osłabienie. Krew splamiła dłoń.

Taki atak zabiłby człowieka, ale nocny król był przecież czymś więcej. Nie mógł zginąć z powodu jednego ciosu czy wykrwawienia, nie tym razem. Klaus zawył z wściekłości, pięść trafiła Sarę w twarz, obalając ją na ziemię. Ból utrudniał koncentrację, raczej instynktownie niż świadomie spróbowała odtoczyć się dalej, nim nadejdzie kopniak. Coś poruszało się w ciemności, nacierało ze wszystkich stron na nich oboje. Przebudzona moc, silniejsza nawet od tego, co sprowadzał nocny król.

Czarownica wyciągnęła dłoń. Wyrwana z ziemi ławka, na której wcześniej siedział Klaus, pofrunęła w jego stronę. Rana ujmowała mu siłę, gromadząca się wokół niej magia i obce siły, naciągające ze wszystkich stron, dekoncentrowały. Mimo to drewno rozleciało się na kawałki, nim zdążyło go dotknąć. Fragment oparcia uderzył w ramię powoli wstającą Sarę, omal nie przewracając jej z powrotem, mniejszy odłamek głęboko rozciął policzek. Klaus wyrwał sztylet z ciała, cisnął nim o ziemię. Ostrze zaślniło w ciemności, jakby samo emitowało dziwny rodzaj światła.

Tylko po części zdołała zablokować zaklęcie. Wybuchło u jej stóp, tworząc dziurę w chodniku, rozrzucając wokół kawałki płyty. Znów straciła równowagę, padła na ziemię, na parę sekund ogłuszona. Klaus nie był jedynym problemem: ciemność gęstniała, a choć Sara dobrze widziała w mroku i jej oczy zdążyły już do niego przywyknąć, przestała odróżniać kształty. Moc zaciskała się wokół, coś zdawało się pełzać po jej nogach, pieszczotliwie dotykało szyi. Skądś, z daleka, bardzo daleka, dobiegały niezrozumiałe szepty.

– Sądzisz, że zdołasz mnie zabić?! – warknął gdzieś w mroku Klaus, najwidoczniej doświadczający tego samego, co ona. Zabić? Nie, nie była pewna, czy to w ogóle było możliwe. Istniały jednak inne sposoby. Sam otworzył drzwi. Teraz, tutaj, wszystko się zbiegało. Siła pragnienia, wypowiedziane życzenie, sztylet, który zakończył jego pierwsze życie, moc Pierwszych i Księżycowego Zwierciadła, a także wyrwa, dziura czekająca na wypełnienie, sięgająca po swoje, ciemna maź w widmowych Sukiennicach. Będzie, jak zechciał. Stanie się częścią miasta i pozostanie przy jej boku.

O ile ona zdoła to przeżyć.

Zerwał się wicher, gdy uderzyła na ślepo, nie celując nawet w samego

Klausa, którego nie mogła dokładnie zlokalizować, a na boki. Czuła chłodny dotyk na ciele, nasilającą się obecność, nacisk na umysł. Niewidzialne więzy owijały się wokół nóg, krępując ruchy. Moc przeklętego lustra, dawnych strażników, krwi, ofiary i magii życzeń, a także coś jeszcze, czego nie umiała nazwać, sięgały po swoje. Panika Sary narastała: musiała się bronić, ale nie mogła walczyć jednocześnie z tym, co sama przyzywała przeciwko Klausowi i z nim samym. Drzewo, obalone magią czarownicy, runęło z łoskotem na alejkę, odgradzając ich od siebie – Sara nie mogła tego zobaczyć, lecz huk był doskonale słyszalny, a podmuch powietrza wyczuwalny. Drżąca dłoń zanurkowała w kieszeni, wyławiając stamtąd zapalniczkę. Czarownica skuliła się odruchowo, gdy tuż obok nastąpił kolejny wybuch, a potem rozległ się krzyk pełen wściekłości. Nocny król próbował jeszcze atakować i obawiała się, że w ten sposób wskaże mu, gdzie dokładnie się znajduje, ale czas się kończył. Coraz trudniej było oddychać i zbierać myśli. Coś usiłowało ją pochłonąć.

Pstryknięcie. Wąty, błękitny płomyk zalśnił pod osłoną dłoni Sary. Gruba warstwa nieruchomych chmur przysłaniała księżyc, skutecznie uniemożliwiając wykorzystanie jego blasku jako źródła. Wiatr zamilkł. Sama go przywołała i nie mogła się nim karmić. Ale była jeszcze energia miasta, światła płonące w domach, uliczne latarnie, sygnalizacja świetlna i nawet akumulatory. Wszystko może być źródłem, jeśli możesz do niego sięgnąć. W pierwszej kolejności zaczęła podsycać blask własną mocą. Narastał powoli, niechętnie. Strzęp ciemności, sięgający policzka, cofnął się, gdy błękitne światło objęło dłonie, ramiona, twarz. Gdzieś w oddali wciąż krzyczał Klaus, lecz Sara niemal nie zwracała na to uwagi, zbyt skupiona na próbie utrzymania blasku. Kręciło się jej w głowie od ubytku energii, z nosa popłynęła krew. Ale magiczne światło było jedynym, co trzymało z dala od niej przyzwane na pomoc siły, nie przerywała więc. Blask rozbłysnął silniej, a owijające nogi czarne macki, które dopiero teraz mogła dostrzec, wycofały się powoli. Każdy oddech przychodził z coraz większym trudem, serce tłukło się w piersi. Nie mogę stracić przytomności, powtarzała sobie, skupiając się na tej myśli, czując, jak ogarnia ją słabość.

Krzyki umilkły.

Poczucie cudzej obecności znikło, ciemność znów była tylko zwykłym,

swojskim mrokiem nocy. Światło wygasło, gdy Sara padła na bok, oddychając ciężko. Leżała skulona na chodniku, przemarznięta, poraniona i zmęczona, lecz żywa, a gdzieś tam, kilka metrów od niej, błyszczał w ciemności sztylet z ostrzem pokrytym krwią. Jego aura zmieniła się, była potężniejsza, bardziej mroczna.

Sara dopiero po długiej chwili z trudem przekreśliła się na plecy, by spojrzeć w niebo, i poczuła, że ogarnia ją rozpacz. Nisko nad parkiem wciąż wisiały chmury, gęste i nieruchome. Nie wystarczyło zniszczyć nocnego króla, nie pomogło uczynienie go strażnikiem w miejsce bratobójcy, którego duszę uwolnił. Czarownica zamknęła oczy, zdecydowana po prostu leżeć tutaj, choćby miał zawalić się świat.

Nie umiałyby powiedzieć, jak długo trwała w bezruchu, pogrążona w letargu przypominającym sen, odrętwiała zarówno fizycznie, jak psychicznie. Przed zamkniętymi oczyma wirowały obrazy, zmieniając się szybko, jak w kalejdoskopie. Ogień. Nadpalone ciało nad rzeką, zaplątane między krzakami. Kalina, przecinająca jej nadgarstek sztyletem poznaczonym runami. Klęcząca Lidia, zapłakana, upokorzona. Kruki wirujące na tle nieba barwy popiołu. Biel pochłaniająca świat, krople krwi na śniegu.

Potem poczuła wilgoć na policzku, później na czole, koło ucha, na dłoni. Gdy otworzyła oczy, wciąż widziała nad sobą chmury, szare i gęste, lecz park nie tonął już w ciemności, lecz w półcieniach przedświt, a z zachmurzonego nieba padał deszcz. Zawiał wiatr, poruszył gałęziami drzew. Sara wyciągnęła rękę wysoko w górę, jakby próbowała dotknąć chmur.

Blizna z nadgarstka znikła.

Epilog

Zawsze jest czarownica

Wszystko w mieście wróciło do normy – jakby nigdy nic się nie stało. Poddani nocnego króla przepadli. Może zeszli do podziemi, a może przestali istnieć. Niedobitki zostały wyłapane przez wysłanników Łoży. Pod kolorowymi parasolami, rozstawionymi przed kawiarniami, znów zasiadali turyści, rozbrzmiewały słowa wypowiedane w wielu językach. Premiera najnowszego hitu o wampirach ściągnęła do kin tłumy nastolatków, w centrach handlowych przybyło klientów. Szumiały windy biurowców, na Alejach koło szesnastej jak zwykle tworzyły się korki, wydłużały się kolejki do kas w marketach, przez Rynek przechodziły tysiące osób. Kraków żył. Teraz, gdy więź pomiędzy Sarą a miastem omal nie została przerwana, gdy przeciągnęła jego aurę przez samą siebie, wyczuwała to znacznie mocniej niż wcześniej.

Wieczorem usiadła na barierce swojego niewielkiego balkonu, z nogami przerzuconymi na zewnątrz. Siły wróciły, opuchlizna powoli zniknęła z twarzy. Wiatr szarpał jej włosy, kiedy jadła kawałek pizzy, obserwując z góry dzielnicę. Samochody wielkości dziecinnych zabawek, tramwaj sunący po szynach, niższe blokowiska, ludzi idących chodnikami, widoczne w oddali przeszklone siedziby firm, za którymi znikło słońce. W większości urzędów i korporacji godziny pracy dobiegły końca, dzieci już dawno odebrano ze szkół i przedszkoli, było jednak wciąż za wcześnie na imprezy i wyprawy do klubów. Aura miasta wydawała się spokojna, niemal senna, i Sara czuła, jak i ją ogarnia spokój. Spokój, który szybko miał ją opuścić.

– Tu się ukryłaś, Piekielnico! Bardzo trudno było cię znaleźć.

Niedojedzona pizza wypadła jej z ręki i pofrunęła na spotkanie ziemi, a Sara omal nie poleciała w ślad za nią. Spadnięcie zresztą nie byłoby wcale złym pomysłem, uznała niechętnie. Nie skończyłoby się niczym groźnym, za to z pewnością zaoszczędziłoby jej wielu nerwów. Czy

odrobina spokoju, kilka dni wolnego, to naprawdę zbyt wiele? Zacisnęła zęby z bezsilnej złości, wzrok utkwiała w wieżowcach, widocznych w oddali. Oczywiście wiedziała, że wiele to nie da.

– Ładnie to tak zniknąć bez śladu? Jego królewska mość straszliwie się wściekł. Wspominał nawet coś o obdarciu cię żywcem ze skóry. A muszę przyznać, że i członkowie Łoży, zwłaszcza Lidia, są nieco zirytowani brakiem informacji...

– Wysłałam mu esemesa – zirytowała się Sara, odwracając się wreszcie do Krystiana Chmielewskiego. Rozczochranego, w wymiętej, poplamionej kawą koszuli, w zniszczonych džinsach. I, oczywiście, z książką w ręku.

– Tak, czekaj, jak to szło... „Wszystko okej, przekaz Lidce, że sytuacja opanowana”. Dość lakoniczne podsumowanie sytuacji. Nie uważasz, że należą się nam bardziej obszernie wyjaśnienia?

Nagły podmuch rozwał włosy Sary, szarpnął połami jej bluzy, porwał płatki kwiatów zasadzonych w doniczkach na sąsiednim balkonie, zerwał ze sznura schnącą kolorową chustę. Nie mógł jedynie dosięgnąć Krystiana, tak naprawdę przebywającego w zupełnie innym miejscu. Jak odbicie, jak cień, pomyślała czarownica i wzdrygnęła się mimowolnie. Jak ona podczas podróży w światy Księżycowego Zwierciadła.

Gniew opadł, wiatr się uspokoił. Sara zeskoczyła z barierki na balkon.

– Nie – powiedziała cicho. – Nie uważam.

Weszła do mieszkania, zamykając za sobą drzwi. Niepotrzebnie, bo Krystian przeniknął przez szybę i podążył za nią, z ciekawością rozglądając się po pokoju. Wnętrze nie pasowało do Sary prawie tak samo, jak jej komnaty w zamku – pomieszczenie, które mogłoby należeć do każdego, pozbawione osobistych akcentów. Kanapa, stary, porysowany stolik, telewizor na szafce, gołe ściany, żadnych bibelotów czy pamiątek. Jedynie półki wiekowego, ciężkiego regału były zastawione książkami. Chmielewski oczywiście natychmiast zaczął przyglądać się tytułom. Ze zdziwieniem odkrył, że jest tam mnóstwo baśni, zarówno w starych, zniszczonych wydaniach, jak i tych nowych, w kolorowych, cukierkowatych wręcz okładkach. Poza nimi dostrzegł kilkanaście powieści fantastycznych i parę książek napisanych po niemiecku.

– Nie podejrzewałbym cię o takie gusta – stwierdził. – Andersen,

Grimmowie... widzę też baśnie pana Borgii, niezbyt radosne... i jeśli mnie pamięć nie myli, sama Loża dobre dwadzieścia lat temu postarała się, żeby nie było dodruków. Oczywiście po cichu. Uznano je za niepoprawne politycznie.

– „Księżniczka w szkło zaklęta”, „Wiedźma o dwóch twarzach”, „O królownie i siedmiu czarownicach”, „O dwóch siostrach”, „Kruk z czarnej wieży”, „Biała jak śnieg”, „Płonie, płonie stos” – wymieniła Sara, opadając na kanapę. – Bardzo niepozytywne i bardzo niepoprawne politycznie. Może dlatego, że większość jest prawdziwa.

– To tylko bajki – odparł Krystian, wzruszając ramionami. Niechętnie odwrócił się tyłem do regału: w swojej obecnej postaci nie mógł dotknąć żadnej ze stojących na półkach książek.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego jest tak mało czarownic?

– Rzadziej spotykany rodzaj magii – stwierdził obojętnie Chmielewski. Sara wydobyła z kieszeni bluzy sztylet, zaczęła się nim bawić, nie patrząc na Krystiana.

– Magia w dużej mierze jest dziedziczna. A moc czarownic zawsze była najbardziej dzika i nieopanowana, najbliższa ciemności, najtrudniejsza do ukrycia. Ich najbardziej nienawidzono i najłatwiej było je poświęcić, skoncentrować na nich nienawiść tłumu, gdy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Nawet w tych baśniach zawsze jest zła czarownica, która przeklina królową i pożera dzieci. Umierały jedna za drugą, aż niewiele pozostało. Spalić wiedźmę, niech płonie, niech płonie...

– To było dawno temu i naprawdę nie dotyczy ani nas, ani obecnej sytuacji – powiedział czarodziej cierpliwie, jakby właśnie tłumaczył coś wyjątkowo upartemu uczniowi, odbiegającemu od tematu lekcji. – Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Do niczego. – Sara obdarzyła go krzywym uśmiechem i schowała sztylet. – Po prostu zawsze gdzieś, gdzie jest czarna magia, jest też wiedźma. Jedno ściąga drugie. To nie przysparza nam popularności. I na pewno nie mam ochoty o tym z tobą rozmawiać.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. W końcu Krystian uśmiechnął się radośnie.

– Wiesz, mógłbym po prostu spędzić tutaj trochę czasu. Powłóczyć się za tobą... opowiedzieć o moich najnowszych badaniach...

– Mogłabym po prostu pójść do tego śliczniutkiego domku na

Łagiewnikach, gdzie zatrzymałeś się u przyjaciółki, i skopać ci tyłek tak, że odechce ci się za mną łązić.

Po raz pierwszy Chmielewski wyglądał na zbitego z pantaląku. Sara pokazała mu język, sięgnęła po pilota i włączyła telewizor, demonstrując swój brak zainteresowania osobą niechcianego gościa. Czarodziej jednak zaraz doszedł do siebie i usadowił się na podłokietniku kanapy. Zirytowana czarownica machnęła dłonią tak, że ta dwukrotnie przeszła przez jego nos.

– Skąd wiesz?

– A jak ty mnie znalazłeś? – burknęła, dźgając palcem widmowe oko Krystiana. Cofnął głowę, chociaż nie mogła mu przecież zrobić krzywdy: najwidoczniej widok paznokcia zbliżającego się do źrenicy nie był zbyt przyjemny. – Magia! To moje miasto! Moje, moje, moje!

– Twój to może być pluszowy miś – zirytował się Chmielewski, siadając na oparciu, by uniknąć kolejnych manewrów wiedźmy. – Zabawka na twoim poziomie intelektualnym. Czy naprawdę musisz to robić?

– Muszę – przytaknęła, podejmując następną próbę wsadzenia mu palca do oka. – Idź sobie.

– Kiedy chcę obejrzeć odcinek serialu! – Krystian wskazał na telewizor. Właśnie rozpoczął się pierwszy epizod drugiego sezonu „Magii i miecza”, najpopularniejszego serialu dla młodzieży w Polanii. – W ostatnim odcinku jedyńki porwano Kate, a na końcu padła sugestia, że może jednak to nie do końca porwanie... To taka dziwna postać. Nikt nie wie, skąd przyszła, czego chce i straszna z niej złoźnica...

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Krystian Chmielewski w tym momencie zmarłby śmiercią tragiczną. Sara nie była jednak bazyliżkiem, toteż nie zrobiła zbytniego wrażenia na czarodzieju.

– Nie noszę takich ciuchów – wycedziła czarownica. – I nie jestem taką niezdecydowaną kretynką.

– Ale wyszłaś jak spod ziemi dziewięć lat temu – odparł. Teraz jego głos brzmiał poważnie. – Od razu mianowana na najważniejsze stanowisko, co wywołało wiele kontrowersji i nie przysporzyło świeżo koronowanemu królowi popularności.

Wszyscy byli wściekli, przypomniawszy sobie Sara. Próbowali nakłonić Juliana do zmiany zdania, a on, chociaż dopiero niedawno skończył

osiemnaście lat, nie ugiął się pod naciskiem. Pewnie w dużej mierze dlatego, że tak to zaplanowała Kalina. To królowie zawsze wybierali adepta magicznej ścieżki, który miał stanąć u ich boku, i nikt nie mógł odebrać im tego prawa. Najpierw próbowano ją upokorzyć i dać jej do zrozumienia, że nie jest mile widziana na tym stanowisku, lecz szybko wyszło na jaw, że Sara za nic ma drobne przykrości, konwenanse i plotki. Potem posypały się rzucane pod byle pretekstem wyzwania na pojedynki. Pierwsza Polanii nie okazywała litości, nie poprzestawała na pokonaniu przeciwnika, lecz dosłownie wbijała go w ziemię. Wreszcie przyjęto inną strategię: ostentacyjnego ignorowania i cichego rzucania kłód pod nogi.

– Musiałaś znać jego wysokość wcześniej – kontynuował swój wywód Krystian. – Inaczej nie ryzykowałby tak wiele, byle zatrzymać cię przy swoim boku. Nie obraź się, ale na królewską faworytę to ty się nie nadajesz, więc ewentualny afekt wykluczam. W dodatku ufa ci jak nikomu innemu. Tak, Piekielnico, znaliście się wcześniej, zresztą różne chodzą plotki... o tym, że gdy był jeszcze dzieckiem, służba widywała go czasem z czarnowłosą dziewczyną.

Zamilkł na chwilę, oczekując reakcji Sary. Ta jednak udawała uparcie, że nie zauważa jego istnienia. Wbiła wzrok w ekran, gdzie grupka magicznie utalentowanych nastolatków właśnie szykowała się do odbicia przyjaciółki.

– W dodatku jesteś silna, piekielnie silna, i znasz swoją moc. Nie przyszłaś więc znikąd i ktoś musiał uczyć cię podstaw magii... Może ten sam ktoś zapoznał cię z przyszłym królem?

Podstaw magii! Sara z trudem powstrzymała prychnięcie. Umysł podsunął wspomnienia, zagrzebane, odepchnięte, prześliski innego życia, w innym miejscu, w innym czasie. Nie było nauki, nie było słów i gestów, nie było ksiąg. Była tylko moc, obecna w każdej komórce ciała, magia, jedyna nauczycielka. Były chłodne noce, gdy wiatr szeptał do niej bez słów, gdy krew mocniej buzowała w żyłach, a wszystko sprowadzało się do mocy i pragnienia.

A tutaj, pod tym niebem – sny. Towarzyszące jej, odkąd pamiętała, z początku niezrozumiałe. Ciągłe wrażenie obcości. Moc i wiedza, powracające niepowstrzymaną falą. I dzień, kiedy Weronika Sokolska stanęła na progu domu, porzucając kobietę, która ją urodziła, lecz nie była jej matką, porzucając obce sobie rodzeństwo, porzucając pozory,

bo nie umiała już udawać dziecka. Chociaż może Krystian nie mylił się zupełnie: okruchy tej współczesnej, zmienionej, osłabłej i ujarzmionej magii Sara poznała dzięki Kalinie. Czarownica patrzyła na walkę toczącą się na ekranie, przed oczyma miała jednak zupełnie inny widok. Czerwona Iskra w szkarłatnej sukni, z ogniem w dłoniach, zdumienie i złość na pięknej twarzy, gdy mała wiedźma w zniszczonej kurtce wygasiała przyzwanego płomienia. Wszystko sprowadza się do mocy i woli, czarodziejko. Magia to nie domowy piesek, wykonujący sztuczki. Nie traktuj jej jak tępego sługi. Magia to nie słowa i gesty. Magia jest wszędzie. Magia to ty. Wyciągnij do niej dłoń. Możesz zamknąć ją w słowie i w rytuale, w znakach na skórze, ale to nigdy nie będzie wszystko, to tylko cień cienia, to tylko pomoc do otwarcia drzwi, przechowania energii.

Nic, tylko strzępy wiedzy. Sara odrzuciła nauki Kaliny, zostały jedynie okruchy, które mimowolnie przechowała w pamięci. Czerwona Iskra postąpiła podobnie, ignorując wszystko, co ten jeden, jedyny raz próbowała wyjaśnić czarownica, pamiętająca inny rodzaj magii.

– Vega śniła o tobie – podjął po chwili Krystian, najwyraźniej zdecydowany zmusić Sokolską do reakcji. – Nie umie pojąć tych snów. Zawsze są tam kruki. I śnieg.

– Naprawdę chcesz sobie ze mnie zrobić wroga, Chmielewski? – syknęła wiedźma, wreszcie przestając udawać, że ogląda serial. Nie brzmiało to poważnie, nie mogło brzmieć, gdy leżała rozciągnięta na kanapie, czarodziej zaś tkwił na oparciu jak kura na grzędzie, a w tle grał telewizor. Mimo to minęła chwila, zanim Krystian się odezwał.

– I skończyć jak sprawca ostatnich wydarzeń, który zaginął bez wieści?

– On nie był moim wrogiem – westchnęła Sara. Przymknęła oczy, opierając głowę o podłokietnik. Dawno, dawno temu, obiecała sobie, że niczego nie będzie żałować, i nie, nie żałowała, że odrzuciła wszystko, co chciał jej ofiarować nocny król. Znacznie trudniej było nie żałować jego samego. Sara wiedziała, że jeszcze nie raz zobaczy twarz Klausa w złych snach. Nie szkodzi. Nic nie szkodzi. To tylko kolejny koszmar na długiej liście, jeszcze jeden cień.

– W porządku – powiedziała. – Nocny król był w połowie demonem. Złożono go w ofierze i wtedy umarła jego ludzka część, trafił do świata demonów. Kłopot w tym, że je zawsze można wezwać i on został

przyzwany. Nie wiem, przez kogo. Uwięziłam go na dobre. Czy takie wyjaśnienia ci wystarczą?

– Tak – odparł Krystian, przypatrując się jej znad szkieł okularów. – Przynajmniej na razie.

Znikł, jakby nigdy go nie było. Na płaskim ekranie telewizora trwała zacięta walka na miecze i magię, a Sara patrzyła na popękany sufit, z niemiłym przeczuciem, że prędzej czy później czeka ją starcie z Krystianem Chmielewskim. I może okazać się nawet trudniejsze od potyczki z nocnym królem.

Gdy po raz kolejny zeszła do podziemi, nie rozbłysły żadne pochodnie, nie było skarbów porzuconych pod ścianami, gróźb ani obietnic. Mogłaby niemal uwierzyć, że zabłądziła, weszła do zapomnianego, ale zupełnie zwyczajnego tunelu. Niemal.

– Wiem, że tu jesteś, diable – powiedziała, siadając na jednej z porzuconych skrzyń, cuchnącej wilgocią i zgnilizną. – Czuję cię. Przede mną się nie ukryjesz.

Potrafiłaby sięgnąć ku niemu, zmusić, żeby wypełził ze swojej kryjówki, ukorzył się. Należał do niej, jego moc, wspomnienia, woła. Taka więź jednak działała w obie strony, a Sara dobrze wiedziała, jak niebezpieczna bywa dla śmiertelników bliskość istot podobnych krakowskiemu diabłu. Stworzenia z baśni i legend, z koszmarnych snów, gdzieś spoza granic światów, na zawsze pozostawiały swoje piętno na tych, z którymi się zetknęły. Nie. Sara musiała znaleźć inny sposób na wywabienie koguta z ukrycia.

– Wiedza kosztuje, sam wiesz najlepiej – kontynuowała, beztrąsko machając nogami. – Dziś będę jednak dobra i powiem ci parę rzeczy za darmo, po starej znajomości.

Cisza. Tylko gdzieś w oddali kapłała woda.

– Opowiem ci o czarnoksiężniku, mieszkającym po drugiej stronie zwierciadła.

Pozornie nic się nie zmieniło. W tunelu nadal było ciemno, chłodno i cicho, lecz coś nieuchwytnego dla ludzkich zmysłów zawisło w powietrzu.

– O tym, jak zaczęło mu doskwierać, że lustrzany świat jest zaledwie iluzją. Że nie ma w nim życia. Nie ma w nim prawdziwej magii. Zaczął

więc szukać ich gdzie indziej. I ktoś mu w tym pomagał. Pewien demon. Demon, który po upływie wieków wciąż nazywa go Mistrzem.

Błyskawicznie zeskoczyła ze skrzynki, przetoczyła się po podłodze, ręką zgarniając strzęp ciemności. Po chwili czarownica bezlitośnie zaciskała palce na koguciej szyi. Diabeł rozpaczliwie tłukł skrzydłami, usiłował pazurami rozorać skórę Sary, lecz wiedźma nie zwolniła uścisku. Póki posiadała jego imię, nie mógł użyć przeciw niej swojej mocy.

– Nie ruszaj się, bo skręcę ci kark – wysyczała. Kogut najwyraźniej zrozumiał, że wiedźma nie żartuje i spełni groźbę pomimo możliwych konsekwencji, bo znieruchomiał. – Tak lepiej.

Potrząsnęła nim lekko, potem rozluźniła chwyt, pozwalając, aby opadł na podłogę. Syknął i cofnął się, obserwując czarownicę żółtymi ślepiami.

– Obaj próbowaliście mnie oszukać – powiedziała Sara zwodniczo łagodnym tonem. – Miałam spojrzeć w zwierciadło i nie wrócić z tej wycieczki. Co by się stało, gdyby Twardowski dostał Pierwszą, swoją następczynię? W czasie gdy magia chroniąca miasto była najsłabsza? Gdy rozpętał się chaos?

– Domagasz się odpowiedzi za darmo, lelkowa panno? – spytał kogut.
– Zmusisz mnie do ich udzielenia?

Czarownica poderwała się na równe nogi. Celny kopniak posłał diabła pod ścianę. Zapiał, chyba bardziej ze złości i upokorzenia niż z bólu. Rozbłysły pochodnie, na chwilę oślepiając Sarę. Osłoniła oczy ramieniem, a przez tunel przeszedł ostry podmuch, który natychmiast wygasił ogień.

– Nie chcę twoich odpowiedzi! – krzyknęła, zaraz jednak odzyskała panowanie nad sobą. – Nie chcę twoich odpowiedzi – powtórzyła już spokojniej. – Nie udało się wam. Nie po to umarłam po dwakroć, diable, i po dwakroć wróciłam do żywych, by wpaść w taką pułapkę. Lustro jest moje. Sztylet zajmujący miejsce noża jest mój. I ty, diable, ty też jesteś mój.

– Jesteś pyłem na wietrze, czarownico.

Kogut znikł, rozplynął się w mroku. Głos, bardziej chrapliwy, nieprzyjemny, dobiegał ze wszystkich stron, odbijał się echem po korytarzach. Temperatura opadła tak bardzo, że na włosach Sary zaczął osiadać szron, z każdym oddechem z ust wydobywały się kłęby

pary.

– Umrzesz po raz trzeci, prędzej czy później, i nie będzie już dla ciebie powrotu – kontynuował głos. – Ja zaś będę trwał niezmienny i znów wolny, tak jak lustro Mistrza, jak on sam po jego drugiej stronie. Cóż z tego, że posiadasz takie moce, skoro zbyt wiele w tobie strachu, by ich użyć?

Sara rozłożyła ręce, ściągając ku sobie zimno. To było coś zupełnie innego niż chłód pocałunków i dotyku nocnego króla. Ten mróz nie mógł jej skrzywdzić, pozostawał przyjazny magii, którą w sobie niosła.

– Będiesz trwał w podziemiach, do których nie ma zejścia – odparła.
– Bo nie możesz walczyć z moją mocą, a ja zasypię każde wejście. Księżycowe Zwierciadło zaś ukryję tam, gdzie nikt nie będzie miał do niego dostępu. Trwajcie w swoich trumnach, martwi za życia, uwięzieni na wieczność. Nas, czarownice, stworzono z ciemności, byśmy nie lękały się waszych cieni.

Gdy odchodziła, goniły ją przekleństwa i huk walących się korytarzy.

Magdalena Kubasiewicz



Rocznik 1990, obecnie mieszkająca w Krakowie, studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kocha fantastykę, białą czekoladę, koty i swoje dwa psy, choć jeden z nich wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi jest demonem maskującym się w psiej skórze. Publikowała w świętej pamięci „Science-Fiction, Fantasy i Horror”.

Spis treści

Prolog Spalona bogini
Rozdział pierwszy Wiele Pieśni
Rozdział drugi Gdy zaśpiewa noc
Rozdział trzeci Wytnij serce brata
Rozdział czwarty Bez światła gwiazd
Rozdział piąty Moc potężniejsza niż moja
Rozdział szósty Złudny blask księżyca
Rozdział siódmy Piosenka szczurołapa
Epilog Zawsze jest czarownica

Notatki

[← 1]

Proces, mający ustalić, która z kobiet jest prawowitą małżonką Zygmunta Augusta, ciągnął się latami. Zwolennicy Habsburgów argumentowali, że przysięga małżeńska obowiązuje do momentu zgonu, skoro więc śmierć rozłączyła Zygmunta II i Radziwiłównę, jej cudowne zmartwychwstanie nie zmienia sytuacji. Początkowo zdawało się, że zostanie wydany werdykt korzystny dla Habsburgów. Na ostateczny wyrok sądu oraz Kościoła wpłynęła jednak ciąża Barbary Radziwiłówny i narodziny syna, upragnionego męskiego potomka Jagiellonów. Z obawy przed wymarciem dynastii małżeństwo króla z Elżbietą Habsburg zostało anulowane, a trzyletniego wówczas Jana Jagiellończyka ogłoszono prawowitym następcą tronu.

[← 2]

Z uwagi na różnorodność talentów, objawiających się pośród ludzi obdarzonych magią, mniej więcej od XIV wieku przywykło się do dzielenia ich na trzy główne grupy: czarowników/czarownice, czarodziejów/ czarodziejki oraz magów.

Czarownicy i czarownice najczęściej czerpią moc ze źródeł zewnętrznych, zwłaszcza z sił natury. Ich zdolności mogą maleć bądź wzrastać w zależności od wielu czynników: emocji, pór roku i dnia, a w niektórych przypadkach nawet pogody. Takie moce pozostają częściowo dzikie, często wyrywają się spod kontroli i bywa, że działają w nieprzewidywany sposób. Warto zauważyć, że po pierwsze, osób obdarzonych taką mocą jest relatywnie niewiele w porównaniu z liczbą czarodziei i magów. Badania podają również, że liczba czarownic jest pięciokrotnie wyższa od liczby czarowników.

Obecnie często stosuje się zamiennie termin czarownica/wiedźma, choć niegdyś nie były ze sobą utożsamiane.

Czarodzieje i czarodziejki rzadko uciekają się do zewnętrznych źródeł mocy. Operują przede wszystkim zaklęciami i ich zdolności obejmują najszersze spektrum. Posługując się odpowiednią inkantacją, mogą więc rzucać czary iluzji, uzdrawiania, bojowe i wiele innych. Nie są

w stanie modyfikować wyuczonych zaklęć. Zdarza się, że posiadają jakieś indywidualne talenty, podobnie jak magowie, nie ograniczają jednak one ich pozostałych możliwości. Magowie posiadają tylko jeden, określony talent (na przykład jasnowidzenie, władza nad ogniem). Nie są w stanie czerpać mocy ani rzucać żadnych zaklęć. W przeszłości uznawani byli za najmniej utalentowanych pośród czarodziei. Obecnie uważa się ich za osobną grupę, ze względu na niemożność posługiwania się czarami.

(Encyklopedia Nowej Magii, Dariusz Dzwonek, rok wydania 1983)

[← 3]

Elżbieta (ur. 1265 – data śmierci nieznana), córka Wacława Białego (Pierwszy Czarodziej prawdopodobnie od 1275 do 1279), doczekała się przydomku Czarna Lilia oraz szeroko zasłynęła ze swej urody i bezceremonialnego obchodzenia się ze zbyt namolnymi adoratorami. Wedle opisów zachowanych w kronikach miała czarne oczy, czarne włosy, nosiła czarne suknie, a równie czarne było jej serce. Jeśli wierzyć plotkom, powodowana traumą z młodości, odwiedzała różne miasta i, przebrana za ubogą mieszczkę, chadzała nocą na samotne spacerunki po okolicach odwiedzanych przez przedstawicieli wyższych warstw społecznych. Liczba ciał mężczyzn, które znajdowano na ulicach tych miast, zawsze gwałtownie wzrastała podczas jej wizyt. Historycy obwołali ją niebezpieczną psychopatką, feministki z kolei wzorem dzielnej kobiety, prekursorki walki o równouprawnienie. Prawda, jak to zwykle bywa, leży zapewne pośrodku. Sara Weronika Sokolska, Pierwsza Czarownica Polanii w latach 2005–2017, poproszona o komentarz na temat Elżbiety, stwierdziła: „Jeśli jakiś mężczyzna rzuca się na kobietę dlatego, że może ująć mu to sucho, w pełni zasługuje na wyprucie flaków.”

[← 4]

Zakon Cienia - organizacja założona w 1579 przez czarodzieja Augusta z Białobrzegów i jego żonę, czarownicę Annę, zwaną Dotykiem Cienia. Zakon powstał prawdopodobnie z polecenia i przy współpracy Michała Chmielewskiego (Pierwszy Czarownik Polanii w latach 1561 – 1589). Początkowo jego członkowie zajmowali się tropieniem czarnoksiężników, posługujących się czarną magią. Jego oddziały założono w większości europejskich państw. W pierwszej połowie XX wieku przekształcony w zbrojne ramię Stowarzyszenia Magicznej Europy.

[← 5]

Meve – dawna stolica Avenburga, uważana ponoć za czasów swojej świetności za najpiękniejsze miasto świata. Wedle podań pierwszy książę Avenburga, Olaf z Merdenów, wznosił Meve z pomocą magów, duchów i żywiołaków. Miasto znikło na przełomie XII i XIII wieku. Zaginęła wtedy większość mieszkańców i ówczesna rodzina książęcą (jedynym członkiem rodu, który przetrwał, był najmłodszy brat władcy, Nicolas Joseph Merden, przebywający poza stolicą). Do dziś nie wyjaśniono przyczyny tego zjawiska. Najpopularniejsze teorie wspominają o trzęsieniu ziemi, katastrofalnym w skutkach błędzie podczas tworzenia portalu albo o czarnomagicznych rytuałach odprawianych w zamku. Niektórzy wiążą to wydarzenie z szeregiem innych, mniej spektakularnych wypadków. Więcej: patrz *Kompleks Roanoke*.

Spis treści

[Redakcyjna](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Epilog](#)

[Magdalena Kubasiewicz](#)

[Notatki](#)

